

 HARLEQUIN[®]
TM

ROMANS
HISTORYCZNY



SOPHIA
JAMES

Ostatnia misja sir Gabriela

Sophia James

Ostatnia misja sir Gabriela

Tłumaczenie:
Alina Patkowska

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Londyn, 1812 rok

Siedząc z na wpół wypalonym cygarem nad szklaneczką dobrej brandy, Gabriel Hughes, czwarty earl Wesley, poczuł, jak znajome poczucie nicości ogarnia go całego i wypełnia chłodem.

Dokoła niego krążyły chętne kobiety, przebrane za nimfy i najady. Białe togi, nisko zsunięte na piersiach, odkrywały ich pełnię i nagość. Mężczyźni, którzy już wybrali sobie towarzyski na noc, po kolei znikali w pokojach otaczających centralny dziedziniec, ale tu, gdzie siedział, panował półmrok i w stronę sufitu wiły się smugi dymu z gasnących świec. Świątynia Afrodyty była miejscem zaspokajania namiętności i jak zwykle była również wypełniona po brzegi.

- Bardzo chciałabym pokazać panu swoje wdzięki, *monsieur* - szepnęła do niego piękna blondynka. Mówiła z fałszywym francuskim akcentem. - Wielokrotnie słyszałam pańskie nazwisko. Podobno był pan w tej dziedzinie... bardzo sprawny.

Był. To słowo odbiło się głośnym echem w umyśle Gabriela, niczym strzał w wyłożonym stalą pomieszczeniu. Dopił brandy z nadzieją, że mocny alkohol pomoże mu odnaleźć w sobie uczucia, o których już dawno zapomniał.

Pamięć. Jakże nienawidził pamięci. Przełknął niepokój i oczekiwanie na coś, czego wcale nie chciał czuć.

- Jestem Atena, milordzie.

- Siostra Dionizosa?

Zdawało się, że nie zrozumiała. Zsunęła ramiączka z mleczno-białych ramion i otarła się o niego bujną piersią.

- Nie znam siostry Diany, milordzie, ale dziś mogę należeć do ciebie. Jeśli zechcesz, panie, dam ci rozkosz.

Nie spodziewał się, że będzie cokolwiek wiedziała o greckich bogach, mimo to poczuł się rozczarowany. Była piękna i nic po-

nadto. Źrenice miała zwężone od opiatów. Powiodła językiem po wydętych wargach. Była bezwstydną ladaczną, zapewne rozczarowaną przez życie. Gabriel uśmiechnął się i poczuł z nią pewne pokrewieństwo.

- Jesteś bardzo hojna, Ateno, ale nie mogę skorzystać z twojej propozycji.

Gabriel drgnął, gdy palce Ateny zbliżyły się do jego krocza. Jego demony zaczynały się budzić.

- Dlaczegoż to, *monsieur*? Świątynia Afrodyty to miejsce, gdzie marzenia się spełniają.

Albo koszmary, pomyślał. Wracała do niego przeszłość: krzyki, gdy zbliżał się ogień, ból poparzonego ciała i wreszcie mrok. Wtedy po raz ostatni czuł się cały i zdrowy.

Nienawidził tych nieoczekiwanych i przerażających wspomnień, które wracały tak nagle, że nie potrafił się przed nimi obronić. Odstawił pustą szklanę z nadzieją, że Atena nie zauważy drżenia jego palców, i podniósł się. Uciekaj! - podpowiadał mu cichy głos, gdy powoli szedł przez pomieszczenie. Stał na zewnątrz w nocnym chłdzie, próbując głęboko zaczerpnąć powietrza, żeby stłumić mdłości, a potem skręcił w stronę ogrodów, omal nie wpadając na szacownego Franka Barnsleya. Ponad górną wargą wystąpiły mu kropelki potu. Wiedział, że ma tylko kilka minut, żeby ukryć to, co stanie się za chwilę.

Starając się zachować równy krok i wyprostowaną postawę, kierował się w lewo, w stronę drzew. Gdy już skrył się w ich cieniu, zgiął się wpół. Było coraz gorzej. Po trochu rozpadał się na kawałki. Zapach ciężkich perfum, widok nagiego ciała, atmosfera seksu i pożądania przenosiły go w inny czas i w inne miejsce. Przygniatało go poczucie winy podszyte paniką. Serce biło mu coraz mocniej i miał wrażenie, że spada. Usiadł na ziemi, obejmując ramionami mocny pień młodego drzewka, jedyne stabilne oparcie w wirującym świecie.

Przechylił się na bok i wymiotował, a potem jeszcze raz, łapczywie chwytając powietrze. Bezskutecznie usiłował zrozumieć swoje życie i pogodzić się z hańbą. Popęłił koszmarny błąd, przychodząc dzisiaj do Świątyni Afrodyty w nadziei, że to miejsce przyniesie mu uzdrowienie. Teraz leżał nieruchomo w ciemno-

ściach, przerażony i zupełnie sam. Poczł napływające do oczu łzy.

- Nie chcę za nikogo wychodzić, wuju. - Panna Adelaide Ashfield usłyszała ostre nuty we własnym głosie i spróbowała złagodzić ton. - Jestem bardzo szczęśliwa tutaj, w Northbridge. Mój spadek można podzielić w równych częściach między twoje dzieci albo po mojej śmierci między ich dzieci.

Alec Ashfield, piąty wicehrabia Penbury, tylko się roześmiał.

- Jesteś młoda, moja droga, o wiele za młoda, żeby tak mówić. Poza tym moim dzieciom niczego nie brakuje, a gdyby twoi rodzice jeszcze żyli, niech Pan ma w opiece ich dusze, mieliby mi za złe, że tak późno wprowadzam cię w towarzystwo.

Adelaide potrząsnęła głową.

- To nie twoja wina, że ciocia Jean zmarła na miesiąc przed moim planowanym pierwszym sezonem, a ciotka Eloise zachorowała następnego lata tuż przed drugim.

- Powinienem jednak był się sprzeciwić, gdy nalegałaś na zbyt długą żałobę. Przez to doszłaś dwudziestu trzech lat, nie postawiwszy nogi w cywilizowanym towarzystwie. Nie jesteś już taka młoda i w tej chwili trudno oczekiwać, że znajdziesz doskonałą partię. Jeśli będziemy czekać jeszcze dłużej, kochana, to zostaniesz starą panną jak twoje ukochane cioteczne babki i już do końca życia będziesz się tylko przyglądać życiu innych.

- Jean i Eloise były szczęśliwe, wuju. Niezależność bardzo im odpowiadała.

- Były sawantkami, moja droga, bez żadnej nadziei na korzystny związek. Wystarczyło raz na nie spojrzeć, by to zrozumieć.

Adelaide uśmiechnęła się po raz pierwszy od godziny. Być może ciotki rzeczywiście nie wyróżniały się urodą, ale miały żywe umysły i ich życie rzadko bywało nudne.

- Podróżowały i czytały, wuju. Wiedziały więcej o ludzkim ciele i uzdrawianiu niż jakikolwiek lekarz. Żyły w świecie książek, bez ciężaru odpowiedzialności, jaką muszą dźwigać zameżne kobiety.

- Ciężaru dzieci, miłości i radości? Nie masz pojęcia, jak się czuje człowiek zdany przez siedemdziesiąt lat tylko na własne towarzystwo. A mogę ci powiedzieć, że na samotność nie ma lekar-

stwa.

Odwróciła wzrok. Żona wuja Aleca, Josephine, już od kilkunastu lat była inwalidką. Siedziała w swoim pokoju, szyjąc ubrania dla ludzi, którzy już dawno ich nie potrzebowali.

- Proszę cię tylko o jeden sezon, Adelaide. Jeden sezon, żebyś miała okazję zrozumieć, co stracisz, jeśli zagrzebiesz się na prowincji w Sherborne.

Adelaide zmarszczyła czoło. To było coś nowego.

- A jeśli w tym sezonie mi się nie powiedzie, nie będziesz mnie zmuszał do następnego?

Alec potrząsnął głową.

- Jeśli nikt nie poprosi o twoją rękę - to znaczy nikt, kogo skłonna byłabyś przyjąć - wtedy uznam, że spełniłem obowiązek wobec twoich rodziców, i będziesz mogła wrócić do domu. Nawet jeśli zgodzisz się pozostać w Londynie tylko do połowy sezonu, będę zadowolony.

- Od kwietnia do czerwca? I to wystarczy?

- Od początku kwietnia do końca czerwca. - W głosie wuja zabrzmiała stalowa nuta determinacji.

- Dobrze. Trzy miesiące. Dwanaście tygodni. Osiemdziesiąt cztery dni.

Alec roześmiał się.

- I ani dnia mniej. Musisz mi to obiecać.

Adelaide podeszła do okna i popatrzyła na okolicę Northbridge. Nie chciała stąd wyjeżdżać. Nie interesował jej towarzyski blichtr. Chciała zostać w swoich ogrodach i pomagać mieszkańcom okolicy, którzy uskarżali się na rozmaite dolegliwości. Nalewki, maści, zioła, korzenie - to był uporządkowany, bezpieczny świat, który rozumiała.

- Będę potrzebowała nowych sukien, miejsca, gdzie mogłabym się zatrzymać, oraz przyzwoitki. Nie jestem pewna, czy warto sobie tym zawracać głowę.

- Już o wszystkim pomyślałem. Będzie ci towarzyszyć moja krewna, lady Imelda Harcourt. - Adelaide chciała coś powiedzieć, ale Alec nie pozwolił sobie przerwać. - Wiem, że Imelda jest trochę skwaśniała i czasem bywa męcząca, ale jest też szanowaną wdową i ma liczne znajomości w towarzystwie. Ja posta-

ram się odwiedzać Londyn tak często, jak tylko będę mógł. Bertram również chce pomóc. Zapewnił mnie, że panuje już nad swoim zamiłowaniem do hazardu.

Adelaide popadła w jeszcze większe przygnębienie. Lady Harcourt i jej kuzyn?

Ale wuj Alec jeszcze nie skończył.

- Nie zamierzałem o tym wspominać, ale wydaje mi się, że to odpowiednia chwila. Pan Richard Williams z Bishop's Grove wyraził nadzieję, że zgodzisz się, by ci dotrzymywał towarzystwa podczas pobytu w mieście. Można chyba uznać, że to korzystna propozycja. Nie chcemy przecież, byś została zupełnie bez adoratorów. Jestem pewien, że nadejdzie dzień, gdy podziękujesz mi za przezorność. Adelaide, w Londynie możesz napotkać trudności przy poznawaniu ludzi, a pierwsze wrażenie jest bardzo ważne.

Adelaide poczuła irytację. Zrzucano jej na kark trzy osoby, żadnej z nich nie można było uznać za miłe towarzystwo, a wuj jeszcze oczekiwał, że będzie mu za to dziękować? Z najwyższym trudem powstrzymała się przed wyjściem z pokoju i wysłuchała go do końca.

- Mężczyźni szybko się dowiedzą, że jesteś bogata, a niektórzy z nich są pozbawieni skrupułów. Wielki majątek niesie za sobą pewne problemy, moja droga, toteż musisz zachować ostrożność w osądzie. Wybierz mężczyznę, którego majątek będzie równy twojemu, odpowiedzialnego, zamożnego i rozsądnego. Trzymaj się z dala od tych, którzy szukają bogatej żony i mają długi.

- Jestem pewna, że sama potrafię osądzić, kogo powinnam unikać, wuju. - W głębi serca Adelaide miała nadzieję, że wszyscy nieżonaci mężczyźni z towarzystwa będą woleli trzymać się od niej z dala i że po tych trzech miesiącach już nigdy więcej nie będzie musiała brać udziału w czymś równie niedorzecznym.

Lekarz mieszkał przy zamożnej i dyskretnej części Wigmore Street. Z książek, które przeczytał w ostatnich miesiącach, Gabriel wiedział, że doktor Maxwell Harding jest jednym z najlepszych ekspertów w dziedzinie męskich dolegliwości.

Decyzja, by odwiedzić lekarza, nie była łatwa, ale w końcu Ga-

briel uległ desperacji i umówił się z doktorem Hardingiem na najbliższy możliwy termin, w samo południe.

W poczekalni nie było nikogo, a recepcjonista za biurkiem nie wydawał się nim zainteresowany, co bardzo ucieszyło Gabriela. Zastanawiał się, czy powinien podać fałszywe nazwisko i gdy już niemal zdecydował, że tak zrobi, drzwi za jego plecami otworzyły się i stanął w nich starszy mężczyzna.

- Mam przyjemność z lordem Wesley, nieprawdaż? Doktor Maxwell Harding. Naturalnie znam pana nazwisko, choć dotychczas nie miałem przyjemności poznać pana osobiście. Wielu moich pacjentów stara się pana naśladować, jeśli rozumie pan, co chcę powiedzieć... toteż pańska wizyta jest dla mnie nie lada niespodzianką. - Podał mu wilgotną dłoń, po czym wyciągnął z kieszeni chustkę i nerwowym ruchem otarł czoło. - Proszę za mną.

Gabriel miał wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod stóp. Miał nadzieję, że lekarz nie będzie znał jego nazwiska ani reputacji, a już z pewnością nie miał ochoty wysłuchiwać historii licznych pacjentów z różnymi dolegliwościami seksualnymi, którzy uważali go za wzór do naśladowania. Ogarnęły go mdłości, niemal tak jak przed tygodniem w Świątyni Afrodyty, ale gdy drzwi się za nim zamknęły, wziął się w garść. Harding był przecież lekarzem i składał przysięgę Hipokratesa, która zobowiązywała go, żeby udzielić pomocy każdemu pacjentowi.

Lekarz wyjął z szafki karafkę oraz dwie szklaneczki i napełnił je po brzegi.

- Wiem, dlaczego pan tu jest, milordzie - powiedział w końcu, podając trunek Gabrielowi.

- Wie pan? - Gabriel ostrożnie upił łyk brandy, która okazała się zadziwiająco dobra, i czekał. Czyżby to było widać na jego twarzy? A może po sposobie bycia? Czy ci, którzy przechodzili przez te drzwi, szukając pomocy, wyróżniali się jakąś szczególną cechą? Może był to charakterystyczny krok lub wyraz bez nadziei i lęku?

- Przyszedł pan w sprawie szacownego Franka Barnsleya, nieprawdaż? Powiedział mi, że dziwnie pan na niego patrzył, gdy spotkaliście się któregoś dnia. Tak jakby pan wiedział. Uprzedzał, że może pan przyjść, żeby ze mną porozmawiać. Wspo-

mniał też, że jego ojciec jest bliskim przyjacielem pańskiego ojca.

- Barnsley? - Gabriel nie rozumiał, do czego zmierza ta rozmowa. Postanowił wyjść, gdy tylko wypije brandy. To jednak nie było odpowiednie miejsce ani czas, żeby obnażać duszę. Do tego lekarz alarmująco się pocił.

- Chodzi o jego skłonność do mężczyzn - ciągnął Harding. - Mówił, że widział pan go w objęciach Andrew Carringtona w ogrodzie przy jakimś ekskluzywnym domu uciech i zastanawiał się, czy zacznie pan go o to wypytywać.

Rozgniewany Gabriel ostrożnie odstawił szklaneczkę na stół. Harding był nie tylko plotkarzem, ale również lekarzem bez żadnego poczucia dyskrecji i profesjonalizmu. Gabriel nie miał do tychczas pojęcia o seksualnych skłonnościach tamtych dwóch, a poza tym w ogóle go to nie interesowało. Wyobraził sobie jednak, jak Harding przyciszonym głosem opisuje jego własne problemy innym pacjentom i podziękował Bogu, że nie zdążył jeszcze nic powiedzieć. Pomyślał, że w cichym wyrazie wdzięczności postawi Barnsleyowi i Carringtonowi drinka, gdy spotka ich w klubie. Na razie jednak musiał załatwić coś innego.

- Pan Frank Barnsley jest przyzwoitym i godnym szacunku człowiekiem. Jeśli dowiem się, że wspomniał pan o tym komukolwiek, wrócę tu i przysięgam, że już nikt więcej nie usłyszy pańskiego głosu. Czy wyrażam się jasno?

Lekarz gorączkowo pokiwał głową. Gabriel podniósł się i wyszedł z budynku na światło słońca i świeże powietrze. Czuł się tak, jakby uciekł spod szubienicy. Przepęłniała go jednocześnie rozpacz i dojmująca ulga.

Postanowił nie zwierzyć się nigdy i nikomu. Musi poradzić sobie z tym problemem sam, w tajemnicy. Albo mu się poprawi, albo nie. Majaczyła przed nim perspektywa wielu lat spędzonych w smutku. Musiał stawić czoło okropnej prawdzie: to była jego rzeczywistość, jego pokuta, jego okup.

Ale ten cień był również jak odroczenie wyroku. Udało mu się uniknąć tego, co ma nadejść prędzej czy później. Znano go w towarzystwie z jego bogatego doświadczenia z płcią przeciwną i choć skala jego dokonań w tej dziedzinie była mocno wyolbrzymiona przez plotki, których nigdy nie próbował tłumić, tym bole-

śniejszy wydawał mu się upadek. Na to mu przyszło.

Wrócił do powozu czekającego sto metrów od gabinetu, przepełniony żalem, że jego życie, tajemnice czy poczucie honoru i moralności nie mogą wyglądać inaczej. Kiedyś wierzył we wzniosłe ideały, które służba Koronie w końcu wepchnęła mu do gardła. W końcu jednak dostrzegł nagą prawdę.

Był sam we wszystkich swoich przedsięwzięciach. Łaknął życia, jak ćma łaknie płomienia – z takim samym skutkiem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dwa tygodnie londyńskiego sezonu ciągnęły się jak miesiąc. Już czwarty wieczór z rzędu Adelaide spędzała na balu. Za każdym razem widziała ten sam ostentacyjny przepych, tych samych ludzi, słyszała te same nudne rozmowy kręcące się wokół matrymonialnych perspektyw, wyglądu i wielkości sakiewki konkurentów do ręki... i była już tym zmęczona.

Tego wieczoru jednak tłum był większy niż zwykle i nie wszyscy obecni sprawiali wrażenie osób z najlepszego towarzystwa. Zgromadzenie wydawało się mniej snobistyczne, a przez to, zdaniem Adelaide, bardziej interesujące, ale lady Harcourt nie wydawała się zadowolona.

- Podobno lord i lady Bradford poznali się ze sobą w wyniku zmiennych kolei losu i widać to po niektórych obecnych tu gościach. Mnóstwo pieniędzy, ale niewiele klasy. Może nie powinniśmy tu w ogóle przychodzić? Jak sądzisz, Penbury?

Wuj zaśmiał się tylko, dopijając drinka.

- Imeldo, Adelaide nie jest już młodziutką dziewczyną i z pewnością wie, z kim rozmawiać, a kogo lepiej unikać. Prawdę mówiąc, nawet ci z prawdziwymi tytułami w obecnych czasach stracili nieco klasy i nie zwracają większej uwagi na to, w jaki sposób ktoś zdobył lub stracił fortunę. - Zatrzymał spojrzenie na grupce mężczyzn w kącie. Najwyższy z nich uniósł szklankę i powiedział coś, na co inni wybuchnęli śmiechem. Adelaide zauważyła, że miał na palcu szeroką srebrną obrączkę, a mankiet jego koszuli był misternie haftowany brązową nicią. Był tak przystojny, że aż piękny i widać było, że doskonale o tym wie. Sprawiał wrażenie fircyka i dandysa. Adelaide nie znosiła tego typu mężczyzn, ale prawie wszystkie kobiety w salonie wpatrywały się w niego jak w obrazek.

Ona również przyglądała mu się ze swojego miejsca przy grubym filarze i musiała przyznać, że wzbudził w niej pewne uzna-

nie. Włosy miał nietypowej długości. Wszystko w nim zresztą było nietypowe.

- Czy nie sądzi pani, panno Ashfield, że earl Wesley to najprzystojniejszy mężczyzna na całym dworze królewskim? - Głos Lucy Carrigan przepełniał zachwytem. - Podobno w jego londyńskim domu wszystkie ściany są wyłożone lustrami, żeby mógł się podziwiać z każdej strony.

- Chwali się tym?

Na czole panny Carrigan zarysowała się zmarszczka.

- Gdyby była pani tak piękna jak on, panno Ashfield, czy nie miałyby pani ochoty przeglądać się przez cały czas w lustrze?

Adelaide miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Mój Boże, pomyślała, ta dziewczyna mówi poważnie!

- Być może - odrzekła uprzejmie, z wysiłkiem ukrywając rozbawienie.

- Moja kuzynka Matilda opowiadała, że lord Wesley pocałował ją kiedyś, zanim wyszła za mąż, a ona wciąż wspomina, jak wspańiale to było przeżycie.

- A jej mąż nie ma nic przeciwko temu?

- Norman? Nie może protestować, bo to właśnie lord Wesley poznał ich ze sobą i skierował na ścieżkę, która doprowadziła do świętego związku małżeńskiego.

- A czy on sam jest wyznawcą tej świętości?

- Nie rozumiem?

- Earl. Czy jest żonaty?

Odpowiedział jej perlisty śmiech.

- Och, ależ nie! Taki mężczyzna nigdy nie zwiąże się z jedną kobietą, chociaż podobno raz niewiele brakowało.

- Tak?

- To była pani Henrietta Clements. Zginęła w jakimś okropnym wypadku kilka miesięcy temu, ale sprawę szybko wyciszono, bo wcześniej porzuciła swojego ślubnego męża dla Wesleya. To był skandal i przez kilka tygodni o niczym innym nie rozmawiano.

Adelaide zazwyczaj unikała tego rodzaju plotek, ale czternaście dni życia towarzyskiego trochę osłabiło jej skrupuły. Poza tym Lucy Carrigan była doskonałym źródłem informacji.

- A zatem earl ma złamane serce?

- Ależ skąd, przeciwnie. Przez jakiś czas w ogóle się nie pokazywał, ale potem zaczął spędzać jeszcze więcej czasu w towarzystwie kobiet o wątpliwej moralności.

- Mówi pani o londyńskich burdelach?

Panna Carrigan zaczerwieniła się i ściszyła głos.

- Żadna szanująca się dama nie powinna nawet przyznawać, że wie o takich rzeczach, panno Ashfield. Nawet między przyjaciółmi. - Jej wzrok znów zatrzymał się na dżentelmenie, o którym rozmawiały.

Earl Wesley był wysoki i mocno zbudowany. Strój dandysa zupełnie nie pasował do jego sylwetki, ale biła od niego wyraźna arogancja. Pod brodą miał krawat zawiązany kunsztownie w zgodzie z najnowszą modą; Adelaide słyszała, że ten sposób wiązania nazywano matematycznym. Krawat był równo zagięty w trzy fałdy, jedną poziomą i dwie pionowe. Wesley stał zwrócony plecami do ściany, by widzieć każdego, kto dołączał do grupki, i uważnie obserwował wszystkich, nawet ją. Szybko odwróciła wzrok, gdy jasne, złociste oczy przypadkiem przesunęły się po jej twarzy.

Stojąca obok niej lady Harcourt narzekała na zaduch w sali i hałas muzyków. Zmęczona jej nieustanną gderaniną Adelaide oznajmiła, że zamierza udać się do damskiej garderoby, i wymknęła się szybko, zadowolona, że Imelda nie zaoferowała jej swojego towarzystwa. Zauważyła ławeczkę osłoniętą rzędem kwitnących roślin. Rozejrzała się, sprawdzając, czy nikt na nią nie patrzy, po czym precyzyjnie się między roślinami i usiadła. Przed sobą miała rząd wielkich okien wychodzących na ogród. Cieszyła się, że choć na chwilę udało jej się uciec od bezmyślnego, niedorzecznego świata wyższych sfer.

- Jeszcze dziesięć tygodni - powiedziała głośno i z przejęciem.

- Jeszcze dziesięć przeklętych tygodni.

Przy jej ramieniu rozległ się jakiś dźwięk. Obróciła się i ze zdumieniem zauważyła tuż za sobą mężczyznę - a w dodatku był to zarozumiały, fircykowaty earl Wesley. Bez orszaku wielbicielek i pochlebców wydawał się bardziej niebezpieczny. Sprawiał wrażenie zupełnie innego człowieka niż ten, na którego patrzyła kilka minut wcześniej.

Spojrzał na nią i Adelaide znów zadziwił niezwykle, złocisty kolor jego oczu.

- Jeszcze dziesięć przeklętych tygodni, a potem co?

W jego prawym policzku pojawił się dołek. Migocząca o kilka stóp dalej latarnia rzucała cienie na jego anielską twarz. Twarz upadłego anioła, poprawiła się Adelaide w myślach, bo dostrzegła w niej coś mrocznego i odległego.

- A potem będę mogła wrócić do domu, milordzie. Ten przeklęty sezon towarzyski dobiegnie dla mnie końca. - Zdumiona była szczerością swojej odpowiedzi. Zwykle nie potrafiła rozmawiać z obcymi, szczególnie z mężczyznami, którzy brylowali w towarzystwie.

- Nie sprawia pani przyjemności życie wśród blasku i intryg elity towarzyskiej, panno...?

- Adelaide Ashfield z Northbridge Manor. - Na widok pytania w jego oczach wyjaśniła: - To w Sherborne, milordzie, w Dorset. Jestem bratanicą wicehrabiego Penbury.

- Ach! - Dołeczek pogłębił się. - To znaczy, że jest pani bogata i ustosunkowana.

- Zechce pan wybaczyć? - Nie wierzyła własnym uszom. To był z jego strony szczyt grubiaństwa.

- Zgaduję, że jest pani dziedziczką wielkiej fortuny i przybyła pani do miasta, by poszukać męża?

- Nie! - odrzekła ostro.

Podszedł bliżej. Z bliska był jeszcze piękniejszy. Gdyby próbowała sobie wyobrazić wcielenie męskiego wdzięku i siły, ten ideał wyglądałby właśnie tak. Na tę myśl uśmiechnęła się.

- Bawi panią dobre towarzystwo i poszukiwanie dobrej partii?

- Na jego twarzy pojawił się przebłysk ironicznego humoru.

- Nie, sir. Uważam, że to poniżające. Jediną moją zaletą są pieniądze i przez to staję się łatwym celem dla dżentelmenów w nie najlepszej sytuacji finansowej.

Jego śmiech wydawał się szczery.

- Ten obraz desperacji pasuje do połowy obecnych tu lordów, panno Ashfield, włącznie ze mną!

- Jest pan bez grosza? - Nie mogła uwierzyć, że mówi o tym tak szczerze.

- Niezupełnie, ale to tylko kwestia czasu.

- W takim razie bardzo mi przykro.

Jego wesołość zniknęła jak zdmuchnięty płomień świecy.

- Nie musi pani być przykro. Taki stan daje oszalamiającą wolność.

Znów ją zaskoczył. Nie to spodziewała się usłyszeć od pustego dandysa. W gruncie rzeczy była to pierwsza rozmowa od wyjazdu z Dorset, która sprawiła jej przyjemność.

Jej towarzysz rozejrzał się.

- Gdzie jest pani przyzwoitka, panno Ashfield? Nie byłaby chyba zadowolona, gdyby zobaczyła panią sam na sam ze mną.

- Lady Harcourt jest w środku. Narzeka na ścisk i hałas. Powiedziałam jej, że wychodzę do garderoby, ale wymknęłam się tutaj.

- Może pani pożałować tej decyzji.

- Dlaczegoż to, milordzie?

Jego spojrzenie stało się lodowate.

- Łatwo jest stracić dobrą opinię w towarzystwie, nawet jeśli nie robi się nic, by na to zasłużyć.

- Nie rozumiem.

Uśmiechnął się.

- Proszę się trzymać w pobliżu przyzwoitki, panno Ashfield, jeśli nie chce pani przekonać się o tym na własnej skórze.

Po tych słowach skłonił się lekko i zniknął, pozostawiając po sobie lekki sandałowy zapach.

Adelaide wzięła głęboki oddech i rozsunęła gałęzie krzewów. Zauważyła że kilka osób zmierza w jej kierunku. Naraz salon wydał jej się większy i groźniejszy niż wcześniej. Poczula coś, czego nie potrafiła zrozumieć - jakieś milczące ostrzeżenie.

Traktowała te tygodnie w Londynie jako coś w rodzaju rozgrywki i próby. Gdyby z powodu jakiegoś błędu miała zostać schwytana w pułapkę małżeństwa, byłaby to katastrofa zmieniająca całe jej życie. Uświadomiła to sobie i bez wahania wróciła do lady Harcourt.

Nie powinna zostawać sama, myślał Gabriel, patrząc za niezwykłą panną Adelaide Ashfield, która przebiegła obok niego w drodze do bezpiecznego miejsca. Nie była typową debiutant-

ką; trudno było uwierzyć, że to jej pierwszy sezon. Przede wszystkim była starsza, a także bardziej... prostolinijna. Zdawało się, że nie ma w niej ani odrobiny przebiegłości i dwulicowości, jakie dostrzegał u niemal wszystkich debiutujących w towarzystwie dziewcząt. Była też wysoka, sięgała mu do brody, co rzadko się zdarzało, do tego włosy miała ciemnokasztanowe, a jej oczy miały ciemnobłękitną barwę zimowego strumienia płynącego po wapiennych gładkach. Nosila okulary, zapewne tylko po to, by wydać się mniej atrakcyjną. Nie przypominał sobie, by kiedyś wcześniej widział na balu kobietę w okularach. Tym również go zaintrygowała.

Mężczyźni, którzy przybywali na sezon z nadzieją, że znajdą sobie uległą, urodziwą blondynkę, z pewnością nie zainteresują się panną Adelaide Ashfield z Sherborne.

Przez cały czas wiódł za nią wzrokiem. Wiedział, że ją przestraszył, i był z tego zadowolony. Jeśli rzeczywiście nie miała na celu małżeństwa, to nie powinna nawet na chwilę odstępować swojej przyzwoitki, do której w końcu podeszła. Zbliżył się do nich jeszcze jeden mężczyzna. Gabriel rozpoznał w nim Bertrama Ashfielda. Bertram z pewnością przyszedł z pokoju, gdzie grano w karty, i sądząc po wyrazie jego twarzy, znów mu się nie powiodło.

Podszedł do nich jeszcze jeden mężczyzna - wysoki, o żółtawej twarzy zmarszczonej w uśmiechach. Sposób, w jaki rozmawiał z panną Ashfield, wyraźnie wskazywał na to, że w każdym jego słowie kryje się jakiś podtekst. A zatem to konkurent do ręki. Widząc jednak, jak panna Ashfield odsuwa się od niego, Gabriel odniósł wrażenie, że jego uczucia nie są odwzajemnione.

Może nie kłamała. Może rzeczywiście nie czuła się tu dobrze. Scena stała się jeszcze bardziej interesująca, gdy dołączył do nich Frederick Lovelace, earl Berrick, oraz sam wicehrabia Penbury. Earl o dziecinnej twarzy miał w oczach taki sam wyraz nadziei jak tamten wyższy mężczyzna.

Gabriel uśmiechnął się. Zdawało się, że panna Ashfield należy do kobiet, które przyciągają mężczyzn wbrew własnym intencjom. Wystarczyło popatrzeć, jakie wrażenie na nim wywarła. Rzadko rozmawiał z debiutantkami, a jeśli już, były to bardzo

krótkie rozmowy. Z panną Ashfield jednak chętnie porozmawiałby dłużej, gdyby znów udało mu się znaleźć ją gdzieś samą. Jej niski, spokojny głos nie skrywał żadnych uczuć i działał na niego uspokajająco.

Muzycy zaczęli grać walca. Berrick poprowadził pannę Ashfield na środek. Debiutantki potrzebowały specjalnego zezwolenia, by móc zatańczyć walca, i Gabriel zastanawiał się, która z patronek sali balowej Almacka pozwoliła na ten taniec.

Zdawało się jednak, że panna Ashfield nie zna kroków. Potknęła się kilka razy i w końcu Berrick musiał objąć ją mocniej, żeby łatwiej mu było prowadzić. Do diabła, pomyślał Gabriel, dlaczego jej przyzwoitka nie interweniuje? Albo wuj? Czy nikt nie rozumie, jak niewłaściwa jest taka bliskość? Rozejrzał się, ale nikt nie zwracał szczególnej uwagi na tę parę.

Może zatem Frederick Lovelace był bliższy celu, niż wynikało to ze słów panny Ashfield? Gabriel zaklął i ruszył do drzwi. Powinien położyć się wcześniej, o ile tylko uda mu się zasnąć.

Adelaide zauważyła wyjście lorda Wesley. Przez dłuższą, niedorzeczną chwilę wyobrażała sobie, że on wciąż na nią patrzy i miała nadzieję, że poprosi ją do tańca. Earl Berrick trzymał ją zbyt blisko siebie i za mocno ścisnął, ale walc zaraz się skończy, a wtedy będzie mogła powiedzieć, że boli ją głowa, i również wyjść. W tej chwili była zadowolona, że ma za przyzwoitkę starszą kobietę, która na pewno ucieszy się z wcześniejszego powrotu do domu. Wuj pewnie nie będzie zadowolony, ale Adelaide zauważyła, że on również zaczyna mieć już dość nieustannej wymiany uprzejmości i ciągnących się do późna wieczorków. Bertie zapewne zostanie w pokoju karcianym, pełen nadziei na iluzoryczną wygraną.

- Jeśli mogę, chciałbym jutro złożyć pani wizytę, panno Ashfield
- oznajmił Berrick z wielką powagą w głosie.

Czyżby zamierzał się o nią ubiegać? Miała nadzieję, że nie, jednak Berrick uściśnął jej palce, patrząc na nią z napięciem.

- Jest pani rozsądną dziewczyną. Ma pani dobrze rozwinięty umysł i potrafi pani z niego korzystać.

Wciąż się uśmiechała, choć zdążyła już znienawidzić te sztucz-

ne, przyklejone do twarzy uśmiechy. Jeszcze nigdy w życiu nie widziała tyle fałszu, co tutaj w Londynie.

- Sądzę, że bardzo by pani przypadła do gustu mojej matce, hrabinie.

Adelaide z najwyższym trudem powstrzymała wybuch śmiechu, ale muzyka właśnie ucichła i lord Berrick odprowadził ją do przyzwoitki. Widok skrzywionej twarzy lady Harcourt sprawił jej szczerą przyjemność.

- Jesteś zmęczona, ciociu - powiedziała, biorąc krewną za rękę. - Może już wyjdziemy?

Starsza kobieta nawet nie próbowała skrywać ulgi. Oparła się na ramieniu podopiecznej i razem podążyły do wyjścia.

Tej nocy Gabrielowi śniły się barwne suknie i melodyjne walce. Kobieta, z którą tańczył, pachniała cytrusami i nadzieją. Ciemne włosy miała rozpuszczone, a w jej oczach odbijały się kwiaty z tarasu.

Nagle jednak swobodny nastrój snu zmącił nagły niepokój. Nie wolno mu było jej pocałować. Wiedział, że jeśli to zrobi, ona się dowie. Musiał się odsunąć od jej miękkiego ciała i znaleźć sposób, by wyjść, nie narażając się na pytania. Tymczasem ona przywarła do niego jak zimna pajęczyna. Chcąc się jej pozbyć, musiał ją strącać z siebie, spychać coraz niżej, aż w końcu zobaczył ją nieruchomą pod marmurową chrzcielnicą zniszczonej drewnianej kaplicy. Miała bose stopy, a rozświetlona tkanina jej sukni śmierdziała siarką.

Adelaide Ashfield zmieniła się w Henriettę Clements o jasnych włosach splamionych krwią.

Próbował krzyczeć, ale z jego ust nie wydobywały się żadne słowa, żaden dźwięk. Próbował uciec, ale jego stopy nie były w stanie się poruszyć. W końcu obudził go piekący ból w górnej części prawego uda. Oddychał z trudem, ciało miał zeszywniałe z lęku i gniewu. Był chłodny, szary poranek. Niebo za oknem rozświetlało się bladą łuną.

Wiedział, że Henriettę przywiódł do niego strach. Jej mąż najprawdopodobniej zaangażowany był w finansowanie kampanii Napoleona w Europie. Gabriel śledził Randolpha Clementsa od

miesiąca, próbując dowiedzieć się czegoś więcej. Służby wywiadowcze słyszały o jego bliskich związkach z londyńskimi radykałami i trzeba było to sprawdzić.

Zadanie wydawało się proste, ale jego luźny związek z Henriettą Clements zmienił się w coś innego. Gabriel od początku powinien sobie zdać sprawę, że to może się okazać niebezpieczne.

Roześmiał się bez humoru. Po pożarze Randolph Clements zniknął. Zapewne ukrył się gdzieś przy północnej granicy, a może uciekł do Francji – ale to już nie miało znaczenia. Gabriel nie miałby nic przeciwko temu, gdyby Clements chciał pomścić śmierć żony. Przeciwnie, sprawiłoby mu to ulgę, mógłby bowiem zakończyć wreszcie tę żalosaną, smutną egzystencję, jaką stało się jego życie. Pożar w Ravenshill zupełnie go załamał. Ból, wściekłość i konieczność poświęcenia przytłumiły pragnienie intymności i kobiecego towarzystwa.

Przez całe lata łamał serca i obietnice, torując sobie drogę wśród kaprysów i zachcianek nieszczęśliwych żon. Informacje pozwalające chronić zaangażowany w wojnę kraj można było zdobywać na wiele sposobów i Gabriel spełniał swój patriotyczny obowiązek bez słowa skargi. Krążące o nim plotki pomagały mu gromadzić informacje. Gdy nasycona kochanka zasypiała, bez trudności mógł przeszukać sejf czy biurko jej męża, a świadomość, że zakradł się do matecznika wroga, stanowiła dodatkową podniecie.

To wszystko skończyło się wraz z Henriettą Clements.

Nieświadomie dotknął blizny na prawym udzie i spojrzał na srebrno-złotą obrączkę, którą kupił przed trzema miesiącami w firmie jubilerskiej Rundell and Bridges w Ludgate Hill.

- Symbol wygrawerowany na obrączce jest chrześcijański, mi-lordzie, a napis oczywiście po łacinie. Fortuna, pani szczęścia. A komu nie przyda się odrobina szczęścia?

Sprzedawca był młody i gorliwy. Gabriel widział go po raz pierwszy.

- Oczywiście szczęście pochodzi z wiary, którą obdarzamy talizman. Bez niej talizman nie ma mocy. Niektórzy klienci przysięgają, że obrączka spełniła pokładane w niej nadzieje – bezpiecz-

nie sprowadziła dziecko na świat, pomogła wyleczyć paskudne złamanie ramienia albo kaszel po wielu miesiącach bezsennych nocy.

Czy obrączka mogła mu przywrócić zdolność do fizycznej miłości? Gabriel zastanawiał się, czy w to wierzy, ale czy mógł sobie pozwolić na niewiarę? Kiedyś wyśmiałby podobne bzdury, ale teraz chwycił się każdej iskry nadziei, z zapalem neofity. Zapłacił majątek za tę obrączkę i od tamtej pory nosił ją przez cały czas. Czasami zastanawiał się, czy nie powinien zdjąć jej z palca i wrzucić do Tamizy, bo w ciągu dwunastu tygodni nie wydarzyło się absolutnie nic, co mogłoby wskazywać na to, że obrączka działa. Nie potrafił jednak się na to zdobyć. Wolał już nie igrać z losem.

W tydzień później Gabriel Hughes w końcu pogodził się z faktem, że jest impotentem.

Popatrzył na swój miękki członek w mrocznym pokoju przy Grey Street i pomyślał, że tak teraz wygląda jego życie. Cóż za ironia.

Kobieta obok niego była piękna, miła i miała obfite kształty. Była to wiejska dziewczyna, która łączyła w sobie zdrowy rozsądek z mroczną zmysłowością, czekającą na kogoś, kto ją rozpali. Siedziała na łóżku w czystej haftowanej halce, patrząc na niego z łagodnym uśmiechem na nieumalowanych ustach.

- Myślałam, że mój pierwszy klient będzie stary i brzydki, sir. Zastanawiałam się, czy będę w stanie zrobić to, co każe mi robić ciotka, ale widzę, że ta praca jest o wiele łatwiejsza niż to, co robiłam wcześniej. Pracowałam w tkalni, ale zamknęli ją. Była nas setka dziewcząt. Od ostrego światła bolały mnie oczy i nie wolno nam było zrobić sobie przerwy. A teraz siedzę w ciepłe z kieliszkiem dobrego wina.

- A zatem jesteś dziewicą? - zapytał ze ściśniętym sercem.

Potrząsnęła głową.

- Mary kazała mi mówić, że jestem, bo za to są lepsze pieniądze. Ale ja chodzę do kościoła w niedzielę, sir, i nie mogłabym kłamać.

Gabriel ucieszył się. Pierwszy raz dla każdej kobiety powinien

być wyjątkowy.

- Mój Jack zmarł, zanim zdążyliśmy wziąć ślub. Jednego dnia zachorował, a następnego już go nie było. Ja miałam szczęście, że wyzdrowiałam, chociaż trwało to wiele tygodni.

Dziewczyna gadała bez zahamowań, a Gabriel siedział nieruchomo i słuchał. Po raz pierwszy od dawna nie miał ochoty uciekać gdzie pieprz rośnie od półnagiej kobiety. Jej słowa niosły mu pewną pociechę i nawet mdłości zaczęły ustępować.

- Mama powiedziała, że powinnam pojechać do Londynu, do jej siostry, która dobrze sobie radzi. - Dziewczyna potrząsnęła brązowymi lokami i roześmiała się. - Ona chyba nie wie dokładnie, czym się zajmuje ciotka Mary. W domu nie miałam żadnych wido-ków na pracę, więc zgodziłam się przyjechać i spróbować. Ale jeszcze nic nie zrobiliśmy, prawda? - Barwnym językiem zaczęła opisywać rzeczy, których jeszcze nie zrobili.

Gabriel odwrócił się do okna. Dziewczyna nie przebierała w słowach, ale jej paplanina uspokajała go. Może to jej szczerość sprawiała, że krew nie dudniła mu w uszach, a oddech nie przyspieszał. To były niewielkie kroki we właściwym kierunku, prowadzące do uzdrowienia. Gdyby tylko potrafił przestać myśleć i raz wreszcie to zrobić!

Jego uwaga wróciła do podstawowego problemu. Spojrzał w dół. Miękkie. Nawet nie drgnął. W świetle padającym z okna blizny na jego prawym udzie i biodrze wyglądały okropnie. Podciągnął bryczesy.

Dziewczyna w jednej chwili zeskoczyła z łóżka i złapała go za ramię.

- Czy może pan tu zostać chwilę dłużej, sir? Tylko chwilę, żeby... - Urwała, szukając odpowiednich słów.

- Żeby twoja ciotka myślała, że zarobiłaś na swoje utrzymanie?

- No właśnie, sir. Poza tym dobrze się z panem rozmawia i ładnie pan pachnie.

Roześmiał się i odsunął jej rękę. Wizyta tutaj nie była taką porażką, jakiej się obawiał po katastrofie w Świątyni Afrodyty. Gestem poprosił, żeby dołała mu wina. Z uśmiechem podała mu wyszczerbiony puchar. Obrócił go w rękę.

- Jack mówił, że zanim się obejrzymy, będziemy małżeństwem

z tuzinem dzieci i niech pan tylko popatrzy, co się z nim stało. Czasem mi się wydaje, że życie jest jak gra w szachy. W jednej chwili wygrywa się wszystko, a w następnej zmiatają cię z szachownicy.

- Umiesz grać w szachy?

- Umiem, sir. Ojciec mnie nauczył, kiedy byłam mała. On też pracował w tkalni, rozumie pan, ale pewien dżentelmen w gospodzie pod Styal w Cheshire nauczył go kiedyś podstaw gry i ojciec nigdy tego nie zapomniał. Mam ze sobą szachownicę. Jeśli pan chce, to możemy zagrać dla zabicia czasu.

Gdy dziewczyna owinęła się szlafrokiem, Gabriel odetchnął swobodniej. Małe kroczyki, powiedział sobie. Małe, malutkie kroczyki. A to był pierwszy z nich.

W godzinę później, po wyrównanej partii, Gabriel wyciągnął z kieszeni złotą gwineę.

- To za twoje usługi, Sarah, i za dobre serce.

Sprawdziła złoto równymi, białymi zębami. Była jeszcze na tyle młoda, że ich nie straciła, i na tyle niewinna, by wierzyć, że złoto może okazać się lekarstwem na brak moralności. W jej wieku taka wymiana wciąż wydawała się korzystna. Boże, mruknął Gabriel pod nosem, sięgając po żakiet. Henrietta Clements kiedyś była taka sama, pełna nadziei i ślepej ufności.

Wyjął z kieszeni wizytówkę i położył na nierównym sienniku.

- Umiesz czytać?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Gdybyś kiedyś chciała stąd uciec, znajdź kogoś, kto umie czytać, i przyślij mi wiadomość. Mogę ci znaleźć przyzwoitszą pracę.

W jednej chwili zeskoczyła z łóżka i zarzuciła mu ramiona na szyję. Poczł jej ostry zapach.

- Może się pan położy, a ja się wszystkim zajmę, sir. W prezen- cie za to, że był pan taki miły i w ogóle.

Pełne usta dotknęły jego ust. Gabriel czuł jej żarliwą niewinność, ale bolesne wspomnienia przeważły nad dobrymi maniera- mi i odepchnął dziewczynę.

- Nie! - powiedział ostrzej, niż zamierzał.

Sarah nie skrywała rozczarowania.

- Nie przyjdzie pan tu więcej? Nawet na partyjkę szachów?

- Obawiam się, że nie. Ale dziękuję ci za wszystko.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kamień był zimny, wygładzony przez echa czasu. Próbował jej dosięgnąć między tkanymi obrazami Chrystusa w cierniowej koronie, ale powstrzymał go dławiący dym i w uszach zadzwoniła upiorna cisza. W ręku trzymał sztylet. Pojemnik z wodą święconą spadł z pulpitu na marmurową posadzkę upstrzoną znakami czasu. Widmo śmierci krążyło nad nim, gdy wyciągał ręce w stronę Henrietty. Z jego palców spływały czerwone krople. Oczy Henrietty były martwe.

Obudził się z głośnym dudnieniem w uszach i palcami zaciśniętymi kurczowo na prześcieradle. To znów był ten sam przeklęty sen. Nigdy nie zdążał na czas, nigdy nie był na tyle szybki, by ją ocalić. Zaklął, zasłaniając usta dłonią, i spojrzał na zegar na kominku.

Szósta. W każdym razie przespał godzinę – lepiej niż w niektóre noce, gorzej niż w inne. Słysząc już było pierwsze ptaki i miasto budziło się do życia. Na ulicy rozlegały się głosy handlarzy. Mleko, mleko! Makrele, cztery za sześć pensów! Po chwili zagłuszył je łomot przejeżdżającego powozu.

Nieoczekiwanie zobaczył przed sobą błękitne jak woda oczy panny Adelaide Ashfield siedzącej na ławce podczas balu u Bradfordów i przeklinającej dziesięć następnych tygodni. Zastanawiał się, gdzie się zatrzymała w Londynie, w domu wuja przy Grosvenor Square czy u lady Harcourt? Czy często pojawiała się na zebraniach towarzyskich, czy też była bardzo wybredna?

Znów zaklął i podniósł się z łóżka. Nie było sensu o niej myśleć. Z pewnością słyszała już, że należy trzymać się od niego z dala. Zresztą zamierzał zniknąć, gdy tylko znajdzie tych, którzy pomagali Clementsowi i działali na rzecz Napoleona.

Matki panien na wydaniu traktowały go teraz chłodniej. Wszyscy wiedzieli, że rodzinny majątek podupadł, a wypalona łupina

Ravenshill Manor stoi porzucona. Jego ojciec stracił większość tego, co zostało po dziadku, który nie najlepiej radził sobie z zarządzaniem rodzinnymi dobrami. Gabriel próbował wyprowadzić rodzinny majątek na prostą, ale bankierzy nie zabiegali już o jego względy, tak jak i przedsiębiorcy poszukujący zarobków przy starych rodzinach. Było tylko kwestią czasu, nim dobre towarzystwo zupełnie się od niego odwróci.

Jednak rozmowa z Adelaide Ashfield z Dorset sprawiła mu przyjemność. Uśmiechnął się, gdy sobie to uświadomił. Ta niezwykła debiutantka zajmowała sporo miejsca w jego myślach i nie miał nawet ochoty zastanawiać się dlaczego. Przywodziła do niego wspomnienia czasów, gdy wszystko było łatwiejsze, gdy każdy konflikt można było rozwiązać pięściami, gdy kładł się o północy i spał dobrze aż do świtu.

Co się zdarzy za dziesięć tygodni? Czy wuj pozwoli jej po prostu wrócić na wieś, z nienaruszonym majątkiem, niezamężnej i wolnej?

Jego spojrzenie natrafiło na złoty medalion wiszący na krawędzi szafy przy oknie. Ten drobiazg należał do Henrietty. Zostawiła go podczas swojej ostatniej wizyty. Po jej śmierci zatrzymał go na pamiątkę albo może jako ostrzeżenie, żeby nie zapomnieć, dlaczego już nigdy nie będzie w stanie stworzyć bliskiego związku z kobietą.

Próbował sobie przypomnieć, od czego zaczął się pożar w kaplicy, ale nieustannie czuł, że coś mu umyka. Przez jakiś czas sądził, że to on rozniecił ogień, ale potem przypląnęła do niego wiza czyichś dłoni, które to robiły. Czy to były jej dłonie, czy jej męża? A może ich współników? Jedyne, czego był pewien, to ból i poczucie, że został zdradzony. To poczucie zresztą nadal go nie opuściło.

Może on i panna Adelaide Ashfield mieli ze sobą więcej wspólnego, niż się zdawało. Może ona również została przez kogoś zraniona, może spotkała się z fałszem czy złamaną obietnicą. W końcu nieczęsto się zdarzało, by młoda i piękna dziewczyna była tak przeciwna małżeństwu i by mówiła o tym z takim przekonaniem. Chciałby ją znowu spotkać, by zrozumieć, o co jej właściwie chodzi. Tego wieczoru miał się odbyć bal u Harveyów.

Może rodzina Penbury'ego również się pokaże? Gabriel słyszał też, że ma tam być obecny George Friar, bogaty Amerykanin, który wcześniej przez dłuższy czas mieszkał u Clementsów, kuzyn Randolpha. Niektórzy twierdzili, że ten człowiek ma liczne sekrety, i Gabriela bardzo on interesował.

Złota inkrustacja na pierścieniu zaślniła w świetle. Gabriel zmarszczył brwi i wymamrotał pod nosem anglikańską modlitwę zmartwychwstania, a potem obrócił obrączkę tak, by krzyż znalazł się na wierzchu.

Fortuna. Naraz uświadomił sobie, że już dawno stracił wszelką nadzieję na powrót dobrego losu.

Przybył na bal u Harveyów później, niż zamierzał, i pierwszą osobą, na jaką się natknął, był jego przyjaciel Daniel Wylde, earl Montcliffe, a obok niego Gabriel zobaczył Luciena Howarda, earla Ross.

- Przyjechałem z Montcliffe tylko na kilka dni, Gabe, żeby dobić transakcji na źrebię mojej pięknej pary siwków.

To wzbudziło zainteresowanie Gabriela.

- Mówisz o tych arabskich pięknościach, które jakiś rok temu pokazywałeś u Tattersalla? Tych, które wywołały wielkie poruszenie, zanim zostały wycofane z aukcji?

- Właśnie o tych. Może ty chciałbyś kupić źrebię do stajni w Ravenshill? - zapytał Lucien Howard.

- Moje finanse nie są w lepszym stanie niż twoje, Luce. Wątpię, czy mógłbym sobie pozwolić na wykarmienie jeszcze jednego konia, nie wspominając nawet o kupnie.

Daniel Wylde roześmiał się serdecznie.

- W takim razie znajdź sobie piękną i bogatą żonę. To rozwiąże wszystkie twoje problemy.

- Tak jak ty?

- Cóż, szczerze mówiąc, to ona mnie znalazła.

W tej właśnie chwili przeszła obok nich nieduża, okrągła panna Greene w towarzystwie młodszej siostry. Obydwie spoglądały na Gabriela. Zatańczył kiedyś ze starszą, żeby sprawić przyjemność jej pobłogosławionej obfitymi kształtami ciotce, i od tamtej pory dziewczęta przy każdej okazji próbowały się do niego zbliżyć.

Dokoła przewijało się mnóstwo dam, a każda młodsza od poprzedniej. W końcu Gabriel zauważył w kącie pannę Adelaide Ashfield w sukni ze złotego jedwabiu, przy której jej włosy wydawały się ciemniejsze, a skóra bardziej przejrzysta. Śmiała się z czegoś, co powiedziała stojąca obok dziewczyna. Podniosła wzrok i napotkała jego spojrzenie. Nawet z tej odległości dostrzegł w jej oczach coś, co sprawiło, że serce zabiło mu mocniej. Szybko odwrócił głowę. To nie był pociąg seksualny, lecz jakieś inne uczucie, o wiele bardziej niebezpieczne. Omal nie zaklął na głos, ale dostrzegł lokaja, który właśnie przechodził obok, niosąc tacę z drinkami. Alkohol pomógł mu zapanować nad paniką, zauważył jednak, że Montcliffe i Ross wymienili pytające spojrzenia. Odwrócił się do nich plecami i uznał, że pokój karciany jest równie dobrym miejscem jak każde inne, by utopić smutki.

- Zechciejcie mi wybaczyć. Spróbuję chyba szczęścia przy wiście.

- Zaraz zagrają walca, Gabe, a ta dziewczyna w złotej sukni wygląda tak, jakby miała wielką ochotę z tobą zatańczyć.

Gabriel oddalił się w milczeniu. Jeszcze przez długą chwilę słyszał za plecami ich śmiech.

George'a Friara jeszcze nie było. Miał nadzieję, że uda mu się z nim porozmawiać - nie po to, by przekazać bezpośrednie ostrzeżenie, nie, chciał jednak dać mu do zrozumienia, jak niebezpiecznie jest wdawać się w polityczne intrygi wymierzone przeciwko Anglii. Tak czy owak, przygotowany był na czekanie, a wieczór dopiero się zaczynał.

Sto funtów później Gabriel zdał sobie sprawę, że nie potrafi się skupić na grze, i wymienił żetony na pieniądze.

- Dziękuję, panowie, ale ja już na dzisiaj kończę.

Francis St. Cartmail zgarnął ze stołu pokaźną kupkę żetonów.

- Na pewno nie zostaniesz dłużej, Gabrielu? Przydadzą mi się każde pieniądze, które mógłbyś przegrać.

Gabriel po raz pierwszy tego wieczoru uśmiechnął się szczerze.

- Są tu gdzieś Daniel i Luce. Namów ich, żeby z tobą zagrali. Cartmail jednak potrząsnął głową.

- Ross jest spłukany, a Montcliffe jest odpowiedzialnym, żonatym człowiekiem. Wszystkie nadwyżki gotówki wydaje na konie, w których widzi potencjał i, na Boga, ma dobrą rękę.

- A ty nie mógłbyś grać na wyścigach?

- Raczej mnie to nie interesuje. Za miesiąc wyjeżdżam do Ameryki szukać złota.

- Sądziś, że coś znajdziesz? - zapytał Gabriel z zainteresowaniem.

- Tak, tak sędzę. Jedź ze mną. Sprawiłoby mi to wielką radość.

Zaproszenie było równie nieoczekiwane, jak szczerze. Gabriel pomyślał, że gdyby nie był bez reszty pochłonięty myślą o zemście za śmierć Henrietty, to skorzystałby z propozycji.

- Kilka miesięcy temu spotkałem człowieka, który powiedział mi, że złota należy szukać w Karolinie Północnej, Francis. Mówił, że jeśli pojedę do miasta Concord, to jego szwagier, Samuel Huie, pokaże mi, gdzie szukać. Podobno Huie wybrał się pewnego dnia na ryby i znalazł samorodek wielki jak pięść. Uwierzyłem mu, bo nie sprawiał wrażenia człowieka, który lubi ubarwiać prawdę.

- Cóż, będę miał to na uwadze. Jeśli znajdę miejsce, o którym mówisz, to przywiozę ci trochę złota.

- W takim razie życzę ci szczęścia.

- Dziękuję za taniec, panno Ashfield - powiedział George Friar, odprowadzając Adelaide na bok. Miał lekki amerykański akcent.

- Czy dobrze się pani bawi w Londynie?

- Tak, sir. - To było zupełne kłamstwo, ale wiedziała, że jeśli powie cokolwiek innego, będzie musiała wdać się w skomplikowane wyjaśnienia.

- Na balu u Bradfordów widziałem, że rozmawiała pani z lordem Wesley. Czy to pani bliski przyjaciel?

Adelaide przeklęła się w duchu za rumieniec. W głosie Friara brzmiało szczerze zainteresowanie.

- Dopiero niedawno przybyłam do Londynu, panie Friar. Prawie nie znam earla.

- Ale z pewnością słyszała pani o nim rozmaite opowieści. Nie jest to człowiek, któremu należałoby ufać. Każda kobieta zrobi-

łaby mądrze, trzymając się od niego z daleka.

- Mocno powiedziane, sir. Czy to pański znajomy?

Tamten potrząsnął głową.

- Nie, ale uwiódł żonę mojego kuzyna i przypłaciła to życiem, choć nie zasłużyła sobie na taki koniec.

- Czy chce pan powiedzieć, sir, że należy za to winić lorda Wesley? - Po pierwszym spotkaniu z Gabrielem Hughesem Adelaide pytała Lucy i inne znajome o jego przeszłość - po części z zainteresowania, ale przede wszystkim dlatego, że odniosła wrażenie, iż został potraktowany niesprawiedliwie. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego czuje dziwną więź z człowiekiem, który zdawał się uosabiać wszystko, czego zawsze szczerze nie znosiła, a jednak... - Z tego, co słyszałam, żona pańskiego kuzyna uciekła od męża do kochanka.

Tym razem Friar roześmiał się głośno.

- Kobieta, która nie obawia się mówić, co myśli, to rzadki klejnot w londyńskim towarzystwie. Dlaczego już dziesięć razy nie wyszła pani za mąż, panno Ashfield? Czy ci angielscy lordowie nie potrafią rozpoznać prawdziwego skarbu?

Ten komplement sprawił jej przyjemność, ale tylko machnęła ręką.

- Moim zdaniem kobieta niekoniecznie potrzebuje męża, choć trudno o tym przekonać mojego wuja.

W jego oczach odbił się szok, zaraz jednak opanował wyraz twarzy.

- Cóż, panno Ashfield, zawsze pochwalałem szczerą u kobiet. Czy zechciałaby pani przejść się ze mną? Chciałbym opowiedzieć pani pewną historię.

Adelaide rozejrzała się. W jej stronę zmierzał lord Berrick; wolała go uniknąć.

- Może wyjdziemy na taras - zaproponował Friar.

Przypomniała sobie ostrzeżenie lorda Wesley. Nie miała ochoty znaleźć się sam na sam z Friarem, ale w sali balowej było duszno, a przez okno dostrzegła na tarasie kilka osób, które korzystały z ciepłego wieczoru, pomyślała zatem, że nie stanie się nic złego, jeśli przez pięć minut posłucha, co Friar chce jej powiedzieć.

On zaś wyraźnie zastanawiał się nad doborem słów. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ogrody za balustradą tarasu i w końcu rzekł:

- Niektórzy mówią, że earl Wesley nie jest tylko dandysem, na jakiego wygląda. Mój kuzyn był zdruzgotany stratą żony i nie wierzy, że jej śmierć była przypadkowa.

- W takim razie w co wierzy?

- Jeśli mogę mówić szczerze, sądzi chyba, że Wesley ją zabił, bo zmęczyły go jej uczucia i miał jej dosyć.

Adelaide poczuła się zszokowana goryczą i oskarżeniem w jego słowach.

- Zdaje się jednak, że sąd nie podzielał tych przekonań, panie Friar. - Zastanowiła się przelotnie, dlaczego z takim zapałem broni mężczyzny, którego reputacja daleka była od nieskazitelnej, choć wszystko, co wiedziała o lordzie Wesley, pochodziło tylko z plotek.

- To prawda, panno Ashfield, ale sprawiedliwość i pieniądze kroczą ręką w rękę, a tytuł Wesleya ma swoją wagę w kwestiach sądowych.

- Tak mówią wszyscy, którzy sądzą, że spotkała ich w sądzie niesprawiedliwość, choć nie potrafią tego udowodnić. Lepiej zając się własnym życiem i patrzeć w przyszłość, niż w nieskończoność rozgrzebywać przeszłość.

- Ma pani bardzo mocne przekonania, panno Ashfield. To niezwykłe u debiutantki.

- Uznam to za komplement, panie Friar, bo jestem starsza od większości debiutantek i o wiele mądrzejsza. Wiem, że ludzie gotowi są powiedzieć wszystko o każdym, a jednak przez to ich słowa nie stają się prawdą.

Friar roześmiał się, ale nie był to przyjemny śmiech.

- Była pani kiedyś w Ameryce? - Gdy potrząsnęła głową, ciągnął: - Mam dużą posiadłość w Baltimore, w Coles Harbor, na zachodnim brzegu Jones Falls River. Przyjechałem do Anglii, by znaleźć partnerkę, która zechciałaby się cieszyć tym miejscem razem ze mną. Nie szukam nieśmiałej i uległej narzeczonej, panno Ashfield, ani zbyt młodej. Szukam kobiety, która potrafiłaby stawić czoło trudnościom Nowego Świata, obdarzonej majątkiem

wystarczającym, bym mógł podłożyć podwaliny pod własną fortunę.

- Rozumiem. - Adelaide rzeczywiście zrozumiała, że chcąc uniknąć lorda Berrick, wpadła z deszczu pod rynnę. W końcu tak właśnie zawierało się małżeństwa w Londynie. Panny młode traktowane były jak każdy inny towar. Mężczyźni kładli na stole ofertę, a rozsądna kobieta rozważała swoje możliwości i wybierała najlepszą opcję na całe życie - na zawsze. Ciotka Eloise miała rację, kobiety sprzedawały swoje dusze za małżeństwo i żalowały tego do końca swoich dni.

Na myśl o tym zaniemówiła z przerażenia. George Friar uznał chyba jej milczenie za zgodę, bo pochylił się, ujął jej dłoń i mocno przycisnął do ust. Jego pocałunek był zimny i mokry. Adelaide szybko cofnęła rękę, nie mogąc uwierzyć, że ośmielił się uczynić coś takiego w publicznym miejscu, ale gdy się rozejrzała, uświadomiła sobie, że wszyscy inni weszli już do środka.

Pan Friar jednak nie puścił jej dłoni. Wciąż trzymając jej palce w swoich, wydyszał z zaciętym wyrazem twarzy:

- Ależ niech pani da spokój, panno Ashfield! Z pewnością potrafimy się dogadać. Wydaje się pani bardzo zmysłową kobietą, a ja, jeśli mogę tak o sobie powiedzieć, uważany jestem za dobrą partię przez niezamężne kobiety w okolicach Baltimore. Nowe życie, przygoda i możliwość wykorzystania pani majątku w sposób, który pozwoli go podwoić - proszę skorzystać z okazji i nie pozwolić się onieśmielić względem ostrożności.

Adelaide myślała szybko. Musiała jakoś wybrnąć z tej sytuacji i wrócić do środka, nie wywołując sceny.

- Z pewnością jest pan dobrą partią, jak zechciał to pan określić, ale proszę mi uwierzyć, gdy mówię, że nie chcę wychodzić za mąż. - To wyjaśnienie w niczym nie pomogło, bo Friar jeszcze mocniej zacisnął palce na jej dłoniach i przyciągnął ją do siebie. - Jeszcze raz proszę, żeby zechciał pan mnie puścić, sir! - Jej głos wyraźnie zadrżał. Friar popatrzył jej w oczy i unióśł brwi. Czy jego zdaniem była to tylko jakaś gra?

- W takim razie tylko jeden pocałunek, żeby panią przekonać. Chyba nic w tym złego?

Palce ostro klasnęły o jego policzek. Friar cofnął się, potknął

o doniczkę i stracił równowagę. Adelaide wyciągnęła rękę, żeby go podtrzymać, ale było już za późno. Spadł na drugą stronę balustrady i leżał nieruchomo na ścieżce.

Mój Boże! Czyżby go zabiła? Zapomniała o konwenansach i o własnym bezpieczeństwie, zeskoczyła do ogrodu i z ulgą zauważyła, że Friar oddycha. Nie mogła go tu zostawić, ale nie chciała również stać się obiektem ogólnego zainteresowania. Usłyszała nad głową jakiś ruch. Poczuli się zaskoczona, ale od razu wiedziała, kto to taki.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Znow się spotykamy, panno Ashfield.

- I obawiam się, lordzie Wesley, że w jeszcze bardziej niestosownej sytuacji niż ostatnim razem. Pan Friar niedawno przyjechał z Ameryki i chyba nie rozumie, co znaczy słowo „nie”. Chyba wpuszczono go tu tylko dlatego, że potrafi udawać kogoś, kim nie jest, bo nie widzę żadnych innych cech, które mogłyby to uzasadniać. - Wiedziała, że papie bez sensu, ale nie potrafiła przestać. Zdziwienie i ulga na widok earla odebrały jej rozsądek, a całe ciało wciąż drżało z lęku.

Gabriel Hughes przystanął obok niej i przyłożył dwa palce do tętnicy na szyi George'a Friara.

- Trochę szybki, ale w tych okolicznościach...

Wyglądał na zmęczonego. Podkrążone oczy wskazywały na brak snu. Popatrzył wymownie na czerwony ślad na policzku nieprzytomnego Friara.

- Ubiera się okropnie, nieprawdaż?

Uśmiechnęła się na ten komentarz wygłoszony z zimną krwią. Lord Wesley w ogóle nie wydawał się przejęty tym, co się zdarzyło.

- Ja go nie zepchnęłam. Potknął się o donicę i spadł do ogrodu.

- Ale wcześniej dała mu pani w twarz?

Poczuła, że się rumieni.

- Poprosiłam go, żeby zabrał ode mnie ręce, lordzie Wesley, ale on tego nie zrobił.

Gabriel szybko podniósł wzrok.

- Ale nie skrzywdził pani? - Jego złociste oczy pociemniały, ale gdy potrząsnęła głową, ich wyraz złagodniał. - W takim razie może lepiej byłoby, gdyby nie zobaczył tu pani, gdy się ocknie.

Zrozumiała wskazówkę i odwróciła się, by odejść.

- Panno Ashfield?

- Tak? - zapytała przez ramię.

- Jeśli pani nie powie o tym nikomu, ja dopilnuję, żeby on również tego nie zrobił.

- Jak? - zapytała z przerażeniem.

- Zamierzałem dokonać tego groźbą, ale jeśli woli pani, żebym pozbawił go życia...?

Czy to możliwe, by mówił poważnie? Przypomniała sobie słowa Friara, że Wesley zabił Henriettę, ale zaraz odrzuciła tę myśl, bo dostrzegła uniesione kąciki jego ust. Żartował, jednak słyszała już zbliżające się głosy i wiedziała, że musi zniknąć. Mimo wszystko nie mogła tak tego zostawić.

- Czasami nie jestem pewna, co o panu myśleć, milordzie. Wydaje mi się, że pod tym wspaniałym ubraniem i kunsztownym węzłem krawata nie jest pan do końca tym, kim się pan wydaje.

Gabriel Hughes potrząsnął głową. Gdy się odezwał, w jego głosie nie było nawet cienia humoru, a twarz wydawała się nieprzenikniona.

- Byłoby dla pani bezpieczniej, gdyby widziała pani we mnie człowieka, jakiego widzi cała reszta świata - hulaszczego earla bez cienia zasad moralnych, człowieka, który nie dba o nic oprócz skomplikowanych węzłów swojego krawata.

George Friar jęknął. Adelaide obróciła się na pięcie i uciekła. Nie potrafiła przeniknąć Wesleya. Nie był podobny do nikogo, kogo znała wcześniej. Nawet gdy się śmiał, otaczała go aura niebezpieczeństwa, a kolor jego oczu przypominał jej oczy sokołów, które widziała jako młoda dziewczyna, gdy do Sherborne przybyła obwoźna menażeria.

Stanąła obok lady Harcourt, która podniosła na nią wzrok.

- Ciągłe gdzieś znikasz, moja droga. Nie powinnaś tego robić. Gdyby twój wuj tu przyszedł i zapytał, gdzie jesteś, nie umiałabym odpowiedzieć. Poza tym byłoby znacznie lepiej, gdybyś...

Urwała, gdy na drugim końcu sali rozległy się krzyki. Obydwie spojrzały w tamtą stronę. Pan Friar wpadł do środka, ocierając krwawiący nos dużą białą chustką. Na szczęście skierował się prosto do wyjścia, Adelaide jednak na wszelki wypadek schowała się w cieniu za plecami przyzwoitki.

Zaraz potem pojawił się Gabriel Hughes w towarzystwie lorda Montcliffe. Earl Wesley trzymał lewą rękę w kieszeni. Obydwaj

byli podobnego wzrostu i budowy. Oczy wszystkich gości powędrowały w ich kierunku. Lady Harcourt podniosła do oczu lornetkę.

- Mój Boże, cóż za czasy! Do czego to dochodzi? Walka na pięści podczas balu? Kim jest ten niski mężczyzna, Bertramie, ten obok lorda Wesley i lorda Montcliffe?

Serce Adelaide zaczęło bić szybciej. Czyżby miało dojść do sceny? Czy wyjdzie na jaw, że to ona spowodowała obrażenia Amerykanina?

- Pan George Friar. To arogant i oszust - powiedział przeciągle jej kuzyn. - Może lord Wesley zrobił w końcu to, na co wielu z nas nie potrafiło się jeszcze zdobyć.

- Co takiego? - zapytała Imelda ostro. - Złamał mu nos?

- Nie, ciotko. Zmusił go, żeby się zamknął.

Earl Berrick, stojący obok nich, zmarszczył czoło.

- Wątpię, czy lord Wesley chciałby sobie brudzić ręce, chyba że miałyby w tym jakiś cel.

Bertie skinął głową.

- Jest o wiele bardziej prawdopodobne, że siedziałyby w pokoju karcianym albo uwodził liczne damy z towarzystwa, które czują się nieszczęśliwe w małżeństwie.

Lady Harcourt popatrzyła surowo na ciotecznego wnuka.

- Stoisz obok młodej debutantki, Bertramie. Proszę, uważaj na język.

Kuzyn rzucił jej uroczy uśmiech.

- Wybacz mi, ciociu. Przepraszam cię, Addie.

- W takim razie musisz mi to jakoś wynagrodzić.

- Jak?

- Zechciej mi towarzyszyć w wycieczce do Królewskich Ogród Botanicznych w Kew. Jest tam ogród fizyczny, który zawsze chciałam zobaczyć.

- Wyglądasz okropnie, Gabe. - Daniel Wylde nie przebierał w słowach, gdy wyszli z balu u Harveyów. - Powinieneś się porządnie wyspać.

Gabriel usłyszał w jego słowach szczerą troskę.

- Przeżyję - mruknął.

- Kim jest dla ciebie ten Friar?
- Nikim. Potknął się i przeleciał przez balustradę. Ja znalazłem go pierwszy.
- Wątpię - stwierdził Montcliffe. - Moim zdaniem musiała być w to wplątana jakaś kobieta, chyba że masz teraz zwyczaj dawać w twarz obcym mężczyznom. Poza tym nie uderzyłbyś rannego, gdybyś nie żywił do niego jakiejś urazy.
- Gabriel zaklął, ale niczego nie wyjaśnił.
- Twoja siostra Charlotte jest niemila, ale ty, Gabrielu, zawsze wiedziałeś, co to dobre maniery.
- Minęło sporo czasu. Ludzie się zmieniają i pierwszy gotów jestem przyznać, że dotyczy to również mnie.
- Dlaczego?
- Kusiło go, by podzielić się troskami - może poczułby się od tego lepiej? - ale łatwiej było tego nie zrobić. Mimo wszystko nie zawadziło trochę wysondować Montcliffe'a.
- Co wiesz o Randolphie Clementsie?
- Jego żona Henrietta zginęła w pożarze kaplicy w Ravenshill. Chodziły pogłoski, że ty miałeś coś z tym wspólnego, ale niczego nie udowodniono.
- Sądzę, że Clements zabił swoją żonę.
- I uszło mu to na sucho?
- Nie został skazany. A ten Friar jest jednym z jego amerykańskich kuzynów.
- Sądziś, że on również był w to wmieszany?
- Przypuszczam, że nie bez powodu znalazł się tu, w Londynie.
- Jest bogatym kawalerem i szuka żony. Wiele osób uznałoby, że to wystarczający powód. Kto go uderzył, zanim ty się tam pojawiłeś?
- Panna Adelaide Ashfield.
- A kim ona jest?
- Gabriel przełknął.
- Bratanicą Penbury'ego i jedną z tegorocznych debiutantek.
- To ta w złotej sukni? - Na twarz Montcliffe'a powoli wypełził uśmiech. - Widzę, że interesuje cię ta dama.
- Nie - odrzekł Gabriel, starając się, by jego głos zabrzmiał przekonująco.

- Ale widzę, że pomściłeś obrazę, a skoro tak, to chyba nie jest ci obojętna.

Gabriel zapomniał już, jak przenikliwym umysłem odznacza się Daniel Wylde. W jego bystrym spojrzeniu błyszczała ciekawość.

- Nigdy mi nie powiedziałaś, co się właściwie zdarzyło w tej przeklętej kaplicy. Niektórzy mówią, że to ty podłożyłeś ogień.

- Nie. Nie pamiętam, od czego zaczął się pożar. Wiem, że próbowałem ją ocalić, ale potem...

Urwał, po raz kolejny nadaremnie przeszukując pamięć.

- Nie udało ci się?

- Nie kochałem Henrietty Clements tak, jak ona chciała, żebym ją kochał.

Zapadło milczenie. Poczucie winy przenikało duszę Gabriela jak zimny północny wiatr. Przez całe swoje dorosłe życie nawiązywał romanse z kobietami dla celów politycznych, a teraz przyszło mu zbierać owoce swego postępowania. To była jego pokuta i zarazem odkupienie. Impotencja, do której to życie go doprowadziło, była w pełni zasłużona. To była kara boża za wszystkie spowodowane przez niego zniszczenia. Nie mógł temu zaprzeczyć. Gdyby w tej chwili był sam, uderzyłby w coś pięścią, a ponieważ nie był sam, zacisnął tylko dłonie tak mocno, że paznokcie wbiły się w skórę.

- A może ja skrzywdziłem twoją siostrę w taki sam sposób? - rzekł naraz Daniel.

- O czym ty mówisz?

- O Charlotte. Ja też nie kochałem jej wystarczająco mocno i dlatego niszczyliśmy się wzajemnie. Chodzi o coś podobnego, prawda?

Milczenie przeciągało się.

- Ale potem Amethyst nauczyła mnie, na czym polega szczerza miłość - dodał Daniel.

Boże, pomyślał Gabriel, co ja bym dał za taką żonę! Znów ogarnęło go poczucie pustki i samotności. Nie zaznał dotychczas prawdziwej bliskości z drugą osobą i teraz już wiedział, że to nigdy nie będzie możliwe. Przez chwilę niemal czuł nienawiść do przyjaciela za to, że tamten był szczęśliwy. Człowiek, którego spotyka zły los, zawsze ma wrażenie, że wszystkim dokoła wie-

dzie się lepiej. Nawet jego siostra, która w życiu podjęła sporo złych decyzji, napisała ostatnio, że poznała w Edynburgu bogatego i dobrze wykształconego mężczyznę i zamierzała związać z nim swoją przyszłość.

- Przyjeźdź do Montcliffe, Gabe. Przyda ci się trochę wiejskiego powietrza. Amethyst jest w ósmym miesiącu ciąży, więc nie przyjeżdża już do Londynu. - Daniel Wylde przyglądał mu się uważnie. - Bardzo ją ucieszy twoja wizyta. Mnie też.

Gabriel podziękował za propozycję, obiecał, że się zastanowi, i odszedł.

Przez całą noc myślał o Adelaide Ashfield, o jej uśmiechu i błękitnych oczach. Friar był dla niej zagrożeniem. Gabriel nie wiedział jeszcze, na czym to ma polegać, ale był tego pewien. Znów skupił się na porozkładanych na stole mapach i rysunkach, w których szukał jakiegoś wzoru.

Gdzieś w środku tej łamigłówki znajdował się Clements, ale bardzo starannie zacierał za sobą ślady. Jego kuzyn George Friar opowiadał wszystkim, że przyplłynął do Anglii mniej więcej miesiąc przed śmiercią Henrietty na pokładzie kliperu „Vigilant”, kursującego między Baltimore a Londynem. Gabriel jednak sprawdził listę pasażerów tego konkretnego rejsu i nie znalazł jego nazwiska. Dlaczego Friar kłamał? I czy kłamał również w kwestii własnej tożsamości?

Frank Richardson także odwiedzał Friara i Clementsa. Wraz ze swoim kuzynem, Johnem Goode'em, zatrzymał się w tawernie Pod Białym Koniem. A zatem było ich już czterech. Gabriel szukał sześciu osób, bo o tylu wspominała Henrietta Clements. Gdy przybyła do niego do Ravenshill, była tak rozgniewana, że prawie nie mogła mówić. Tyle pamiętał.

- Mój mąż tu jest - powiedziała po prostu. - Przyjechał zaraz za mną. Jestem pewna, że jego polityczne sympatie są przy Francji i Napoleonie. Zabierz mnie do Ameryki, Gabrielu. Mam ciotkę w Bostonie. Będziemy wolni i razem zaczniemy wszystko od początku. Mam pieniądze i sporo biżuterii. - Otoczyła go ramionami. Próbował się odsunąć i to było wszystko, co pamiętał. Dalej ziała wielka czarna dziura, pusta przestrzeń czasu, z którego nie

miał żadnych wspomnień. Za każdym razem, gdy próbował sobie coś przypomnieć, znajdował tylko ból.

Rozległo się stukanie do drzwi. Gabriel na wszelki wypadek stanął z boku i zawołał:

- Kto tam?

- Archie McCrombie, sir - odezwał się stanowczy głos.

Gabriel otworzył zasuwę i wpuścił do środka niedużego rudzielca. Wraz z nim do pokoju wpadł podmuch chłodnego powietrza.

- Friar zatrzymał się przy Beaumont Street. Przez większość ostatniego tygodnia zabawiał się z dziewczętami pani Fitzgerald. Zostawiłem tam Bena, żeby nigdzie nam nie uciekł.

- Spotkał się z kimś jeszcze?

- Z Frankiem Richardsonem, milordzie. Przychodzili jeszcze inni, ale nie rozpoznałem ich. Ktoś za mną szedł, ale udało mi się go zgubić. Wysoki i dobrze ubrany. Nie pasował do tej dzielnicy i mógłbym się założyć, że był uzbrojony.

- Spodziewał się kłopotów czy zamierzał sam je sprawić?

- Powiedziałbym, że jedno i drugie, sir. Zatoczyłbym krąg i poszedłbym za nim, gdybym nie był umówiony z panem.

- Nie, dobrze zrobiłeś. Dajmy im sznur, na którym się powieszą. Nie chcemy złapać jednej ryby, tylko wszystkie sześć.

- Tak, sir.

Po wyjściu McCrombiego Gabriel podszedł do okna. Wieczór był szary i zimny, padał deszcz. Gabriel myślał o tym, że żył zaledwie cieniem życia, jakie prowadził wcześniej.

Stan jego finansów był kiepski. W nieskończoność przeglądał księgi majątkowe, szukając oszczędności, ale zarówno Ravenshill, jak i londyński dom pochłaniały ogromne fundusze. Nie był wciąż zupełnie bez grosza, tak jak kiedyś Daniel Wylde, ale jeszcze kilka lat i...

Otrząsnął się z tych myśli. Gdy już dopadnie wspólników Clementsa, będzie mógł wyjechać z Londynu i zamieszkać na stałe w Ravenshill Manor, a wtedy sprzeda dom w mieście. Nowobogacy bardzo chętnie kupowali stare arystokratyczne rezydencje w dobrych dzielnicach. Wiedział, że nie będzie miał kłopotów ze znalezieniem kupca, a w Essex jakoś sobie poradzi, przynajmniej

dopóki matka będzie żyła. Zaklął cicho, gdy przypomniał sobie ich rozmowę przy kolacji poprzedniego wieczoru.

- Musisz sobie znaleźć żonę, która dałaby ci dzieci, Gabrielu. Byłbyś o wiele szczęśliwszy.

Wezbrał w nim gniew, który tlił się w duszy od czasu pożaru.

- Wątpię, czy kiedykolwiek się ożenię - wybuchnął.

Blizny na prawym udzie przypominały mu o wszystkim, co należało już do przeszłości. Żadna normalna kobieta nie zechce go w takim stanie. Nawet kurtyzany i prostytutki były poza jego zasięgiem.

Matka położyła dłoń na jego dłoni. Poczul jej ciepło i kruchość. Ostatnio popadała w coraz większą melancholię. Gabriel próbował jednak złagodzić jej obawy.

- Wszystko się jakoś ułoży. Niedługo wyjedziemy z Londynu i wrócimy do Essex. Będiesz mogła zajmować się ogrodem i czytać. Może znów zaczniesz grać na fortepianie?

W starych, przyćmionych oczach zebrały się łzy.

- Nadałam ci imię anioła z Biblii. Dobrze zrobiłam, bo czasami wydaje mi się, że zostałam mi już w życiu tylko smutek.

Potrząsnął głową, nie chcąc tego słuchać. Przyszły mu do głowy nauki starożytnego pasterza Hermasa: *Gdy chodzi o wiarę, każdemu człowiekowi towarzyszą dwa anioły - jeden prawości, a drugi niegodziwości.* Anioł niegodziwości opisywał go w tej chwili lepiej, ale Gabriel wolał nie wspominać o tym matce.

A zatem do tego doprowadziło go życie. Był zgorzkniały, głupi, przepełniony gniewem, zamknięty na wszystko. Nawet Alan Wolfe, szef brytyjskiego wywiadu, stwierdził, że Gabriel po pożarze stał się zbyt znaną osobą i nie może już służyć tak jak wcześniej. Toteż większość czasu spędzał sam, dzień po dniu i tydzień po tygodniu, skupiony na osobistej zemście. Kiedyś uważał, że pragnienie zemsty jest niszczącym uczuciem, a teraz... To było jak narkotyk, przenikało go do szpiku kości, rozpraszając otępienie.

Coraz więcej trudu kosztowało go przestrzeganie konwencji, udawanie lekkoducha i dandysa. Koronkowe mankiety koszul, starannie zawiązany krawat, uśmiech pokrywający wściekłość i coraz głębsze poczucie samotności.

Szczerłość Adelaide Ashfield wstrząsnęła nim i skłoniła do my-

ślenia, jej bezpośredniość przeniknęła przez wszystko, co próbował ukryć. Widział jednak w jej oczach, że ona również nie mówi mu wszystkiego. A Friar krążył wokół niej. Każda rozmowa z nim skupiała się wokół dwóch tematów: pogardliwych uwag na temat rodziny królewskiej i parlamentu oraz potrzeby znalezienia dobrej żony.

Rewolucje były owocem niedoboru i utraty. Gabriel w żaden sposób nie potrafił zrozumieć, dlaczego George Friar, który, jak twierdził, prowadził udane interesy w Baltimore, miałby łączyć swój los z losem kuzyna o antybrytyjskich przekonaniach. Choć byli ze sobą spokrewnieni, to jednak bardzo się różnili. Może chodziło o fanatyzm religijny? Coraz głośniej szeptano o deprawacji młodego księcia. Ameryka, która niedawno zdobyła niepodległość, zdawała się oferować lepszy i bardziej szczerzy sposób życia, większą równość społeczną nieograniczaną przez pozbawionego skrupułów monarchę.

Przypuszczenia i nieufność – z tego teraz składało się jego życie. Gabriel rzadko wierzył pozorom, w każdej twarzy wypatrywał cienia.

Napełnił szklanekę, próbując sobie przypomnieć dźwięk śmiechu panny Adelaide Ashfield. Ręka, w której trzymał kryształową karafkę, drżała.

Adelaide była pierwszą osobą, która wydawała mu się szczerą i prawdziwą, bez cienia sztuczności i udawania. Ale Gabriel wciąż się zastanawiał, kto ją kiedyś skrzywdził.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Adelaide starała się polubić Fredericka Lovelace'a, earla Berrick, choć był próżny i nudny, a te dwie wady sumowały się w trzecią – płytkość.

- Mimo wszystko ma arystokratyczny tytuł – stwierdził jej wuj z dumą, gdy zauważył zainteresowanie Berricka Adelaide. - Wydawało mi się, że Richard Williams to dobra partia, ale tu masz człowieka, który wart jest dziesięć tysięcy funtów rocznie, moja droga, a domu na wsi zazdroszczą mu wszyscy.

Adelaide jednak z trudem udawała zainteresowanie, gdy wspomniany earl zasypywał ją faktami dotyczącymi wyścigów konnych. Gdy wreszcie skończył przydługi monolog, zapytał:

- Czy lubi pani konie, panno Ashfield?

Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że nie zadał jeszcze żadnego pytania, które by dotyczyło jej samej.

- Nie, milordzie. Zwykle staram się trzymać od nich z dala – odrzekła.

Lady Harcourt zmarszczyła czoło, a wuj natychmiast zaczął mówić:

- Moja bratanica rzecz jasna jeździ konno, choć nauczyciel, który miał doskonalić jej jazdę, uważa, że nieco brakuje jej odwagi. Może zechciałby pan przejechać się z nią po Hyde Parku? Sądzę, że potrzebuje po prostu więcej praktyki.

- W rzeczy samej, jeśli wybiera się pani dzisiaj na przejażdżkę, to może się spotkamy, panno Ashfield? Z największą chęcią pomogę pani w jeździeckiej edukacji.

Wuj wydawał się zadowolony. Z dumą pokiwał głową.

- Skoro pan już o tym wspomina, to rzeczywiście zamierzaliśmy wybrać się dziś do parku.

Adelaide nie odpowiedziała, ale puls jej przyspieszył. Modliła się w duchu, by wuj nie obiecał Berrickowi jej towarzystwa.

- Może spotkamy się tam z panem około piątej?

Adelaide nic na to nie mogła odpowiedzieć. Zadowolona była tylko, że wuj zamierzał jej towarzyszyć. Ale właśnie tego rodzaju bzdury od samego początku powstrzymywały ją przed przyjazdem do Londynu.

- W takim razie będę w parku o piątej. - Berrick ujął jej dłoń i skłonił się nisko, ukazując wyraźną łysinę.

Gdy odszedł, wuj dopił brandy i spojrzał na bratanicę.

- Sądzę, Adelaide, że to dobrze wychowany młody człowiek o szerokich zainteresowaniach i sporym majątku. Przynajmniej mielibyśmy pewność, że nie żeni się z tobą dla pieniędzy.

Adelaide słuchała go z przerażeniem.

- Obiecałeś, wuju, że jeśli przyjadę do Londynu na sezon, pozwolisz mi samej wybrać sobie męża. Nie chcę, żebyś mi dyktował, kto jest odpowiedni, a kto nie.

- Wszystko pięknie, moja droga, ale Frederick Lovelace to dobry człowiek o doskonałym pochodzeniu i jako twój wuj czuję się w obowiązku zauważyć, że przysporzyłby naszej rodzinie doskonałych koneksji.

- Może to dobry człowiek, wuju, ale nieodpowiedni dla mnie.

Alec Ashfield obrócił się w jej stronę i po raz pierwszy w życiu Adelaide zobaczyła w jego oczach gniew.

- W takim razie znajdź sobie lepszego, moja droga. Znajdź takiego, który będzie spełniał twoje wymagania, a dam ci swoje błogosławieństwo.

W atmosferze pojawiło się napięcie. Lady Harcourt podniosła się z miejsca.

- Jestem pewna, że znajdzie, Alecu. Być może twoja bratanica potrzebuje trochę czasu, żeby zrozumieć, jaki zaszczyt wyrządza jej earl Berrick, ale miejmy nadzieję, że to umówione spotkanie przybliży nas do celu.

Wracając do swojej sypialni na piętrze, Adelaide miała ochotę głośno krzyczeć. Teraz już była pewna, że niepotrzebnie zgodziła się na przyjazd do Londynu. Trzeba było zostać w Sherborne i nie zważać na żadne argumenty. Po jej policzku spłynęła łza. Otarła ją gniewnie.

Jej ciotki bez dyskusji godziły się z tym, że gotowa była zostać starą panną. Nie musiała im niczego wyjaśniać. One również kie-

dyś podjęły taką decyzję i żadna nawet przez chwilę tego nie żałowała.

Naraz cały dzień wydał jej się duszny i trudny, a w dodatku czekało ją jeszcze kilka godzin w Hyde Parku w towarzystwie adoratora, który robił sobie zbyt wielkie nadzieje. Czy nie mogłaby udać, że zachorowała? Potrząsnęła jednak głową. Nie, musi się spotkać z earlem Berrick i powiedzieć mu osobiście, że nie ma zamiaru wychodzić za niego ani za kogokolwiek innego. Miała nadzieję, że na tym się cała sprawa zakończy.

Przejażdżka zaczęła się nie najlepiej. Lord Berrick ujął jej dłoń i przycisnął do niej usta. Adelaide natychmiast skojarzyło się to ze spotkaniem z panem Friarem. Wyrwała mu palce, schowała rękę za plecy i stanęła w milczeniu. Wszyscy dokoła patrzyli na nich z zaciekawieniem.

- Bardzo czekałem na tę chwilę, panno Ashfield. Mam nadzieję, że pozwoli pani pomóc sobie wejść na siodło.

Podłożył dłonie pod strzemień. Adelaide podziękowała mu. Pomyślała, że gdy wsiądzie na konia, Berrick przynajmniej nie będzie mógł jej dotykać i może wtedy uda jej się nieco rozluźnić. Przed bramą parku obydwójce z wujem zsiadli z koni i teraz wuj pozostał z tyłu, zapewne po to, by dać jej trochę czasu sam na sam z Frederickiem Lovelace'em.

Na szczęście ruch w parku był spory. Adelaide miała nadzieję, że uda jej się objechać trasę, nie wdając się w zbyt długie rozmowy z Berrickiem. Zamierzała tylko powiedzieć mu, że nie planuje wychodzić za mąż.

Nigdy nie czuła się pewnie w siodle, a tutaj, pośród wielu wierzchowców, jej ogier denerwował się i trudno go było okiełznać. W Northbridge rzadko jeździła konno; z dworu do wioski nie było daleko, toteż wolała chodzić pieszo. Zdawało się jednak, że w Londynie wszyscy są wytrawnymi jeźdźcami.

Wzięła głęboki oddech, próbując stłumić lęk. Wielokrotnie słyszała, że konie wyczuwają zdenerwowanie jeźdźcy, a sądząc po zachowaniu zwierzęcia, na którym siedziała, potrafiło ono przeniknąć jej uczucia na wylot. Do tego ogier nieustannie zbaczał w stronę klaczy, na której jechał earl Berrick. Jeszcze tylko tego

brakowało, pomyślała, i owinęła wodze na dłoni, próbując odciągnąć wierzchowca na bok.

Podniosła wzrok i nieoczekiwanie zobaczyła przed sobą roześmiane oczy lorda Wesley.

- Panno Ashfield - uniósł kapelusz. Jechał na ogromnym czarnym ogierze, który dumnie unosił głowę i wyróżniał się na tle innych zwierząt w parku. Na takich koniach zapewne rycerze przystępowali do bitew. Jaki pan, taki kram, pomyślała Adelaide, zadowolona, że obecność Wesleya nieco przyhamowała zapędy lorda Berrick. Zdecydowała, że okrąży tor jeszcze dwa razy i na tym zakończy przejażdżkę, a jeśli po drodze uda jej się zbliżyć do Wesleya, tym lepiej.

- Widzę, że równie dobrze potrafi pani jeździć jak tańczyć walca - usłyszała i nie była w stanie powstrzymać szerokiego uśmiechu.

- Jeszcze nie widział pan, jak maluję akwarele i haftuję. Z tymi niezbędnymi kobiecie umiejętnościami radzę sobie jeszcze gorzej.

Jego śmiech przenikał ją na wylot.

- W takim razie co robi pani dobrze?

- Leczę. Prowadzę praktykę w Northbridge. Ludzie przybywają z daleka po moje maści i napary. Widzi pan, mam tam ogród, a ciotki nauczyły mnie wielu rzeczy o...

Urwała na widok jego zdziwienia. Może takie umiejętności również nie były uważane za odpowiednie dla kobiety z dobrego towarzystwa?

- Tak jak Asklepios? - zapytał. Potrząsnęła głową.

- No cóż, nie potrafię ożywiać umarłych tak jak on, milordzie, ale też nie chciałabym, by Zeus poraził mnie gromem.

- Można by się zastanawiać, czy przyjmowanie złota za wskrzeszanie umarłych było w dobrym guście. Ktoś musiał położyć temu kres.

Adelaide była zdumiona. Oprócz wiekowych ciotek rzadko spotykała kogoś, kto potrafiłby spamiętać skomplikowane imiona i uczynki bohaterów greckiej mitologii. Lord Wesley musiał być doskonale wykształcony. Dlaczego zatem ukrywał swoją edukację? Słońce zabarwiało jego włosy na rozmaite odcienie jasnego

brązu, czerwieni i złota. Gdy odgarnął włosy z czoła, zauważyła, że kostki lewej dłoni miał posiniaczone i pokaleczone. Czyżby był to skutek spotkania z Friarem?

Rozejrzała się, sprawdzając, czy lord Berrick nie znajduje się zbyt blisko niej, i powiedziała:

- Jeśli pan chce, mogę panu dać maść na te palce.

W odpowiedzi Wesley schował rękę w kieszeni. Adelaide z westchnieniem poprawiła okulary.

- Po co je pani nosi? - zapytał z niezadowoleniem.

- Okulary? - Nie była pewna, czy dobrze go zrozumiała.

- W tych oprawkach jest zwykle szkło. Ktoś, kto ma kiepski wzrok, potrzebuje grubszych soczewek.

- Czy hoduje pan sokoły, milordzie? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Obrócił się w jej stronę.

- Nie, a dlaczego pani pyta?

- Bo sądzę, że nieco przypomina pan te ptaki. One również uważają wszystko, choć wydają się na nic nie zwracać uwagi.

Gabriel Hughes uprzejmie skinął jej głową i został z tyłu, a na jego miejsce podjechał Lovelace.

- Jakaż to piękna pora dnia, panno Ashfield, nieprawdaż? Chciałbym również powiedzieć, że doskonale pani jeździ.

Adelaide stłumiła śmiech, a także chęć, by zawrócić konia i odszukać w tłumie zagadkowego lorda Wesley.

Jechała kłusem, a wesoły jak szczygiełek Lovelace wciąż coś do niej mówił. Gabriel popatrzył na nią i pomyślał, że powinien skierować się do bramy i opuścić park, ale coś kazało mu zostać. Później przyszło mu do głowy, że może był to jej wyraźny brak swobody w siodle, a może bezpośrednie spojrzenie, jakie mu rzuciła, proponując maść na poranione palce.

W pobliżu rozległ się okrzyk. Jakiś młody człowiek wołał do przyjaciela. W każdej innej sytuacji taki dźwięk nie miałby żadnego znaczenia, ale Adelaide ściągała wodze tak mocno, że jej koń zdenerwował się i stanął dęba. Nie było żadnej nadziei, by mogła sama go uspokoić, a Berrick tylko odsunął się na bok i patrzył, niepewny, co powinien zrobić.

Gabriel w jednej chwili zeskoczył z siodła, podbiegł do spłoszonego wierzchowca, pochwycił luźno wiszące wodze i nakazał Adelaide Ashfield trzymać się grzbietu za wszelką cenę. Zwróciła na niego przerażone niebieskie oczy, ale posłusznie przycupnęła na grzbiecie ogiera, zaciskając palce na grzywie.

Po chwili udało mu się uspokoić konia. Wyciągnął ramiona do przerażonej Adelaide.

- Może pani już puścić grzywę. Trzymam panią.

Nie była w stanie rozprostować palców. Musiał zrobić to za nią, a potem ujął ją wpół, zsunął z końskiego grzbietu i postawił na ziemi. Na szczęście podszedł do nich ktoś, kto pochwycił wodze.

- Jest pani już bezpieczna.

- Dzię-dziękuję - wykrztusiła bez tchu, drżąc na całym ciele. Z włosów wysunęły jej się szpilki i zgubiła gdzieś kapelusz. - Nigdy nie lubiłam ko-koni i o-one też mnie nie lubią. Po-powinłam pójść pieszo.

- I stracić taką przygodę? W każdym razie nie pozwoliła się pani zrzucić. Gdyby wylądowała pani na tyłku w samym środku parku, byłby to znacznie większy powód do konsternacji.

Uśmiechnęła się i otarła łzy wierzchem dłoni. Wciąż była w szoku, ale jego żart wyraźnie ją uspokoił.

Wuj Alec mocno pochwycił ją za ramię.

- Widziałem, co się stało. Czy nic ci nie jest?

- Nie... Wszystko w... w porządku.

Alec Ashfield przeniósł uwagę na Gabriela Hughesa.

- Lordzie Wesley - powiedział lodowatym tonem. - Dziękuję za pomoc, ale sądzę, że teraz już poradzimy sobie sami.

- Oczywiście, lordzie Penbury - odrzekł earl równie chłodno i odszedł, prowadząc konia za sobą.

Adelaide miała ochotę pobiec za nim. Przy nim czuła się bezpiecznie. Chciała mu powiedzieć, że wszystko jest w porządku i że podoba jej się jego poczucie humoru.

Na miejscu opuszczonym przez Hughesa stanął lord Berrick.

- Dałbym sobie radę z pani koniem, panno Ashfield, ale Wesley mnie ubiegł. Nie wiedziałem, że jest pani tak niedoświadczona, bo inaczej nie proponowałbym przejażdżki po parku. Obawiam

się teraz, że pani sukienka jest zupełnie zniszczona, a kapelusz zgnieciony. Na szczęście okulary się nie stłukły, więc jest również powód do radości!

Nawet jej wuj patrzył na Lovelace'a z pewnym niedowierzaniem. Ten zaś nie przestawał gadać aż do chwili, gdy podbiegł do nich Bertram.

- Mój Boże, Wesley jest bohaterem! - wykrzyknął z wyraźnym podziwem. - Gdyby nie utrzymał twojego konia, Addie, spadłabyś, a upadek z tak dużego zwierzęcia jest bardzo bolesny.

- To prawda - odrzekł jej wuj z napięciem.

- Mam nadzieję, że ktoś mu podziękował? - ciągnął Bertram, zdając się nie zauważać chłodnej atmosfery. - Na pewno ramię będzie go bolało.

Adelaide uśmiechnęła się. Jej kuzyn, choć grał i pił za dużo, czasami był niezrównany.

- Może nie podziękowaliśmy mu tak wylewnie, jak powinniśmy - przyznał wuj cicho. - Napiszę do niego, kiedy wrócimy do domu.

Adelaide zmęczona sytuacją ucieszyła się, gdy wuj i kuzyn poprowadzili konie w stronę bramy.

Wykąpała się, przebrała i gdy już jej żołądek się uspokoił, wyjęła z garderoby dużą skórzaną torbę. Nigdzie się nie ruszała bez swoich maści i tynktur. Przywracały jej równowagę i pozwalały się uspokoić jak nic innego. Lubiła czuć w ręku ciężar moździerza.

Nie było trudno zrobić maść na poranione palce. Z bursztynowej flaszeczki wlała do moździerza sporą dawkę ziół w oleju - arnika na sińce i nagietek na otarcia. Z lubością wdychała zapach kamfory i rzęsy wodnej, które ściągały skórę i łagodziły podrażnienia.

Na małym palniku roztopiła w niskiej temperaturze pszczeli wosk i dodała trochę do mieszanki. Na koniec dorzuciła jeszcze lawendę o ostrym, męskim zapachu. Wybrała niedużą buteleczkę z jaskrawozielonego szkła, przelała roztwór i mocno zakorkowała, a potem owiązała szyjkę sznureczkiem i przymocowała gałązkę lawendy. To było wszystko. Wyjęła jeszcze arkusz papieru

z sekretarzyka, owinęła buteleczkę i włożyła do środka krótką wiadomość. Nie miała pojęcia, gdzie mieszka earl, toteż wezwała kamerdynera wuja i kazała mu dopilnować, by paczuszkę jak najszybciej doręczono lordowi Gabrielowi Wesley.

Przesyłkę dostarczono po późnej kolacji. Przyniósł ją chłopak, służący Penbury'ego, który został poinstruowany, by lekarstwo trafiło bezpośrednio do rąk adresata.

- Panna Ashfield mówiła, że inaczej się zepsuje. Powiedziała, że powinien pan to zużyć w ciągu najbliższych kilku dni, milordzie, bo wtedy lekarstwo będzie miało najsilniejsze działanie.

- Dobrze. - Gabriel zaczekał, aż chłopak wyjdzie, i zamknął za nim drzwi. Z paczuszki dochodził silny zapach lawendy.

Otworzył przesyłkę przy biurku. Do buteleczki dołączony był liścik.

Lordzie Wesley,

dziękuję za pomoc w parku. Miał Pan rację, gdyby mnie Pan nie ocalił, zapewne byłabym teraz mocno posiniaczona. Tym większą więc mam nadzieję, że pańska pokaleczona ręka nie ucierpiała bardziej przez to, co Pan dzisiaj zrobił.

Przesyłam lekarstwo. Proszę smarować tym stłuczenie na noc i rano. Złagodzi również ból mięśni. Jestem pewna, że zauważy Pan różnicę.

*Szczerze oddana,
Adelaide Ashfield*

Gabriel musiał się uśmiechnąć. Zadrapania na jego dłoni nic nie znaczyły w porównaniu z obrażeniami, jakich doznał wcześniej, ona jednak pomyślała o nim i uczyniła gest, który - choć nieoczekiwany - został jednak przyjęty z wdzięcznością.

Wylał odrobinę olejku na dłoń i poczuł przyjemny chłód na skórze. Pod zapachem lawendy kryły się jeszcze inne, ale nie był na tyle wprawny, by je rozpoznać. Chyba była tam kamfora. Pamiętał zapach kamfory; była w maściach, którymi smarowano mu oparzenia po pożarze i wiedział, że tej woni nigdy nie zapomni. Ciekaw był, czy lekarstwo Adelaide mogłoby zmniejszyć nieprzyjemne ciągnięcie blizny na udzie. Postanowił spróbować przed

pójściem do łóżka.

Nigdy jeszcze nie dostał prezentu, który dostarczono by mu do rąk własnych. Dawał błyskotki kochankom, ale one nie odwdzięczały mu się tym samym, a jego własna rodzina nie zwracała sobie głowy prezentami. W dzieciństwie myślał przede wszystkim o tym, jak przetrwać przy ojcu, który często wpadał w złość. Gdy Geoffrey Hughes zginął w bójce karczemnej, pozostali członkowie rodziny odetchnęli z ulgą.

Strata rodzica w wieku trzynastu lat jest jednak bolesnym przeżyciem. Gabriel był po prostu trudnym dzieckiem, za to jego siostra z dnia na dzień zupełnie wymknęła się spod kontroli. Nic dziwnego, że matka, nie mogąc sobie z tym wszystkim poradzić, popadła w melancholię, która od tamtej pory już jej nie opuściła.

W kilka lat później Gabriel zaczął kompensować sobie ruinę życia rodzinnego w ramionach chętnych kochanek. Ich zadowolenie działało na niego kojąco. Ale teraz już nie mógł tego czynić.

Przyłożył dłoń do nosa, wdychając zapach dobroci, uzdrowienia i Adelaide Ashfield. Żałował tylko, że nie przyniosła mu podarunku osobiście.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Po nieudanej przejażdżce następnego poranka wuj Alec i lady Harcourt nie zmuszali Adelaide do żadnych wyjść. Zostawili ją samą na cały dzień, a gdy oznajmiła, że chciałyby odwiedzić sklep Świątynia Muz należący do firmy Lackington, Allen and Co., mieszczący się przy Finsbury Square, wuj kazał przygotować dla niej powóz.

Towarzyszyła jej tylko pokojówka, toteż Adelaide wreszcie poczuła się znacznie swobodniej niż w ostatnich tygodniach. Mięśnie ramion nieco ją bolały od szarpaniny z koniem, ale tak czy owak, uznała, że zrobiła dobry interes.

Niebo było błękitne, a powietrze świeże. Przystanęła przed sklepem i podniosła głowę. Nad wielką kopułą powiewała flaga. Wiatr niósł z oddali dźwięk dzwonów.

Ciotka Jean i ciotka Eloise często mówiły o tym miejscu przyciszonym głosem. Opowiadały jej o nieprzebranej ilości książek, które sprzedawano tu w niewygórowanych cenach. Adelaide nie mogła się już doczekać, by zobaczyć to wszystko na własne oczy.

Weszła do środka i znalazła się w okrągłym pomieszczeniu obstawionym dokoła regałami, na których aż po sufit wznosiły się rzędy książek. Przeglądało je mnóstwo klientów. Adelaide zapytała sprzedawcę, gdzie znajdzie książki o angielskich roślinach. Skierowano ją do mniej gwarnej części budynku, gdzie zobaczyła całe rzędy obiecujących tytułów.

Milly była zachwycona, gdy Adelaide zapewniła, że nie ma nic przeciwko temu, by dziewczyna również poszukała czegoś dla siebie. W Northbridge nauczyła pokojówkę czytać i wiedziała, że Milly ucieszy się, mogąc skorzystać z okazji i znaleźć sobie lekturę.

Czterdzieści minut później Adelaide z wielkim naręczem książek rozejrzała się za jakimś miejscem, gdzie mogłaby usiąść.

Skręciła za róg i przy jednym ze stołów zobaczyła earla Wesley.

Nie wydawał się zadowolony ze spotkania. Na jej widok zmarszczył czoło, ale zupełnie nie ujęło mu to uroku.

- Panno Ashfield - powiedział.

Przed nim na stole leżały rozłożone mapy i trasy statków, Adelaide zauważyła jednak kilka tomów, które bardzo przypominały botaniczne książki, jakie sama wybrała. Wesley mimochodem nakrył je arkuszem papieru. Ciekawa była, czegoż to earl może szukać w tomie Williama Woodville'a traktującym o botanice medycznej. Opisane tam były rozmaite choroby oraz najnowsze sposoby ich leczenia.

- Nie spodziewałam się pana tu zobaczyć, milordzie. - Zatrzymała spojrzenie na jego dłoni. Skaleczenia wyglądały znacznie lepiej niż poprzedniego dnia.

- Sądziła pani, że łatwiej mnie spotkać w przybytkach wątpliwej reputacji? - Szybko odzyskał humor, ale dostrzegła w nim również dziwną ostrożność.

- Mam nadzieję, że maść, którą panu wysłałam, przydała się.

Spojrzał na swoją dłoń i powiedział powoli:

- Przydała się. Sińce prawie zniknęły.

- To pewnie zasługa arniki z kroplą octu. Proszę smarować jeszcze przez dwa dni rano i wieczorem. Lekarstwo jest najskuteczniejsze, gdy świeże, ale powinno wytrzymać kilka miesięcy, jeśli będzie pan zamykał je szczelnie i przechowywał w miejscu, gdzie nie będzie narażone na bezpośrednie światło słoneczne.

- Ma pani duże umiejętności, panno Ashfield.

- A sądził pan, że jest inaczej?

- Naprawdę nie wiem, co o pani myśleć. Kobieta, która zajmuje się nauką i leczeniem. Debiutantka, która przybyła tu na sezon, jednak próbuje uniknąć świętego związku małżeńskiego. Dama, która nie uważa, by kobieta musiała być biegła w malowaniu, tańcu i hafcie, ale najwyraźniej zaczytuje się w książkach o botanice i medycynie. Czy także w romansach? - dodał, zerkając na cieńsze tomy na samym dole sterty.

To była gra dla dwojga, a Adelaide nie zamierzała rezygnować z okazji.

- A co mam powiedzieć o panu, milordzie? Trasy statków dale-

komorskich i mapy angielskiej prowincji, a także dzieła botaniczne podobne do moich. Czy jest pan chory?

O dziwo, zarumienił się i odwrócił wzrok.

- Nie.

A zatem było to jakieś prywatne zmartwienie, o którym nie miał ochoty mówić. Adelaide często widywała podobne reakcje u pacjentów i choć zachowanie Wesleya nieco ją zdziwiło, uznała, że lepiej będzie zmienić temat.

- Czy znalazłby pan czas, by nauczyć mnie jazdy konnej, lordzie Wesley?

Znów na nią spojrzął, już bez śladu zażenowania.

- Dlaczego?

- Nie lubię czuć się pokonana, a pan wydaje się biegłym jeźdźcem.

Zmarszczka na jego czole pogłębiła się.

- A czy wuj pozwoliłby pani jeździć ze mną?

- Dlaczego nie?

- Opiekunowie debiutantek zazwyczaj nie patrzą na mnie przychylnie.

- Nie jestem już taka młoda - odrzekła Adelaide, na co Wesley tylko się zaśmiał.

- Ile to jest dokładnie „nie taka młoda”?

- Mam dwadzieścia trzy lata.

Znów się roześmiał.

- Proszę mi wierzyć, że z mojego punktu widzenia jest pani bardzo młoda.

- A pan ile ma lat?

- Trzydzieści cztery. Jestem o całą dekadę bardziej doświadczony od pani.

- To dobrze.

- Słucham?

- To może się przydać, jeśli mam sobie tu poradzić. Doświadczenie towarzyskie wydaje się koniecznością w londyńskich salonach.

- Cóż, z Friarem poradziła pani sobie samodzielnie.

Adelaide potrząsnęła głową.

- Nie, po prostu potknął się o doniczkę.

- Szczęście często jest równie ważne jak talent, panno Ashfield. Człowiek szybko się o tym przekonuje.

- W takim razie mogę stwierdzić, że miałam szczęście, poznając pana, milordzie. Jest pan jedynym człowiekiem w towarzystwie, z którym, jak się wydaje, mogę rozsądnie porozmawiać i który ma podobne poglądy na małżeństwo jak ja.

- W takim razie proszę pozwolić, że wybiorę konia dla pani.

Uśmiechnęła się na tę zmianę tematu. Wesley potrafił ją zaskoczyć. Niepewna, co powiedzieć, skinęła tylko głową.

- Spotkajmy się w parku jutro o drugiej. O tej porze nie ma jeszcze zbyt dużego ruchu.

- Dobrze. Oczywiście zapłacę panu za pański czas i za wynajęcie konia. Mam nadzieję, że wybierze pan jakiegoś niedużego i łagodnego.

- Ile mi pani zapłaci? - Uśmiechnął się.

- Nie wiem. A jakie są stawki?

- Zapłaci mi pani rozmowami takimi jak ta, panno Ashfield, oraz możliwością poznania pani lepiej.

- Dlaczego chce mnie pan lepiej poznać?

Znow się uśmiechnął.

- Zapewne byłaby pani zdziwiona, gdybym odpowiedział szczerze.

Przez chwilę przemknęło między nimi coś, czego Adelaide jeszcze nigdy nie doświadczyła. Zapało jej dech. Jednocześnie poczuła pragnienie i zagrożenie; cofnęła się. Przystojna twarz Wesleya wciąż jednak pozostawała nieprzenikniona.

- Być może, lordzie Wesley, jeśli spędzę trochę czasu w pańskim towarzystwie, stanę się mniej pożądaną kandydatką na żonę. Okulary chyba nie spełniają pokładanych w nich nadziei.

Z jego ust wyrwało się przekleństwo. Adelaide porwała swoje książki i uciekła do głównej sali, gdzie było więcej ludzi, a przez to czuła się bezpieczniej. A niech to, dlaczego Gabriel Hughes musiał być tak piękny? Wolałaby, żeby jego twarz miała jakąś skazę, wolałaby też nie dostrzegać wrażliwości, którą tak zręcznie ukrywał za obojętnością i brawurą. Potrzebowała przyjaciela, kogoś życzliwego, komu mogłaby się zwierzyć i kogo mogłaby dowolnie urabiać, a enigmatyczny lord Wesley był skomplikowa-

ny, trudny i nieprzenikniony. Niewielka blizna za uchem po prawej stronie tylko dodawała mu uroku. Był zwodniczy – tak, to było odpowiednie słowo. Urok i niebezpieczeństwo spletały się w nim w złowróżbną całość. Wydawał jej się również interesujący, wołała jednak nie zastanawiać się nad tym ani chwili dłużej i pospieszyła na poszukiwanie pokojówki.

Panna Adelaide Ashfield wiecznie uciekała. Wygłaszała jakiś nieoczekiwany komentarz, od którego zaczynało mu się kręcić w głowie, a potem odwracała się i odchodziła w przeciwnym kierunku.

Czy naprawdę chciała mieć splamioną reputację? Przez niego? Poczł się rozbawiony, ale zarazem przeszyło go ukłucie żalu. Nie dotknął jej, choć miał na to wielką ochotę. Chciał poczuć gładkość jej skóry, dotknąć pięknie ukształtowanego miejsca, gdzie szyja łączyła się z obojczykiem. Znieruchomiał i z nadzieją przymknął powieki, przypominając sobie płomień w jej oczach, ostry język i do tego dziewczęce romanse zagrzebane pod stertą naukowych dzieł. Sprzeczności i pytania.

Jednak jego bezużyteczny członek nawet nie drgnął. Wesley uniósł dłoń do twarzy i odetchnął głęboko. Poczł zapach lawendy, arniki, kamfory i octu. Zdziwiająca kombinacja. Były tam jeszcze jakieś inne składniki, o których nie miał pojęcia.

– Do diabła! – powiedział do siebie. Panna Adelaide Ashfield bardzo przypominała swoje lekarstwo – niezwykła kobieta, dzielna uzdrowicielka. Nic dziwnego, że Lovelace i podobni tańczyli przed nią na dwóch łapkach.

Mógł się wykręcić od lekcji jazdy i wiedział, że powinien był to zrobić. Gdyby miał w sobie choć odrobinę przyzwoitości, po prostu zniknąłby z jej życia i pozwolił, by radziła sobie sama w londyńskim towarzystwie. Nie miał jej przecież nic do zaoferowania. Jego ciało było równie wypalone jak rodowa siedziba.

Ale choć jedna część jego umysłu skupiała się na negatywach, druga już planowała, jak i kiedy przeprowadzić pierwszą lekcję jazdy. Zirytował się, gdy znów poczuł w całym ciele drżenie, które ostatnio dopadało go tak często. Nie chciał, by Adelaide się dowiedziała, jakim jest wrakiem człowieka. W jej oczach widział

odbicie siebie w wersji, która nadal była godna szacunku.

Zdecydowanym ruchem zdjął dużą mapę z dzieł medycznych i zaczął je kartkować, szukając opisu własnych dolegliwości i lekarstwa.

Szczotkując włosy przed lustrem, Adelaide zastanawiała się, co widział Gabriel Hughes, gdy na nią patrzył. Nie była piękna jak niektóre inne kobiety, obdarzone jasnymi lokami i alabastrową cerą. Nie była delikatna, kobieca ani ponętnie zaokrąglona.

Gdyby miała opisać siebie jednym słowem, powiedziałaaby, że jest zwyczajna. Nigdy nie nauczyła się flirtować, tańczyć ani rozmawiać z mężczyzną, tak by miał wrażenie, że wszystko, co mówi, to szczerą prawdą i z jego ust płynie najwyższa mądrość. Zauważyła, że inne dziewczęta potrafią to robić. Szybki ruch wachlarzem, obracanie kosmyka włosów na palcu, spojrzenie spod rzęs, po którym upatrzony mężczyzna śpieszył z oświadczeniami. To wszystko było grą. Eloise i Jean często jej o tym mówiły i podkreślały, jak poważne są konsekwencje małżeństwa, że odbiera ono niezależność i wybór życiowej drogi kobiety.

Przekonała się o prawdziwości tych ostrzeżeń, gdy poznała Kennetha Davisa, trzeciego syna sir Nigela Davisa, ziemianina z sąsiedniej posiadłości. Adelaide potrząsnęła głową i jej oczy w lustrze pociemniały. Woląла o tym nie myśleć.

Nie opowiadała o tym nikomu oprócz ciotki Eloise, ale czasami w nocy, przy pełni księżyca, wszystko do niej wracało. Miała szesnaście lat, gdy spotkała się z Kennethem Davisem o północy za stajniami. Wymknęła się z sypialni, oczekując komplementów i być może pocałunku albo jakiejś niewielkiej pamiątki świadczącej o jego uczuciu i szacunku. Ale człowiek, który na nią czekał, nie był tym samym chłopakiem, którego znała w ciągu dnia. Jednym gwałtownym ruchem rozdarł jej suknię aż do pasa. Adelaide zastygła w szoku i nawet nie próbowała z nim walczyć. Dopiero gdy poczuła jego zęby na piersiach i dłoń pod koszulą, zaczęła krzyczeć, on jednak mocno przycisnął dłoń do jej ust.

- Koniec tego udawania, moja słodka. Zalecałem się do ciebie przez całe trzy miesiące, ale prawdziwa przyjemność czeka na nas tu i teraz, w ciemnościach. - Jego palce wsunęły się między

jej uda. Poczwała przesycony winem oddech.

Był pijany. Pijany, niebezpieczny i zupełnie inny niż wcześniej.

Zaczęła desperacko walczyć. Uderzyła kolanem tak, jak uczył ją Bertie, prosto w jego krocze. Kenneth Davis upadł jak za działaniem magicznej różdżki. Usta miał otwarte, a bryczesy groteskowo pozwijane wokół kostek. W blasku księżyca widziała jego nagie pośladki.

Uciekła w poszarpanym gorsecie, z bolącymi piersiami i dopiero wówczas zdała sobie sprawę, jak głupio postąpiła, zgadzając się na to spotkanie. Łzy mogły poczekać do chwili, gdy znów znajdzie się w bezpiecznym pokoju, za zamkniętymi na klucz drzwiami.

Błąd, który popełniła, był ogromny i miał dalekosiężne konsekwencje. Czy Kenneth Davis powie o tym komuś? Czy została zhańbiona? Czy teraz będzie musiała wyjść za mężczyznę, którego nienawidziła całym swoim jestestwem? Co powie jej wuj albo ciotki?

Jej życie zmieniło się w horror. Podrapana pierś bolała. W końcu noc przeszła w świt. Ciotka Eloise znalazła ją rankiem, zmarznącą i zesztywniałą. Wykąpała ją, ubrała i doradziła milczenie.

- Tej wojny nie wygrasz, Addie - powtarzała, okrywając bratanicę pledem. - To prawda znana wszystkim kobietom od wieków.

Toteż Adelaide nikomu więcej nie opowiadała o tym, co się stało. Życie znów wróciło na stare tory, ale dla niej zmieniło się wiele. Każdą szczelinę ciszy wypełniał lęk. Bardzo uważała, by nie oddalać się zanadto od ciotek. Przez rok niewiele spała, bo dręczyły ją koszmary.

Potem Eloise i Jean zaczęły ją uczyć sztuki leczenia. W eliksirach, tynkturach i maściach odnalazła dawno zagubiony spokój i poczucie zakorzenienia, które, jak sądziła, straciła już na zawsze. Owszem, czasami wciąż dostrzegała w swojej twarzy odbitej w lustrze przerażenie i panikę, ale teraz przeważnie te uczucia pozostawały ukryte pod maską opanowania i dobrych manier, tylko od czasu do czasu pojawiała się zmarszczka dawnego niepokoju. Kenneth Davis wkrótce po tamtych wydarzeniach wybrał się w długą podróż po Europie. Adelaide często się zastanawiała, czy jego ojciec wiedział, że syn pił zbyt wiele i wpadał potem

w niszczycielski nastrój.

Minęło już prawie osiem lat. Dzień, tydzień, miesiąc, rok – notowała upływ czasu w swoim dzienniku, licząc dni. Coraz dalsza perspektywa dawała jej pociechę, ale nigdy do końca nie zapomniała tamtego przerażenia. Wuj i kuzyn byli jedynymi mężczyznami, z którymi nie bała się pozostać sam na sam.

Jej wzrok napotkał własne odbicie w srebrzystym szkłe i zaczęła się zastanawiać, kim jest teraz. Czy brak ufności więzi człowieka już na zawsze, zamyka go w celibacie i skazuje na staropanieństwo?

- Proszę... - szepnęła, ale zaraz urwała, bo o co właściwie zamierzała prosić? W mroku pojawiła się smużka nadziei, niczym pęd paproci rozwijający się powoli w głębi mrocznej puszczy – Gabriel Hughes. Chodziło o jego poczucie humoru, dobroć i urodę. O to, jak objął ją wpół, gdy pomagał jej zsiąść z konia, o ostrożne spojrzenie w bibliotece, gdy zapytała, dlaczego studiuje botaniczne dzieła, o leniwy ton, gdy sprawdzał puls na szyi George’a Friara i komentował jego styl ubierania.

Adelaide uśmiechnęła się. Jutro o drugiej miała się z nim spotkać w parku. O dziwo, wuj się zgodził. Przywiozła ze sobą stroje jeździeckie z Northbridge; podeszła teraz do szafy, wyjęła je i rozłożyła na łóżku, po czym wybrała spódnicę od jednego i żakiet od drugiego. Przypięła do pienistego kołnierza broszkę z jaskrawoczerwonymi rubinami i pomyślała, że będzie dobrze wyglądać w tym zestawie. Przez chwilę zastanawiała się jeszcze, czy kapelusz, który wybrała, nie jest zbyt formalny, ale zostawiła go, bo zawsze lubiła ten ciemnoniebieski odcień aksamitu.

Dostała go w prezencie od wuja rok czy dwa lata wcześniej. Brat jej ojca był przyzwoitym człowiekiem i chciał dla niej dobrze. Była pewna, że dotrzyma słowa i pozwoli jej wrócić do domu po dwunastu tygodniach sezonu, ale naraz zaczęła się zastanawiać, co jeszcze może się wydarzyć w tym czasie. I znów przed oczami stanął jej uśmiech Gabriela Hughesa.

Adelaide zacisnęła dłonie na skórzanych wodzach tak mocno, że kostki jej palców zbieleły.

- To mi wygląda na strach, panno Ashfield. - Gabriel wskazał

na jej zeszywniałe palce. – Demeter poczuje przez wodze pani drżenie i zacznie się denerwować. – Wyjął wodze z jej ręki. – Proszę trzymać w ten sposób, żeby mogły się przesuwać po wierzchu dłoni. Widzi pani? Trzeba ująć luźno.

– Ona mi się nie wyrwie?

– Proszę spróbować.

– Teraz?

– Jestem tu przy pani. Proszę ruszyć po ścieżce, a jeśli zacznie się denerwować, to ją zatrzymam.

Skinęła głową, choć Gabriel widział, że opanowanie kosztuje ją sporo wysiłku.

– Po tamtym dniu jazda konna nie wydaje mi się już tak bezpieczna jak wcześniej.

– Koń, z którego omal pani nie spadła, nie był wyszkolony. Czy pani wuj nie potrafi ocenić temperamentu zwierzęcia ani pani umiejętności?

– Cóż, wuj czasami jeździ, ale w Northbridge nie ma potrzeby wiedzieć takich rzeczy, bo rzadko wyjeżdżamy dalej niż do wioski.

Gdy klacz ruszyła, Adelaide wzięła głęboki oddech.

– To nie jest drobny i łagodny koń, o jakim myślałam, lordzie Wesley. Czy wypożyczył ją pan u Colesa?

– Nie, należy do mnie.

– Och! W takim razie nie dziwię się, że jest taka ładna.

Wesley wybuchnął śmiechem.

– Sądzi pani, że trzymam w stajni tylko ładne konie?

– Cóż, chodzą plotki, że ma pan dobry gust we wszystkich sprawach.

– Niewątpliwie słyszała to pani w jakimś salonie. Proszę tylko poczekać, aż usłyszy pani, co jeszcze o mnie mówią. Ach, widzę po pani twarzy, że już to pani słyszała. Proszę pamiętać, że opinia o mnie jest mocno przesadzona. Gdybym rzeczywiście spał ze wszystkimi kobietami, o których się mówi, to w ogóle nie wychodziłbym z łóżka. Zresztą teraz prowadzę znacznie bardziej utemperowane życie.

Adelaide popatrzyła mu w oczy z wyraźną rezerwą.

– Wizyty w burdelach nie świadczą o utemperowanym życiu,

milordzie.

Na jego twarzy odbiła się irytacja.

- Widzę, że jęzory plotkarzy, którzy sami nie mogą się niczym pochwalić, nie próżnują. Gdyby wierzyła pani tylko w co drugą rzecz, jaką pani o mnie słyszy, obraz zapewne byłby bliższy prawdy.

- A zatem jest pan aniołem, tak jak by to wynikało z pańskiego imienia? - zapytała z gryzącą ironią.

- Trudno tak powiedzieć, ale gdybym chciał się usprawiedliwić, uznałbym, że to zapewne wynika z braku ojcowskiego przewodnictwa. Mój ojciec był agresywnym pijakiem.

- Cóż, w każdym razie miał pan ojca. Mojego zabito, kiedy nie miałam jeszcze czterech lat.

- Punkt dla pani, panno Ashfield. Czy ktoś kiedyś pani powiedział, że jest pani piękna w złości?

Jej rumieniec zaskoczył go. W jej oczach odbiło się zdziwienie.

- Nie, skądże. Nawet gdyby ktoś próbował mi to powiedzieć, byłabym pewna, że kłamie. Nie jestem piękna, lordzie Wesley. Z pewnością nie mogę poszczycić się urodą, jaką podziwia się w towarzystwie, ani też nie chciałabym jej mieć. Wystarczy mi, że wyglądam w miarę normalnie. Wolę być interesująca - dodała i przygryzła usta.

Wesley mimowolnie dotknął jej ramienia.

- Jeśli sądzi pani, że kłamie, to znaczy, że zupełnie mnie pani nie zna, panno Ashfield.

Naraz otaczający ich park zniknął i Gabriel poczuł to, czego, jak był pewien, nigdy już nie miał poczuć. Wrażenie było tak nieoczekiwane, że zakręciło mu się w głowie i zachwiał się na nogach. Niezwykle ciepło przeniknęło go aż do kości, wypłukując z niego całą gorycz.

- Boże! - westchnął resztkami tchu.

Adelaide Ashfield błyskawicznie zeskoczyła z konia.

- Lordzie Wesley, czy dobrze się pan czuje?

Zacisnął dłonie w pięści tak mocno, że zaboląły.

- Ja... tak - wykrztusił z trudem i przymknął oczy. Nie czuł już paniki, lecz gwałtowną ulgę. Skoro udało mu się poczuć to raz, to bardzo możliwe, że uda się to powtórzyć. Przełknął i z trudem

zaczerpnął powietrza.

- Jeśli powie mi pan, jakie ma pan symptomy, z całą pewnością będę mogła pomóc.

W jego śmiechu zabrzmiało wyraźne ostrzeżenie, zaraz jednak uświadomił sobie coś, co uderzyło go jak grom. Ta dziewczyna, ta niezwykle wysoka panna z prowincji z oczami błękitnymi jak ocean, nie miała pojęcia, jak na niego działa. Pogrzebała w kieszeni spódnicy i wyjęła z niej jakiś proszek w kolorze błota.

- Przygotowałam to dla siebie, milordzie. Zawroty głowy często biorą się ze strachu, więc sądziłam, że może mi się to przydać. Ale może pan...?

Potrząsnął głową. Nie chciał żadnego lekarstwa, które mogłoby zniwelować wpływ rozgrzanej krwi na jego męskość.

- Może odłożymy tę lekcję na inny dzień, panno Ashfield? - zaproponował. Nad jego górną wargą i na skroniach zebrały się kropelki potu.

- Jest pan przegrzany? - zapytała z przerażeniem.

- Po prostu zabrakło mi tchu. - Każde słowo wymagało wysiłku. Ściskając w ręku wodze obu koni, ruszył w stronę pokojówki, która siedziała na ławce o kilka metrów od nich. Po chwili zeskończył z siodła i poszedł prosto do bramy parkowej, prowadząc konie za sobą, zadowolony, że na ścieżce nie ma nikogo.

Zatrzymał się tuż za bramą. Do diabła, co się właściwie zdarzyło? Miał ochotę zawrócić i spróbować jeszcze raz - wziąć ją za rękę i sprawdzić, czy doświadczenie się powtórzy, czy dostanie pełnej erekcji, czy wróci mu libido. Ale nie mógł tego zrobić. A jeśli to była tylko iluzja? Wolał stchórzyć niż się o tym przekonać. Potrząsnął głową, znów wskoczył na siodło i ruszył do domu.

Adelaide patrzyła za nim ze ściągniętymi brwiami. Nie miała pojęcia, co się dzieje z Wesleyem, ale zachwiał się na nogach i zbladł, jakby pochwycił go nagły ból i jakby miał za chwilę zemdleć. Jej ciotki, Eloise i Jean, z pewnością wiedziałyby dokładnie, co mu dolega, ale obydwie już od dawna nie żyły.

Milly również patrzyła za nim ze zdziwieniem.

- Może jego lordowska mość nie doszedł jeszcze do siebie po tamtym wypadku z koniem, tylko nie chce nam o tym powiedzieć?

Albo może jest naprawdę chory, pomyślała Adelaide ze wzrastającym niepokojem, przypominając sobie, że czytał książki o botanice w księgarni Lackingtona. Z doświadczenia wiedziała, że niektórzy mężczyźni nie cierpią rozmawiać o swoich dolegliwościach, szczególnie z kobietami, a ona sama nie była przecież wyszkolonym medykiem. Mimo wszystko poczuła żal, że nie zechciał jej zaufać.

- Nie wspominaj o tym wujowi, Milly. Jestem pewna, że gdy earl poczuje się lepiej, wrócimy do lekcji jazdy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Po powrocie do domu Gabriel nalał sobie mocnej brandy i usiadł, żeby zastanowić się nad minionym popołudniem. Nareszcie poczuł coś w tej części ciała, która od sześciu miesięcy pozostawała zupełnie martwa. Sam nie mógł w to uwierzyć. Czy to był początek ozdrowienia? Czyżby miało to oznaczać, że jest wyleczony, choć dotychczas zdawało mu się, że nie ma już dla niego żadnej nadziei?

Zaczęło się w chwili, gdy dotknął jej palców, a ona w odpowiedzi uściśnęła je lekko. Nie był to ostentacyjny gest doświadczonej kurtyzany ani przemyślana rozgrywka wiejskiej dziewczki, tylko łagodny gest w środku parku pełnego ludzi. Przymknął oczy i wziął głęboki oddech.

Jak to możliwe?

Kamerdynier zapukał do drzwi i zapowiedział gościa, i to nie byle jakiego. Odwiedziła go Cressida Murray, która właśnie wróciła z północy. Kiedyś byli kochankami, a potem Cressie wyjechała do Yorkshire i wyszła za miejscowego ziemianina.

Była równie piękna jak kiedyś, ale oczy miała zaczerwienione od łez.

- Przepraszam, że zawracam ci głowę, Wesley, ale potrzebuję pomocy i nie miałam do kogo się zwrócić.

Gdy nie odpowiedział, zdjęła płaszcz. Nisko wycięty dekolt ciemnoczerwonej sukni ledwie zasłaniał obfity biust. Rzuciła mu się w ramiona i ucałowała go w usta.

Nic, zupełnie nic nie poczuł. Żołądek nie podszedł mu do gardła, a serce nie zaczęło bić w przyspieszonym tempie. To było coś nowego, kolejna zmiana w reakcjach jego ciała. Dzień przyniósł wiele niespodzianek.

- Tak się cieszę, że znów cię widzę, Gabrieliu!

Uśmiechnął się, by ukryć skrępowanie. Wysunął się z jej objęć i nalał im po drinku. Mocna brandy nieco stłumiła jego zdenerwo-

wanie.

Po spotkaniu z Adelaide Ashfield bliskość Cressidy Murray i jej pocałunek powinny wzbudzić w nim jakąś reakcję, jednak nie poczuł nic. I to był kolejny problem. W jednej chwili stawał się gorący, w następnej zimny i nie istniała żadna droga środka, żaden kompromis.

Otrząsnął się z tych myśli i skupił na słowach Cressidy.

- Przyszłam do ciebie, bo potrzebuję partnera na bal u White-lych i chcę, żebyś to był ty.

- Dlaczego?

- Mąż mnie zdradza, doszłam zatem do wniosku, że skoro on może to robić, to powinien się przekonać, że ja też mogę - mówiła drżącym głosem. - Powinien zdać sobie sprawę, że jestem piękną kobietą i ma szczęście, że się ze mną ożenił. I nie powinien zostawiać mnie samej na odludziu w Yorkshire, gdy on zaba-wia się z innymi kobietami w Londynie.

W jej głosie było coś, co przykuło uwagę Gabriela. Brzmiała w nim szczerłość i spokojna determinacja. Czekał na to, co Cres-sida powie dalej.

- Kocham go. Ma swoje wady i zalety, ale te romanse w Londy-nie muszą się skończyć. Musi wrócić do domu, do Yorkshire, i dać naszemu małżeństwu jeszcze jedną szansę.

Bez żadnego ostrzeżenia wybuchnęła płaczem. Gabriel nie-pewnie podszedł do niej i objął ją pocieszająco. Po dłuższej chwili uspokoiła się i podniosła na niego oczy pełne łez.

- Kobiety zawsze cię lubiły, Gabrielu, i nie tylko za wygląd. Ga-vin i ja mamy problemy, a nie ma nikogo innego, do kogo mogła-bym się zwrócić o pomoc, żeby następnego ranka nie dowiedzia-ło się o tym całe miasto. Potrzebuję towarzysza, który będzie mnie adorował i który podoba się kobietom, kogoś, kto może wzbudzić zazdrość w moim mężu i nie będzie oczekiwał ode mnie niczego w zamian.

- A zatem chcesz, żebym...

- Żebyś flirtował ze mną na balu u Whitelych i zatańczył ze mną przynajmniej dwa razy.

Gabriel wybuchnął śmiechem.

- A o świcie twój mąż wyzwie mnie na pojedynek?

- Och, to by było cudownie, ale nie chcę, żebyś go zastrzelił ani nic w tym rodzaju.

Gabriel musiał się uśmiechnąć w obliczu tej dziwnej logiki.

- O ile sobie przypominam, twój mąż jest postawnym mężczyzną.

- Ale dość niezręcznym.

- I ma licznych braci...

Skinęła głową.

- Czterech, ale nie potrafię sobie wyobrazić, by mógł kogokolwiek skrzywdzić. Proszę cię, Gabrielu, winien mi jesteś przynajmniej tę jedną przysługę.

- Naprawdę? - Nie rozumiał dlaczego.

- Zostawiłeś mnie bez słowa. To bardzo bolało. Zanim zniknąłeś, powiedziałaś tylko, że jest ci przykro i że jeśli możesz zrobić cokolwiek, by mi to ułatwić... - urwała. - Właśnie teraz możesz coś zrobić. Trzymam cię za słowo.

- Rozumiem.

- Naprawdę rozumiesz? Złamałeś mi kiedyś serce, a Gavin znów je poskładał w całość. Nie zdajesz sobie sprawy, do czego potrafisz doprowadzić kobietę. Ty sam nigdy nie byłeś naprawdę zakochany.

Jej słowa trafiły w samo sedno. Henrietta Clements też tak mówiła. Znów poczuł się winny. Nie mógł już niczego wynagrodzić Henriecie, ale od Cressidy dostał szansę odkupienia swych grzechów.

- Dobrze. Ale, mój Boże, mogę ci podać co najmniej sto powodów, dla których twój plan się nie powiedzie.

Ciepłe palce zacisnęły się na jego chłodnej dłoni.

- Ale spróbujesz?

Adelaide, jej wuj i przyzwoitka przybyli na bal znacznie później, niż zamierzali, bowiem brat lady Harcourt odwiedził ich po południu i wyszedł dopiero po kolacji.

Motywnym przewodnim balu był podwodny świat. Ściany osłonięto zwieszającymi się z sufitu długimi pasmami lśniącego, zielonego jedwabiu, światło przyćmiono, a kandelabry pomalowano na niebiesko. Cała sala wydawała się jak z innego świata. Na

rozproszonych po sali stolikach stały ogromne, wyrzeźbione z bloków lodu posągi morskich bóstw – Neptun siedzący w muszli ciągniętej przez trytony, a dalej boginie, nimfy i ryby. Adelaide jeszcze nigdy nie widziała czegoś podobnego. Nawet Imelda zaniemówiła z wrażenia.

- Lady Whitely w tym roku przeszła samą siebie. Chodzą plotki, że to może być ich ostatnie wielkie przyjęcie, więc mamy szczęście, że udało nam się przyjść. Myślę, moja droga, że będziemy długo wspominać ten wieczór.

Thum wydawał większy niż na którymkolwiek innym balu w sezonie. Trudno było nawet przejść z jednej strony sali na drugą.

- Czy nie będzie ci brakowało tego podniecenia, gdy wrócisz do Northbridge, Adelaide? - zapytał wuj z wyraźnym zainteresowaniem.

- Doceniam rozmach londyńskich przyjęć, ale sądzę, że po jakimś czasie można na to zobojeźnić.

Alec roześmiał się i skinął na przechodzącego sługę, by przyniósł im coś do picia.

Adelaide rozejrzała się, szukając wzrokiem earla Wesley, ale nigdzie go nie dostrzegła. Sala była duża, podzielona przepierzeniami na pół. Może stał gdzieś w pobliżu muzyków. Wspięła się na palce, by się rozejrzeć.

- Kogo szukasz? - Imelda Harcourt uniosła lornetkę do oczu. - A, widzę Berricka. Doskonale dzisiaj wygląda. Idzie chyba w naszą stronę. Uśmiechnij się, Adelaide. Mężczyźni lubią patrzeć na pogodne twarze. Kiedy się uśmiechasz, jesteś o wiele ładniejsza.

Eloise i Jean podobne rady z pewnością by się nie spodobały. W głosie lady Harcourt brzmiała jednak szczerłość i Adelaide musiała się uśmiechnąć. Lady Harcourt naprawdę wierzyła, że rolą kobiety jest być dodatkiem do dobrze ustosunkowanego i bogatego mężczyzny i że dobre małżeństwa są podporą tego świata. Takie poglądy wyznawała większość londyńskiego towarzystwa. Był to sposób, by żyć i prosperować, nie pozwalając nikomu spoza własnej sfery wspiąć się wyżej. Solidarność i izolacja spajały całą elitę.

Earl Berrick zatrzymał się obok nich. Adelaide wzięła głęboki oddech, przykazując sobie traktować go uprzejmie.

Zobaczyła lorda Wesley dopiero w połowie wieczoru, ale jej radość natychmiast przygasła na widok pięknej kobiety, która mu towarzyszyła. Wesley opierał dłoń na jej plecach.

Przypominała porcelanową lalkę. Jasne włosy ułożone miała w kaskadę loków, brązowe oczy błyszcząły, a sukienka z błękitnozielonego jedwabiu harmonizowała z motywem przewodnim wieczoru. Wyglądała jak istota z głębi mórz, która naraz wyłoniła się z otchłani i znalazła w otoczeniu śmiertelników.

Stali pośrodku sporej grupki ludzi. Kobieta wsunęła dłoń w zgięcie ramienia Gabriela Hughesa, a on nakrył ją swoją dłonią. Pasowali do siebie tak doskonale, że Adelaide nie mogła oderwać od nich wzroku, chociaż serce biło jej mocno, jakby ze strachu. Czego się bała?

- Widzę, że pani Gavinowa Murray wróciła. - Nawet Imelda, choć miała krótki wzrok, zauważyła tę parę. - Znałam kiedyś jej matkę. Co ona przeszła z tą dziewczyną, mówię ci!

- Jest bardzo piękna.

Imelda skinęła głową.

- Tak, a do tego bardzo uparta. Wygląda na to, że jej małżeństwo z tym chłopakiem z Yorkshire poniosło fiasko i znów wbiła szpony w earla Wesley.

- Znów? - Wuj zadał pytanie, które pragnęła zadać Adelaide.

- Byli parą przed kilku laty. Wszyscy sądzili, że dadzą na zapowiedzi, ale lord Wesley wyjechał na kontynent, a ona zniknęła na północy. Potem usłyszeliśmy, że wyszła za Gavina Murraya. Nie mają żadnych związków z Murrayami z towarzystwa, ale też są bogaci. Jej matka nie była zadowolona, ale po pożarze w siedzibie Wesleyów można uznać, że Cressida dokonała jednak rozsądnego wyboru.

- W siedzibie Wesleyów był pożar? - Tym razem Adelaide nie czekała, aż wuj zada następne pytanie.

- Jakies pół roku temu ich rodzinne gniazdo Ravenshill spłonęło niemal doszczętnie. Jeśli wierzyć plotkom, nie mają środków, by je odbudować. Pewnie dlatego lord Wesley znów się tu pojawił. Okoliczności i zbliżająca się finansowa ruina zmuszają go do zawarcia małżeństwa. Ale Cressida Murray to kiepski wybór. Każda inna bogata i wolna kobieta w tej sali z pewnością przyjęłaby

jego oświadczyły bez namysłu. Uroda pociąga, ale wątpię, czy nawet z obrączką Gabriel Hughes pozostałby wierny jednej kobiecie. – Imelda nagle urwała i otworzyła wachlarz. – Jego dziadek, Lytton Hughes, był zupełnie taki sam. Wszystkie rozsądne dziewczyny traciły dla niego rozum. Widzę, że teraz znów się to dzieje.

Coś w głosie Imeldy skłoniło Adelaide do podejrzeń, że dziadek Hughesa w jakiś sposób był ważną osobą dla Imeldy.

– Mężczyźni z rodziny Wesleyów są jak piękne tęcze. Przyciągają uwagę, ale znikają na pierwszą wzmiankę o stałym związku. Zapamiętaj moje słowa – lord Wesley weźmie to, co kobieta zechce mu dać, a potem zniknie – dodała jeszcze Imelda.

Adelaide znów popatrzyła na tamtą parę. Wydawało się, że earl dobrze się bawi. Prowadził teraz Cressidę Murray do tańca. To był walc. Wziął ją w ramiona i przyciągnął bardzo blisko siebie. Adelaide z irytacją odwróciła wzrok. Oczywiście, że mężczyzna taki jak Gabriel Hughes wybrał godną siebie kobietę o oszałamiającej urodzie.

Lucy Carrigan podeszła do niej i gdy dostrzegła kierunek spojrzenia Adelaide, potrząsnęła głową.

– Wszyscy o nich mówią. Earl Wesley nie odstępował jej przez cały wieczór. Jej mąż właśnie się tu pojawił, możesz w to uwierzyć? Ona nie ma ani odrobiny wstydu!

– Mąż? Mój Boże! – Adelaide rozejrzała się z konsternacją. Nawet biorąc pod uwagę wątpliwe standardy zachowania obowiązujące w najbogatszych kręgach, trudno było uwierzyć, że taka sytuacja jest tolerowana. – Gdzie on jest?

– Stoi tam przy kolumnie. Ten z ciemnymi włosami i nachmurzoną twarzą.

– Ten, który ma obok siebie dwóch innych, podobnie zbudowanych i z równie ciemnymi włosami?

Lucy skinęła głową.

– To jego bracia. Nie wyglądają na zadowolonych.

Zdawało się, że tylko ze względu na tłok nie doszło jeszcze do bójki. Przeciwników dzieliło od siebie jakieś sto osób.

Adelaide wzięła głęboki oddech. Złociste spojrzenie lorda Wesley prześliznęło się po jej twarzy. Nie dostrzegła w jego oczach

ani odrobiny radości. Przeciwnie, wydawał się wściekły.

A niech to, Adelaide Ashfield była tu i patrzyła na niego tak jak połowa wszystkich obecnych – wstrzymując oddech, z wyraźnym zainteresowaniem. Wbrew wszystkiemu miał nadzieję, że nie przyjdzie tu dzisiaj.

Nie co dzień można było zobaczyć trójkąt miłosny w miejscu publicznym. Na miejscu tych ludzi on też pewnie by się gapił. Mimo wszystko uśmiech na jego twarzy przygasł. Nie chciał, żeby Adelaide to widziała.

– Mój mąż tu idzie, Gabe – szepnęła mu do ucha Cressida. – Pamiętaj, co mi obiecałeś. Bez względu na wszystko nie zranisz go.

Stawka znów rosła. Zbliżał się do niego Murray w towarzystwie dwóch braci. Nie, trzech, bo po chwili dołączył do nich jeszcze jeden. Gdyby Gabriel miał odrobinę rozsądku, wyszedłby stąd teraz, po prostu odwróciłby się i uciekł z tej sali z podkulonym ogonem. Ale w grę wchodził jego honor. Nie chciał zachować się jak tchórz w obecności panny Adelaide Ashfield.

Dokoła nich otworzyła się pusta przestrzeń, co było zadziwiające, zważywszy na panujący w sali tłok. Lokaj przebrany za konika morskiego przeszedł przez puste miejsce z wyładowaną tacą, nie zauważając napięcia w atmosferze. Gabriel miał ochotę napić się czegoś, ale zrezygnował. Wolałby nie mieć w rękę kryształowej szklanki, jeśli wściekły mąż w ataku zazdrości uderzy go w twarz i wybije zęby.

– Gavin – powiedziała Cressida bez tchu, zdejmując rękę z ramienia Gabriela, gdy jej nieszczęśliwy mąż zatrzymał się przed nimi.

– Przyszedłem zabrać cię do domu – warknął Murray.

– Do Yorkshire? – W głosie Cressidy zabrzmiała nadzieja, tamten jednak zdawał się tego nie zauważać. Po prostu podszedł o krok bliżej i z całej siły uderzył Gabriela pod prawe oko.

W każdej innej sytuacji Gabriel obroniłby się z łatwością. Modlił się, by bracia przyłączyli się do bójki, bo nie obiecywał niczego w stosunku do nich, a miał wielką ochotę komuś przyłożyć.

Drugi cios trafił go w usta. Poczł smak krwi i osunął się na podłogę. Dostał jeszcze raz, w skroń, i zrobiło mu się czarno

przed oczami.

Cressida pochyliła się do niego i szepnęła:

- Tak mi przykro, Gabrielu. Nie ruszaj się, to nie oberwiesz już więcej.

Ale Gabriel nie mógłby się poruszyć, nawet gdyby chciał. Brakowało mu tchu. Cressida podeszła do męża i w tej samej chwili Gavin Murray wyzbył się resztek człowieczeństwa i kopnął Gabriela w plecy.

Czterej bracia Murray wyszli, przeciskając się przez tłum, wysoko unosząc głowy i prowadząc między sobą Cressidę jak cenną zdobycz, po którą przybyli.

Przed oczami Gabriela przepływały zielone światła i morskie stworzenia. Drżał z bólu. Naraz poczuł czyjąś dłoń na czole i w jego uszach rozległ się miękki głos panny Adelaide Ashfield:

- Trzeba się było bronić, lordzie Wesley.

Gabriel przełknął i splunął. Z nosa i ust płynęła krew, w ustach czuł metaliczny smak.

- Proszę odejść, Adelaide. To zbyt niebezpieczne miejsce dla pani.

Dokoła nich już rozlegały się szepty. Skraj jej sukni zabarwił się na czerwono.

- Jest pan ranny. Mogę pomóc.

Potrząsnął głową.

- Proszę odejść. Jeśli odejdzie pani już teraz, to może pani reputacja nie zostanie do końca zrujnowana. Proszę.

Niepokój w jej oczach przeszedł w złość, odeszła jednak i jej niebieska suknia zniknęła za innymi spódnicami. Gabriel usiadł na śliskiej od krwi podłodze, starając się na nikogo nie patrzeć.

Znów był sam. Tak właśnie wyglądało jego życie od bardzo dawna. Kipiąc z wściekłości, podniósł się i wyszedł.

- Po co się w to wtrącałaś, Adelaide! Zdawałaś sobie chyba sprawę, jak wielki skandal wywoła Wesley. Po prostu dostał za swoje. Naraziłaś się na ryzyko, a w dodatku zniszczyłaś sobie suknię.

Wuj był wściekły. Imelda siedziała po drugiej stronie powozu w milczeniu, mocno zaciskając palce na starej srebrnej lasce.

- Po co, do diabła, próbowałaś mu pomagać? Ty, debiutantka, dobrze urodzona młoda dziewczyna! Co ci przyszło do głowy, że to właśnie ty powinnaś się nim zająć?

- Bo nikt inny tego nie zrobił, wuju.

Alec roześmiał się, ale w tym śmiechu nie było humoru.

- Może mimo wszystko nie powinnaś przyjeżdżać do Londynu. Może powinienem pozwolić ci zostać w Sherborne i żyć takim życiem jak twoje ciotki, bo teraz... - Jego głos przycichł. - Bo teraz nie mam pojęcia, co zrobić.

Imelda wybrała tę chwilę, by wtrącić swoje trzy grosze.

- Zaczekajmy do rana i zobaczymy, co będzie, Penbury. Być może ludzie złożą głupią reakcję Adelaide na karb jej dobrego serca albo młodzieńczej naiwności. Może nawet wyniknie z tego jakaś korzyść.

- Korzyść? Widziałaś, żeby jakaś inna dziewczyna do niego podbiegła? Nie! Wszystkie miały wystarczająco wiele rozumu, żeby nie mieszać się w taki skandal. Lord Wesley zawsze sprawiał kłopoty i zdrowy rozsądek podpowiedział tym dziewczynom, że lepiej omijać z dala człowieka, który niszczy wszystko, czego dotknie!

- On nikogo nie uderzył, wuju.

- Bo wiedział, że jest winien. Bóg łączy mężczyznę i kobietę w małżeństwie na zawsze i tylko człowiek do szczytu zdemoralizowany może rozbijać taki związek.

Wuj zapatrzył się w okno. Adelaide uczyniła to samo. Za szybami migwały różnobarwne światła Londynu. Dochodziła druga i ulice były niemal puste, tylko z oddali dochodziły ich ciche dzwonki innych powozów. Adelaide widziała w szybie nieruchome odbicie Aleca i mniejsze lady Harcourt, a także własne. Włosy wciąż miała splecione w misterną fryzurę. Milly czesała ją przez godzinę i jej zabiegi poszły na marne. Wszystko skończyło się katastrofą. Ciekawa była, co jeszcze zdarzyło się po ich wyjściu. Czy ktoś pomógł Gabrielowi Hughesowi, czy też sam wydostał się z sali? A może w ogóle nie wyszedł, może stało się jeszcze coś gorszego? Może Murrayowie zaczęli na niego na zewnątrz i pobili go jeszcze raz? Może leży teraz gdzieś na ulicy, gdzie nikt go nie znajdzie.

Potrząsnęła głową, by odpędzić niepokój. Earl Wesley prawie na nią nie patrzył. Był wściekły, ale w ogóle nie próbował się bronić – ani słowami, ani czynem, choć wiedziała bez cienia wątpliwości, że nie był tak cywilizowany, jak się wydawał. Dlaczego nie walczył? Dlaczego pozwolił, by mąż kobiety, która mu towarzyszyła, pobił go w publicznym miejscu? To nie miało żadnego sensu.

– Lord Berrick zapewne przestanie się tobą teraz interesować.
– Słowa wuja przerwały milczenie. – I choć masz znaczny majątek, Adelaide, każda dobra rodzina będzie unikać dziewczyny, która wykazała się takim brakiem wyczucia towarzyskiego.

– Rozumiem.

– Nie, moja droga, nie rozumiesz. – W głosie Aleca Ashfielda zabrzmiał nietypowy dla niego cynizm. – Gdybyś miała choć odrobinę rozumu, mogłabyś zawrzeć doskonałe małżeństwo. A teraz wszyscy się od ciebie odwrócą i zostaniesz samotna, potępiana i niechciana przez nikogo. To smutny stan rzeczy, a stanie się jeszcze smutniejszy w miarę upływu lat, gdy ominie cię wszystko to, co będą miały twoje rówieśnice.

Adelaide zmarszczyła czoło. Dostrzegła w słowach wuja ziarno prawdy. Lady Imelda popatrzyła na nią, ale nic nie powiedziała.

Następnego ranka Cressida Murray przysłała do jego domu w mieście wiadomość. Pytała go o zdrowie, napisała również, że jeszcze dzisiaj wyjeżdża z mężem do Yorkshire i prosiła, by nie próbował się z nią kontaktować.

Gabriel porwał wiadomość na strzępy i wrzucił do kominka, gdzie zniknęła w pomarańczowych płomieniach.

Niewątpliwie Gavin Murray asystował jej, gdy to pisała. Gabriel jednak zadowolony był z zakończenia tej historii. Teraz już dług został spłacony.

Popatrzył w lustro i niemal się uśmiechnął. Z trudem poznawał własną twarz. Lewe oko miał tak spuchnięte, że w ogóle na nie nie widział, usta pokaleczone, ale najbardziej rzucał się w oczy siniec ciągnący się od ucha przez cały policzek. Pęknięte naczynko krwionośne zabarwiło pół twarzy na purpurowo.

To wszystko się wygoi, pomyślał. Zdjął z półki lekarstwo Adela-

ide Ashfield i grubo posmarował bolące miejsca. Lekarstwo zadziałało magicznie na kostki dłoni i przyniosło ulgę, gdy posmarował nim bliznę na udzie. Miał nadzieję, że tak samo będzie z twarzą.

Wyobrażał sobie plotki, jakie zapewne natychmiast zaczęły krążyć w towarzystwie po wczorajszej scenie na balu. Gdyby nie musiał opiekować się matką i odbudować Ravenshill Manor, wsiadłby na najbliższy statek do Ameryki i popłynąłby w jakieś odległe, dzikie i wolne miejsce, gdzieś, gdzie mógłby na własną rękę zdobyć sobie pozycję w świecie, nieograniczany konwenansami, dobrym wychowaniem i cudzymi oczekiwaniami.

Podniósł głowę, gdy usłyszał stukanie do drzwi. Do środka weszli Daniel Wylde i Lucien Howard.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy, Gabe. Słyszeliśmy o wczorajszej sprzeczce i przyszliśmy sprawdzić, czy jeszcze żyjesz.

- Ledwo co.

Wszyscy trzej wymienili uśmiechy.

- Podobno pozwoliłeś Murrayowi, żeby cię pobił.

Gabriel wyciągnął trzy szklanki, napełnił je swoją najlepszą brandy i skinął głową.

- Obiecałem, że mu nie oddam.

- Obiecałeś Cressidzie Murray?

- Kocha męża. Wciągnęła mnie w intrygę.

- Po co?

- Byłem jej coś winien.

- Chyba nie aż tyle - zauważył Lucien. - Co masz na twarzy?

- Lekarstwo z lawendy, które zrobiła dla mnie panna Ashfield.

- Panna Adelaide Ashfield z Sherborne, bratanica Penbury'ego?

- Ta sama.

- Słyszałem, że tylko ona próbowała ci wczoraj pomóc, ale jej reputacja na tym ucierpiała. Podobno wuj zamierza wysłać ją z powrotem na wieś. Dobre serce ją zrujnowało.

- Kto ci to powiedział?

- Matka przy śniadaniu - odparł Lucien cicho.

Daniel Wylde roześmiał się.

- Hrabina zawsze jest doskonale poinformowana. Ja osobiście byłbym gotów uznać, że gwiazda Adelaide Ashfield wzniosła się wyżej, bo taki uczynek świadczy tylko o współczującym sercu i odwadze. Z tego powodu moja żona chciałaby, żebyś przyszedł jutro do nas na kolację, Gabrielu. Do naszego domu w mieście. Kazała ci powtórzyć, że nie przyjmie odmowy i że przyjechała do Londynu tylko na tydzień.

- Jestem pewien, że gdyby inni się dowiedzieli o tym zaproszeniu, nie patrzyliby na to przychylnie.

- Właśnie dlatego chcę, żebyś przyszedł. Amethyst rzadko pojawia się w towarzystwie. Uważa, że każdy, kto tak brawurowo łamie sztywny kod zachowania, zasługuje na wsparcie. Toteż oczekuje cię o ósmej. Będą też Luce i Francis. Francis za tydzień czy dwa wyjeżdża do Ameryki. Ma nadzieję znaleźć złoto i mówi, że dałeś mu jakieś wskazówki.

- Będzie szukał garnka ze złotem na skraju tęczy?

Lucien zaśmiał się głośno.

- St. Cartmail traktuje to poważnie.

- W takim razie lepiej oświeć go, Gabe, bo jeśli zginie w tym poszukiwaniu, jego śmierć obciąży twoje sumienie - odrzekł Daniel rzeczowo.

- A jeśli odkryje bogactwa, to też...?

Gabriel dopił drinka i odstawił szklanekę na sam skraj stołu, gdzie przez chwilę chwiała się niepewnie.

- We wszystkim jest ryzyko. Jeśli nie ma ryzyka, to nie ma i życia.

- Filozofia niebezpieczeństwa? Mówisz jak ktoś, kto nie ma nic do stracenia. - W głosie Luciena zabrzmiała niecierpliwość.

- W takim razie przyjdź jutro o ósmej i przynieś butelkę albo dwie tej brandy - wtrącił Daniel.

- Wątpię, żeby Amethyst chciała oglądać moją twarz w tym stanie. Na sam widok pewnie straciłaby apetyt.

- W tej chwili nic nie jest w stanie odebrać jej apetytu, Gabe. Niedługo urodzi się nasze drugie dziecko i moja żona ciągle jest głodna.

- A jesteście małżeństwem dopiero niecałe dwa lata.

- Amethyst chce, żeby nasze dzieci poznały dziadka przed

śmiercią. Jeśli Robert będzie żył wiecznie, co może się zdarzyć, mimo że niedomaga na serce, doczekamy się sporej gromady. Ale nie narzekam.

Gabriel pomyślał, że Daniel Wylde nie ma powodu narzekać. Miał rodzinę, swoje miejsce na świecie, niezwykłą i interesującą żonę. Nie przejmował się zasadami obowiązującymi w dobrym towarzystwie i żył szczęśliwie na zewnątrz tego kręgu.

Może on również mógłby tak zrobić?

- A czy mógłbyś zaprosić również pannę Adelaide Ashfield? Chciałbym przeprosić za kłopoty, jakie na nią sprowadziłem, a wątpię, by wicehrabia Penbury wpuścił mnie teraz do swojego domu.

- Mógłbym. - W tym słowie brzmiało rozbawienie i pytanie, na które Gabriel jednak nie odpowiedział.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Zaproszenie dla Adelaide nadeszło tuż po lunchu. Służący Wylde'ów czekał przy drzwiach na odpowiedź.

- Earl Montcliffe i jego żona zaprosili cię na jutro na kolację? - W głosie wuja brzmiało niedowierzanie. - Czy nie słyszeli o tym, co się stało na balu u Whitelych?

- Daniel Wylde i jego żona rzadko bywają gdziekolwiek w Londynie - wtrąciła Imelda. - Podobno spędzają większość czasu w rodzinnym gnieździe w pobliżu Barnet. Niemniej są szanowani i większość ludzi ma o nich dobre zdanie. Oczywiście, lady Montcliffe pochodzi z kupieckiej rodziny, choć bardzo bogatej. Nie słyszałam o nich żadnego złego słowa, więc powinniśmy chyba uznać, że jest to szansa na naprawę reputacji twojej brataniicy w towarzystwie.

- Musiałaby pójść z opiekunem.

- Bertram może z nią pójść. W końcu jest znajomym Wylde'a. Najwyższa pora, żeby wziął na siebie odpowiedzialność za rodzinę.

Serce Adelaide zabiło mocniej. Lord Montcliffe był również przyjacielem lorda Wesley. Czy Gabriel Hughes też został zaproszony? Bez Imeldy będzie miała więcej swobody i może uda jej się z nim porozmawiać. Czekwała z napięciem na odpowiedź wuja.

- Dobrze. Masz zupełną rację, Imeldo. Adelaide, to może być dla ciebie okazja, by wzmocnić swoją pozycję w towarzystwie. Mam nadzieję, że tym razem będziesz pamiętać o etykiecie i o odpowiedzialności za rodzinne nazwisko. Powiem Bertramo-
wi, żeby przyprowadził cię do domu przed północą.

- Dziękuję, wuju - powiedziała, omijając go wzrokiem, by Alec nie zauważył w nim błysku podniecenia i przypadkiem nie zmienił zdania.

Gabriel poszedł za Danielem Wylde'em do frontowego salonu.

Dobrze znał ten pokój. Kilka lat temu był to niemal jego drugi dom, ale potem Daniel wyjechał na wojnę na półwyspie, a Gabriel poznał Henriette.

Amethyst Wylde wstała, by go powitać. Gabriel spotkał ją już kilka razy i uznał za inteligentną i dowcipną kobietę, która nie traciła czasu na bezprzedmiotowe rozmowy i zbędne konwenanse.

- Lordzie Wesley, dobrze pana znów widzieć. - Nie odwróciła wzroku od jego twarzy, lecz uważnie patrzyła na obrażenia. - Christine Howard twierdzi, że Gavin Murray to oszust i brutal i że jego żona miewałaby się znacznie lepiej pod pańską ochroną.

Gabriel uśmiechnął się.

- Pozwolę sobie nie zgodzić się z tym, milady. Mógłbym go zerzeć na miazgę, ale to by niczego nie rozwiązało.

- A zatem pozwolił pan, żeby to on starł pana na miazgę?

Gniew brzmiący w jej głosie zaskoczył Gabriela.

- Być może.

- W takim razie módlmy się, by pańskie poświęcenie na coś się przydało. Mężczyzna, który kopie leżącego, ma bardzo wąły charakter i sądzę, że dla Cressidy Murray życie z nim jest niełatwe i niebezpieczne.

Gabriel odniósł wrażenie, że Daniel Wylde uważnie słucha tej rozmowy, ale gdy jego przyjaciel spojrział na żonę i ujął ją za rękę, Gabriel odwrócił wzrok, speszony tą demonstracją jedności. Naraz jego uwagę przykuła rozmowa tocząca się w sąsiednim pokoju.

- Są tu Lucien i Francis, Gabrielu, a także panna Ashfield i jej kuzyn Bertram. Razem jest nas siedmioro, bo Lucien przyprowadził swoją siostrę Christine.

Adelaide była w sąsiednim salonie? A zatem przyszła? Gabriel odgarnął z twarzy długie włosy i poszedł w stronę otwartych drzwi.

Siedziała na sofie, ale na jego widok zaraz się podniosła. Niebieskie oczy skryte za okularami zatrzymały się na jego posiniaczonym policzku.

- Panno Ashfield.

- Lordzie Wesley - powiedziała niepewnie i sztywno. Stłumił

chęć, by wyciągnąć do niej rękę. Nie chciał jej jednak dotykać w obecności innych.

- Mam nadzieję, że przyszło panu do głowy, by zastosować na twarz moje lekarstwo, milordzie?

Zanim zdążył odpowiedzieć, odezwał się Bertram Ashfield:

- Addie to prawdziwa czarodziejka, gdy chodzi o leczenie. Nasze stare niezamężne ciotki były takie same. A ona poszła w ich ślady.

Addie. Gabriel obrócił to imię na języku. To zdrobnienie bardzo do niej pasowało. Ale jej kuzyn jeszcze nie skończył.

- W Sherborne Adelaide przyjmuje chorych. Zawsze ma mnóstwo pacjentów, zainteresowanych jej lekarstwami. Sądzę, że mogłaby zrobić majątek, gdyby zaczęła je sprzedawać.

- Cóż, nam takie umiejętności bardzo by się przydały - wtrącił Francis, a Lucien wybuchnął śmiechem. Adelaide wydawała się zaskoczona, toteż Francis St. Cartmail wyjaśnił:

- Nazywamy siebie lordami bez grosza, panno Ashfield, i sporo w tym prawdy, choć Danielowi udało się wydobyć z rozpaczliwej sytuacji w najlepszy możliwy sposób.

- Gdybym miała siostry, przysłałabym je prosto do ciebie, Francis - powiedziała Amethyst Wylde i jej spojrzenie zatrzymało się na Adelaide. - Zdaje się, że ma pani spory majątek, panno Ashfield? Może któryś z tych lordów wpadnie pani w oko?

Adelaide zaczerwieniła się jak burak i popatrzyła na nią z niedowierzaniem, ale Amethyst szybko mówiła dalej, jakby chciała odwrócić od niej uwagę:

- Mam w Montcliffe ogród, który mógłby panią zainteresować. Rosną tam rozmaite zioła i kwiaty. Mogłaby pani zrywać, co tylko by pani chciała. Wiem, że gdy ma się jakąś pasję, zawsze szuka się czegoś nowego i innego. Mój papa też jest taki. Kocha drewno i nie może przejść obok tartaku, żeby nie wstąpić i nie sprawdzić, co tam mają. Pasją Daniela są konie.

Bertram Ashfield szybko podjął nowy temat. Po chwili grupka rozdzieliła się; Gabriel i Adelaide zostali na uboczu.

- Cieszę się, że pana tu widzę, milordzie. Sądziłam, że będzie pan miał kilka złamanych kości.

- Och, potrafię bronić się przed ciosami i wychodzić cało

z opresji.

- Słyszałam, że był pan mistrzem w walkach.

- To było dawno. Nie zajmowałem się tym od lat.

- Ale to pewnie tak jak z jazdą konną: gdy człowiek raz się tego nauczy, nigdy nie zapomina.

Hughes uśmiechnął się.

- Co próbuje mi pani powiedzieć, Adelaide?

Zaskoczyło ją to, że zwrócił się do niej po imieniu, bo znów oblała się rumieńcem.

- Chcę wiedzieć, dlaczego nie oddał pan Murrayowi.

- Bo obiecałem, że tego nie zrobię.

- Jego żonie?

Uśmiechnął się, rozbrojony jej bystrością.

- Cressida Murray przyłapała swojego męża na zdradzie i chciała go odzyskać.

- Przez pańskie łóżko?

Żadna znana mu kobieta nie zadałaby takiego pytania, ale Adelaide Ashfield była inna.

- Nie. Chodziło jej o to, żeby wzbudzić w nim zazdrość.

W błękitnych oczach pojawił się płomień.

- Skoro poprosiła pana o tak wielką przysługę, to znaczy, że łączyło was coś więcej niż tylko przelotna znajomość, milordzie.

Gabriel popatrzył na nią wprost.

- Kiedyś bardzo ją zraniłem. Możliwe, że zasłużyłem sobie na to, co mnie spotkało.

Panna Ashfield zmarszczyła czoło.

- Nie zawsze powinniśmy brać odpowiedzialność za cudze uczucia, sir. Zemstę należy wymierzać osobiście, a nie przez pobitą twarz byłego kochanka, który złożył nedorzeczną obietnicę.

- Sądzi pani zatem, że pokuta nie jest odpowiednią odpłatą za dług wdzięczności?

- Jej pokuta czy pańska?

Do diabła! Czyżby kolejnym z niezwykłych talentów panny Ashfield było czytanie w myślach? Bolała go skroń. Ból pogarszał się jeszcze od panującego wokół gwaru, a do tego wszystkiego był głęboko przekonany, że ona dobrze się bawi.

Zdał sobie sprawę, że narasta w nim irytacja, i zmienił temat.

- Słyszałem, że ucierpiała pani z powodu dobroci okazanej mi na balu u Whitelych. Przykro mi z tego powodu.

- Cóż, earl Berrick i szacowny Richard Williams uciekli z podwiniętymi ogonami. Nie nazwałabym tego cierpieniem. Może to ja powinnam panu podziękować.

Gabriel roześmiał się, zdumiony jej szczerością. Nie pamiętał już, kiedy śmiał się po raz ostatni.

- Ma pani znaczny majątek, panno Ashfield. Jeśli tylko zechce pani trochę poczekać, to znajdzie pani mnóstwo chętnych kandydatów do ręki, i to znacznie lepszego gatunku.

- Mam nadzieję, że nie. Wuj Alec myśli chyba, że moje niestosowne zachowanie na balu jest niewybaczalne. Zastanawia się, czy nie odesłać mnie do Sherborne, żebym dożyła moich dni w Dorset, płacząc nad swym staropanieństwem.

- A ma pani taki zamiar?

- Żałować, że nikt mi się nie oświadczył? - Przełknęła i Gabriel zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście wielbiciele nie robili na niej żadnego wrażenia. Gdyby odesłano ją do Sherborne, straciłby okazję, by znów z nią porozmawiać i cokolwiek poczuć. Nie odważył się dotknąć jej tutaj, choć miał na to wielką ochotę.

Jej dłoń spoczywała na zagłówku krzesła, przy którym stała. Paznokcie miała krótkie i schludnie obcięte, palce drobne. To była dłoń uzdrowicielki. Przez cienką białą skórę prześwitywały niebieskie żyłki. Na jednym z palców widoczny był pęcherz po oparzeniu. Być może zdarzyło się to, gdy przygotowywała lekarstwo...

Naraz uświadomił sobie pustkę własnego życia i zalała go fala melancholii. Zwykle humor przynosił mu ulgę, ale tego dnia Gabriel nie był w stanie uciec od szokującej prawdy o wszystkim, czym nie był. Gdyby jej dotknął i niczego nie poczuł, to najpewniej załamałby się. Przeprószył i zostawił ją, balansując na granicy niegrzeczności.

Lucien znalazł go przy szafce, w której Daniel trzymał najlepszą brandy.

- Wyglądasz na wyczerpanego, Gabe. Może przydałyby ci się wakacje na wsi, w rodzinnej siedzibie.

- Pośród zgliszcz i popiołów Ravenshill Manor? W domu bez

dachu? – odparował Gabriel.

Lucien zaśmiał się sucho.

– Zapomniałem o pożarze. Co się właściwie zdarzyło przed kilku laty, Gabe? Dlaczego zniknąłeś bez żadnego słowa ani powodu? Obydwaj z Danielem próbowaliśmy cię odnaleźć przed wyjazdem do Hiszpanii, ale przepadłeś jak kamień w wodę. Gdzie byłeś?

W piekle, pomyślał Gabriel, nalewając sobie drinka. Zatracił się w szponach Henrietty Clements i politycznych intryg jej męża.

Cóż takiego pisał Gracjan w swoim traktacie o mądrości życiowej? „Nie otwieraj drzwi mniejszemu złu, bo wślizgnie się za nim większe”. Jeden błąd prowadzi do następnego i jeszcze kolejnego, aż w końcu nie ma już żadnej drogi ucieczki. Tak się właśnie czuł, nawet teraz, pół roku po pożarze. Kiedyś dałby sobie z tym radę, ale teraz zostało mu tylko poczucie winy i wielka kałuża żalu.

Cóż takiego powiedzieli o nim Daniel i Cressida? Obydwoje twierdzili, że jest dobrym człowiekiem, ale to było kłamstwo. Był synem swego ojca, mężczyzną pełnym gniewu i pragnienia zemsty.

Ta prawda uderzyła go w twarz. Szybko dopił brandy.

Adelaide żałowała, że nie może po prostu wyjść, oddalić się od tego domu i od tych ludzi, od radości salonu wypełnionego bliskimi przyjaciółmi. Widać było, że wszyscy czują się tu ze sobą swobodnie i bez ogródek wyrażają swoje zdanie.

Earl Wesley nie wydawał się nią szczególnie zainteresowany. Policzki wciąż ją paliły od rumieńców, ale trudno jej było zachować obojętność, gdy posiniaczony i poturbowany stał o kilka kroków od niej. Wydawał się bardziej zamknięty i spięty niż poprzednio. Zauważyła, że mocno zaciska zęby. Napotkała jego spojrzenie, ale zaraz odwrócił głowę. Poza tym dużo pił.

Udręczony. Pomyślała, że takie właśnie sprawiał wrażenie. Skoro demony nie opuszczały go nawet pośród przyjaciół w przytulnym londyńskim domu, mogła sobie wyobrazić, jak bardzo go dręczą, gdy jest sam. Zastanawiała się, czy boli go serce, czy du-

sza. Żyłka na jego szyi pulsowała nieco zbyt szybko, a dłoń drżała, gdy znów sięgał po butelkę z brandy. Może jednak kochał Cressidę Murray i teraz topił żal po jej zdradzie? Sińce na jego twarzy świadczyły o zadziwiającym poczuciu honoru. Dotrzymał słowa, Adelaide wątpiła jednak, by ta myśl była dla niego wielkim pocieszeniem. Sprawiał raczej wrażenie, jakby miał ochotę uderzyć pięścią w ścianę.

Zauważyła również spojrzenie, jakie Lucien Howard rzucił Danielowi Wylde'owi, gdy Gabriel dołączył do nich przy kredensie z drinkami. To spojrzenie świadczyło o tym, że przyjaciele zdają sobie sprawę z cierpienia lorda Wesley. Adelaide zawsze potrafiła dobrze odczytywać niuanse, gesty i wyrazy twarzy innych. Cała postawa Wesleya sugerowała, że nie zamierza spędzić tu ani chwili dłużej niż to konieczne.

Modliła się w duchu, by przy kolacji posadzono ją obok niego. W końcu wszyscy weszli do jadalni ozdobionej świecami i bukietami kwiatów. Lady Christine Howard zajęła miejsce naprzeciwko Adelaide i uśmiechnęła się życzliwie.

- Bardzo się cieszę, że siedzę blisko pani, panno Ashfield, bo chciałabym zadać pani kilka pytań dotyczących sztuki leczenia. Zawsze interesował mnie ten temat, ale nigdy nie miałam okazji go zgłębić.

- Może pani przyjechać do Northbridge i obserwować mnie przy pracy... - Adelaide urwała, gdy Amethyst Wylde skierowała Gabriela Hughesa na miejsce obok niej. Zbliżył się bardzo ostrożnie, z chłodnym, odległym spojrzeniem, i usiadł, odsuwając krzesło nieco dalej od niej.

- Lady Christine, panno Ashfield - skłonił się i skinął na lokaja, by ten napełnił jego szklanekę. Skaleczenie na lewym policzku było mocno opuchnięte i Adelaide uznała, że musi bardzo boleć.

Niepewnie odwróciła wzrok. Earl wyraźnie nie szukał współczucia ani też nie próbował nawiązać z nią rozmowy. Milczał jak kamień, wpatrując się w stół. Trzy palce jego lewej dłoni wystukiwały jakiś rytm na obrusie. Z bliska widziała na jego palcu niezwykły srebrny pierścień inkrustowany złotym krzyżem.

- Czy przyjmuje pani wielu pacjentów, panno Ashfield? - zapytała lady Christine, pochylając się w jej stronę.

- Wielu, milady. - Wiedziała, że Gabriel Hughes słucha, bo dostrzegła, jak jego dłoń znieruchomiała. - Przychodzą do mnie ludzie z wioski i kupują moje tynktury i napary, choć często okazuje się, że wystarczy im kilka słów pociechy.

- Moja matka cierpi na depresję. To zapewne skutek naszej wiejskiej sytuacji finansowej i obrażeń, które Lucien odniósł na kontynencie. Jest przekonana, że życie nas wszystkich wisi na włosku i że za każdym rogiem czai się chaos. Czy potrafi pani przyrządzać lekarstwa na tego rodzaju cierpienia?

- W rzeczy samej, potrafię. Moja ciotka Eloise twierdziła, że emocje wywodzą się z podświadomości i przejawiają się przez ciało, zatem dla tych, którzy pragną coś zmienić, przyrządzam lekarstwa, które łączą umysł i ducha z ciałem.

Na te słowa Gabriel Hughes zwrócił się do niej bezpośrednio. Głos miał niski, a na czole wyraźną zmarszczkę.

- Panno Ashfield, filozofowie od czasów Locke'a próbowali zdefiniować ciało i umysł i pojąć związek między nimi. Czy chce pani powiedzieć, że znalazła pani odpowiedź?

To było wyraźne wyzwanie. Adelaide poczuła dreszcz. Eloise i Jean celowały w tego rodzaju dysputach.

- Sądzę, lordzie Wesley, że wszystkie części ludzkiej istoty są ze sobą połączone. Umysł ma związek z ciałem.

- Doprawdy? Wiele czytałem, ale nie mogę pojąć, jak stan umysłu może wpłynąć na fizyczne ciało.

- Wiara w umysł jest potężną siłą do zmian, milordzie. - Adelaide zauważyła, że rozmowy przy stole ucichły. Wszyscy słuchali tego, co mówiła. - I choć zgadzam się, że świadomość jest z jednej strony najbardziej nam znanym aspektem życia, a z drugiej najbardziej tajemniczym, to jednak jestem szczerze i głęboko przekonana, że ciało i umysł muszą działać razem i stworzyć całość, by się uleczyć.

- Czy to dotyczy każdej żywej istoty? - Wzrok Wesleya przesunął się po jadalni i zatrzymał na trzmielcu, który zawisł za oknem. - Czy każda żywa istota ma świadomość własnego istnienia?

- Nie wykluczyłabym tego. - Adelaide zacisnęła palce na kolanach i mówiła dalej. - Religia, prawo i kultura ukształtowały nasze myślenie i nieco je ograniczyły, ale nie jestem zupełnie pew-

na, że jest to dla nas dobre.

Daniel Wylde, siedzący u szczytu stołu, roześmiał się i uniósł kieliszek.

- Chciałbym wznieść toast za swobodne dyskusje i wolne przypuszczenia. Inteligencja jest bardzo niedocenianą cechą, ale w tym domu zawsze jest mile widziana, panno Ashfield.

Amethyst Wylde skorzystała z chwili ciszy, by wtrącić:

- Polubiłaby pani mojego papę, panno Ashfield. Bardzo go interesują tego rodzaju dyskusje. Widzi pani, ojciec ma problem z sercem i jego umysł nie chce pogodzić się z kiepskimi prognozami, które dają mu wszyscy lekarze. Jako szczęśliwy człowiek przeżył wszystkich pesymistów. Czyż to nie jest triumf ducha nad materią?

- Chcę, żeby to była prawda, a więc to jest prawda? - Głos Gabriela Hughesa był płaski, pozbawiony wyrazu, a jednak, gdy Adelaide na niego spojrzała, dostrzegła błysk w jego oczach. Widziała cierpienie i nadzieję u wielu swoich pacjentów, toteż potrafiła je łatwo rozpoznać.

Czy zadawał jej pytania we własnym imieniu? Dolegliwość, która nie była dolegliwością fizyczną - w jego wypadku tylko taka diagnoza miała sens. Oczywiście, miał pokaleczoną twarz i ręce, a także zapewne sińce na plecach w miejscu, gdzie kopnął go ten osiłek Murray, ale Adelaide była przekonana, że kryje się za tym coś więcej. Tamtego dnia w parku, gdy dotknął jej ręki, poczuła, że nagle się wycofał. Wyczuła jego panikę, przestraszanie i niedowierzanie. Earl Wesley uciekł w bezpieczne miejsce i od tamtej pory nie przestał uciekać. Nawet dzisiaj, gdy siedział blisko niej, zachowywał się bardzo ostrożnie. Wyczuwała w nim echa jakiejś wewnętrznej walki, która wiele go kosztowała. Miała ochotę znów porozmawiać z nim na osobności. Pragnęła, by dotknął jej przypadkiem, pragnęła znów poczuć tę iskrę i zachwycić się zawartą w niej tajemnicą.

Eloise i Jean nie poznałyby jej. Nie uwierzyłyby, że może drzeć z pragnienia mężczyzny, którego niemal nie zna. Lord Wesley był łajdakiem i kobieciarzem, ubierał się jak dandys i otwarcie przyznawał, że nie wierzy w długotrwałe związki. Nie mogła nic zyskać w jego towarzystwie, a jednak, gdy inne rozmowy przyci-

chły, znów się do niego zwróciła.

- Filozofia mesmeryzmu jest bardzo użytecznym narzędziem do leczenia umysłu. Posiadam pewne umiejętności w tym zakresie, milordzie.

Gabriel nie wierzył własnym uszom. Do diabła, czyżby sugerowała, by powierzył jej swoje sekrety?

- Raczej nie skorzystam z oferty, panno Ashfield. Nawet tak oświecona uzdrowicielka jak pani mogłaby mieć pewne kłopoty z odgadnięciem, co mnie dręczy.

Skinęła głową.

- Cóż, jeśli to pana pocieszy, jestem również przekonana, że większość ludzi potrafi samodzielnie znaleźć rozwiązanie swoich problemów, o ile tylko będą wobec siebie szczerzy.

- To bardzo podnosi na duchu. - Starał się mówić lekkim tonem, ale mimo to w jego głosie brzmiał chłód.

- Czasami pomaga przywołanie wspomnień. Umysł otwiera się wówczas na nowe możliwości.

Błysk ognia. Pieczenie skóry. Ostatnie ciche słowa Henrietty i to coś, co trzymała w dłoniach, a czego nie mógł sobie przypomnieć.

Żołądek podszedł mu do gardła. Przez chwilę obawiał się, że zwymiotuje na stół, ale na widok uśmiechu Adelaide odzyskał równowagę. Serce nadal biło mu mocno, ale mógł już oddychać. Dokoła nich rozmowy płynęły swobodnym strumieniem. Podawano kolejne dania - kurczę, wołowinę i kaczkę, ozdobione owocami, z dodatkiem ciężkich sosów, elegancko ułożone na srebrnych półmiskach.

Gabriel wiedział, że Adelaide dostrzega jego drżenie. Powinien odwrócić się od niej, by nie zauważyła jego lęku, ale nie był w stanie tego zrobić. Panna Adelaide Ashfield była jak koło ratunkowe.

- Jedzenie jest doskonałe - powiedziała, dając mu okazję, by mógł wrócić do codziennych spraw. - Nie przyszłoby mi do głowy, żeby połączyć kurczę z kwiatami nasturcji. Mój wuj zatrudnia w Sherborne francuskiego kucharza i zwykle jadamy dobrze, ale ta kolacja jest zupełnie wyjątkowa. Bardzo się cieszę, że zostałam zaproszona.

Gabrielowi udało się uśmiechnąć do niej przez mgłę otaczającą jego umysł.

- Jestem pewien, że garnirunek na potrawach interesuje panią tak samo jak mnie, panno Ashfield, ale dziękuję, że próbuje pani oderwać moje myśli od problemów.

W jej policzkach pojawiły się głębokie dołeczki i niebieskie oczy rozjaśniły się uśmiechem.

- Do twarzy panu z wdzięcznością, milordzie. Wydaje się pan młodszy.

Roześmiał się i po raz pierwszy od dawna poczuł się nieco mniej samotny. Gdy podszedł do niego lokaj, zamierzając znów napełnić szklanekę, Gabriel odesłał go ruchem dłoni i sięgnął po dzbanek z lemoniadą.

- Sądzę, Danielu, że Gabriel i Adelaide Ashfield pasują do siebie.

Amethyst Wylde leżała przytulona do męża, ponad jego ramieniem patrząc na księżyc.

- Przyznaję, że panna Ashfield okazała się wielką niespodzianką - stwierdził Daniel. Amethyst uniosła się na łokciu i pochwyciła jego spojrzenie.

- Pod jakim względem?

- Jest na tyle inteligentna, by zrozumieć, że Wesley ma swoje tajemnice, i na tyle odważna, by próbować je poznać.

- Wyraźnie widziałam, że wstrzymała oddech, gdy on poblądł, jakby miał zasłabnąć.

Daniel usiadł i poprawił poduszkę za plecami.

- Gabriel uważa, że śmierć Henrietty Clements była wyłącznie jego winą - rzekł z troską.

- Powiedział ci to?

- Zawsze był enigmatycznym człowiekiem. Przypuszczam, że ma to coś wspólnego ze służbą dla Korony. Kilka lat temu łatwiej mi było go zrozumieć, ale teraz... - wzruszył ramionami.

- Teraz wszystko ukrywa, tak jak ty kiedyś.

Kąciki ust Daniela uniosły się w uśmiechu.

- Potrzebna mu odpowiednia towarzyszka życia i wydaje mi się, że właśnie ją znalazł, Danielu. Tylko jeszcze nie zdaje sobie

z tego sprawy.

- Ach! My, mężczyźni, jesteśmy zbyt tępi, by zrozumieć, co dla nas dobre? - Dotknął jej policzka i obrócił jej twarz w swoją stronę.

- W niektórych sprawach jesteście tępi, ale w innych bardzo bystrzy. - Amethyst przytuliła się do niego i poczuła jego rosnące zainteresowanie. Po chwili obydwójce zupełnie zapomnieli o tej rozmowie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gabriel trzymał się cienia rzucanego przez wysokie mury ogrodowych przegród. Na szczęście noc była bezksiężycowa.

Kiedyś, dawno temu, bał się ciemności. Ojciec wracał wieczorem do domu, wrzeszczał i rzucał się z pięściami na każdego, kto go zdenerwował. Później jednak Gabriel nauczył się wykorzystywać mrok, oswoił go. Teraz oznaczał dla niego tylko swobodę i łatwość poruszania.

Prześliznął się między bramami i podszedł do jednego z okien na parterze.

Friar był w środku w towarzystwie jakiejś kobiety. Do Gabriela docierał cichy pomruk jego słów. Kobieta nie wydawała się zadowolona.

- Nie, nic z tego nie będzie. On już nie odwiedza mojego przybytku i nie mogę sprawić, żeby znowu przyszedł.

- Jest pani osobą, z którą należy się liczyć, pani Bryant. Z pewnością może pani użyć jakiejś przyjemnej formy perswazji.

Szelest banknotów i brzęk monet dla wielu uszu brzmiały jak przyjemna muzyka. Głos kobiety był teraz cichszy, ale bardziej przymilny.

- Nie! - wykrzyknął Friar. Gabriel drgnął niespokojnie. Usłyszał pojedyncze przekleństwo i wycofujące się kroki. Ktoś nadszedł z głębi domu, przynosząc ze sobą światło. Po zasłonie przesunął się cień, a potem zapadła cisza.

Gabriel odetchnął głęboko i mocniej przycisnął ciało do kamiennej ściany. Stał zupełnie nieruchomo. Wyczuł niebezpieczeństwo, jeszcze zanim zdążył cokolwiek zauważyć. Trzech mężczyzn z latarnią rozglądało się po podwórzu o dziesięć metrów od niego. Kobieta wyszła w trakcie kłótni. Pani Bryant? Ten głos wydawał mu się znajomy, choć nie potrafił sobie przypomnieć twarzy.

Podszedł do niewielkich drzwi, wyjął nóż i wsunął go między fu-

trynę a zamek. Musiał zniknąć z widoku, zanim mężczyźni go zauważą. Gdy drzwi się otworzyły, wsunął się do środka i przykucnął poniżej poziomu okna. Smuga światła spoczęła na ścianie naprzeciwko, a potem zniknęła i pojawiła się gdzieś w oddali.

Na razie był bezpieczny. Pomieszczenie, w którym się znajdował, było swego rodzaju korytarzem, niewielkim i prostokątnym. Wychodziło stąd kilkoro drzwi. Gabriel zauważył trzy pary butów i ciężki skórzany płaszcz. Zastanawiał się, do kogo należy ten dom i dlaczego właśnie tu odbywało się spotkanie. Friar wynajmował pokoje dalej na zachód, w przyzwoitszej dzielnicy.

Jego uwagę przykuł miecz w pochwie oparty o drzwi. Rozejrzał się ostrożnie, przez cały czas zwrócony plecami do ściany. Na szczęście dokoła było ciemno i cicho. Wiedział, że musi zniknąć, zanim tamci wrócą. Z przyzwyczajenia sprawdził kieszenie wiszącego na ścianie płaszcza i w jednej znalazł kawałek papieru. Usłyszał odgłos kroków na drewnianej podłodze i wymknął się na zewnątrz, w bezpieczny cień.

Wiadomość była napisana po francusku na oderwanym kawałku mapy. Stojąc obok Alana Wolfe'a, szefa brytyjskiego wywiadu, Gabriel wygładził skrawek papieru, próbując odgadnąć, jaką okolicę przedstawia.

- Maisy jest w Baie de la Seine, w pół drogi między Cherbourgiem a Hawrem, portem nad kanałem La Manche. Mamy ludzi w Caen. Każę im się rozejrzeć. Wymienione tu są dwa nazwiska: Christian i Le Rougeaud.

- Marszałek Napoleona, Michel Ney, nazywany był Le Rougeaud ze względu na kolor włosów. - Gabriel zmarszczył brwi. - Ale ostatnio słyszałem, że przebywa z Saltem na południu Francji.

- Może więc chodzi o ulicę albo opis jakiegoś miejsca.

- Może to być też nazwa łodzi, która przewozi ludzi lub przesyłki do Anglii. Może Christian to kapitan?

Debatowali tak przez jakąś godzinę, zastanawiając się, jak wykorzystać te strzępki wiadomości.

- W tym domu, w którym byłeś wczoraj, nie ma nikogo. Jest pusty i wysprzątany.

- To znaczy, że już zniknęli.
- A to z kolei świadczy o tym, że nie chcieli, byśmy się o nich dowiedzieli. Zauważyli cię?
- Nie, ale włamałem się do środka. Mogli zauważyć ślady na drzwiach.
- Jesteś pewien, że to był George Friar?
- Tak. Jego głos trudno pomylić.
- A pozostali?
- Anglicy i Francuzi. Rozpoznałbym ich, gdybym znów ich usłyszał. Była tam też jakaś pani Bryant. Jej głos wydawał mi się znajomy. - Pomyślał o Świątyni Afrodyty. Być może powinien tam wrócić i sprawdzić. - Może to właścicielka jakiegoś burdelu. Powiedziała, że ma swój przybytek, a Friar wspomniał coś o przyjemnych rozrywkach.
- Każę się tym zająć. - Wolfe sięgnął po pióro i zapisał nazwiska na kawałku papieru. - Clements miał przodków z Francji, Friar ma tam kuzynów przez małżeństwo. Poza tym jest Amerykaninem i bardzo możliwe, że nienawidzi Anglików. Goode to syn ziemianina z Leicester, ale ożenił się z Francuzką, Lillianą de la Tour. Frank Richardson napisał traktat o wolności wypowiedzi i prawach człowieka.
- Henrietta Clements przysięgała, że było ich sześcioro. Clements, Friar, Goode, jego żona, Richardson i być może pani Bryant.
- W takim razie musimy się jak najszybciej dowiedzieć, co ta grupa próbuje osiągnąć, i znaleźć na to dowody. Przydzielę do tej sprawy więcej ludzi i może uda nam się ich osaczyć. Wyglądasz na wyczerpanego, Gabe. Może to przez te zebrania towarzyskie, w których uczestniczysz prawie co wieczór. Podobno George Friar jest oczarowany panną Ashfield?
- Wolfe popatrzył na niego wprost, ale Gabriel po latach praktyki z łatwością ukrył emocje. Wiedział, że dyrektor słyszał o jego znajomości z bratanicą Penbury'ego, tak jak i o niemal wszystkim, co się działo w londyńskiej socjocie. Należało zachować ostrożność. Gabriel nie chciał, by Adelaide została wmieszana w jego szpiegowską działalność. Musiał oddzielić od siebie poszczególne części własnego życia.

Przez całe lata budował sobie reputację płytkiego, rozwiązłego dandysa, na którego nie należy zwracać wielkiej uwagi. Plotki o jego podbojach erotycznych pozwalały mu unikać towarzystwa tych, którzy mieli raczej ochotę dyskutować o polityce, rządzie czy anarchii. Był to bardzo dobry kamuflaż. Uśmiech, kilka odpowiednio dobranych słów, krój ubrania, węzeł krawata – to były jego narzędzia pracy. Wydawał się zupełnie nieszkodliwy i zawsze gotów był słuchać innych.

Wojna z Francją toczyła się nie tylko na polach bitwy, we krwi i w chwale, lecz również w zacisznych sypialniach, gdzie szeptało o sekretach. Gdy chętnymi ciałami wstrząsnęły ostatnie drgnienia ekstazy, znikwały wszelkie bariery.

Gabriel od dawna nie był dobrym człowiekiem. Przez całe dorosłe życie budował sobie reputację księcia namiętności. Słyszał ten przydomek w różnych miejscach, powtarzany z odcieniem niedowierzania. Takie plotki pomagały mu przeciskać się przez szczeliny uprzejmego, dobrze wychowanego świata i trafiać na ciepłe, pełne wyznań materace. Broń palna mogła zabić tylko jednego człowieka naraz, ale słowa uderzały w wielu. Anarchia i bunt również miały swoje odcienie prawdy i honoru, ale nie zastanawiał się nad tym, gdy przekazywał dalej nazwiska wydobyte od swoich kochanek.

Czasami jednak dochodziły do niego opowieści o dobrych i honorowych ludziach zabitych przez bezimiennych napastników. Ich krew była krwią niewinnych męczenników. To była cena jego kamuflażu. Mimo wszystko nigdy się nie zawahał.

Aż do czasu Henrietty Clements. Na początku była tylko kolejnym celem, sposobem, by się czegoś dowiedzieć o jej mężu, ale obydwójce byli samotni, a zapalenie płuc przykuło Gabriela do łóżka na wiele zimowych miesięcy. Przestał mieć się na baczności i dopuścił ją zbyt blisko. Często się spotykali i w końcu Henrietta stała się niebezpieczna dla brytyjskiego wywiadu i dla niego samego.

Gdy wybuchł pożar, przyszło mu nawet do głowy, że Wolfe mógł mieć z tym coś wspólnego. Szef wywiadu potrafił sobie skutecznie poradzić z każdym problemem. Później jednak Gabriel dowiedział się, że Randolph Clements biwakował wtedy z grupą swoich

ludzi w lasach w pobliżu Ravenshill.

To była zemsta. Odplata.

Silne emocje nie pozostawiały miejsca na ostrożność. Gabriel musiał uciec od tamtego życia. Nikt nie wiedział, jak wielką cenę zapłacił, i nikt nie miał się tego dowiedzieć.

Herbatka u Lucy Carrigan wreszcie dobiegła końca i Adelaide ucieszyła się, widząc, że jej wuj i przyzwoitka zbierają się do wyjścia. Zdawało się, że skandal na balu u Whitelych przeszedł już do historii, a pogłoski o majątku Adelaide przyćmiły jej rzekome niedostatki charakteru. W rzeczy samej, pomimo obaw wuja i Imeldy, plotki i dezaprobata szybko ucichły.

Zauważyła wcześniej pana Friara. Dotychczas udawało jej się go unikać, ale gdy szli już do drzwi, stanął tuż przed nimi.

- Lordzie Penbury - skłonił się. - Nie miałem pojęcia, że była tu pani dzisiaj, panno Ashfield, bo z pewnością podszedłbym, by złożyć wyrazy uszanowania.

Adelaide milczała w nadziei, że na tym rozmowa się zakończy, ale pan Friar mówił dalej:

- Jest coś, o czym chciałem pani wspomnieć, panno Ashfield. Mój przyjaciel Kenneth Davis wspominał, że przed wielu laty był pani sąsiadem w Sherborne, i prosił, bym przekazał pani wyrazy szacunku, gdybym przypadkiem natknął się na panią podczas moich podróży.

Adelaide miała wrażenie, że ściany salonu napierają na nią. Przed oczami zamigotały jej czarne plamki. Czy to miało być ostrzeżenie, wstęp do szantażu? Drżącą ręką przegarnęła włosy i spróbowała się uśmiechnąć.

- Jaki ten świat jest mały - odezwał się jej wuj. - Kenneth Davis i moja bratanica byli kiedyś bliskimi przyjaciółmi, ale on potem wyjechał w nieznaną w poszukiwaniu fortuny.

- Fortuny... - Friar obrócił to słowo na języku. - Teraz mieszka w Baltimore, lordzie Penbury, i radzi sobie lepiej niż dobrze.

- Cóż za zbieg okoliczności, nieprawdaż, Adelaide?

George Friar roześmiał się.

- Wciąż opowiada o pięknych czasach młodości spędzonych w Anglii. Wydaje mi się, że był zauroczony pańską bratanicą, mi-

lordzie. A teraz, gdy sam ją poznałem, doskonale go rozumiem.

- To był szalony chłopak, zupełnie nieposkromiony. Kolonie to zapewne najlepsze miejsce dla kogoś takiego jak on.

- To prawda, milordzie, ale historie, które opowiada, są niezmiernie zabawne. Czy mógłbym pani towarzyszyć, panno Ashfield, i powtórzyć niektóre?

George Friar dawał jej do zrozumienia, że wie, co się zdarzyło przed laty. Znowu poczuła przerażenie i lęk. Co zrobi Friar, jeśli ona odrzuci jego zaloty? Nie mogła pozostać z nim sam na sam, dopóki nie miała żadnego planu.

Wzmianka o bogactwie przyciągnęła jednak zainteresowanie jej wuja. Zapomniał, że mieli już wychodzić, i zapytał:

- Czym się pan zajmuje w Baltimore, panie Friar?

- Transportem towarów, milordzie. Przewożę drewno z obu Ameryk do Anglii. Mam też dużą posiadłość w Coles Harbour nad rzeką Jones Falls i uprawiam tam ziemię. W koloniach można wiele zyskać, jeśli chce się pracować, a ja z pewnością chcę.

- Pańska rodzina zapewne jest dumna z tego, co pan osiągnął. Zawsze uważałem, że mój syn również powinien spróbować tam szczęścia. Może przejdiesz się po salonie z panem Friarem, Adelaide? Zapewne masz ochotę posłuchać, jak pan Davis radzi sobie w Ameryce.

George Friar natychmiast wsunął dłoń pod jej ramię i poprowadził ją dokoła pokoju.

- Przepraszam, że nie powiedziałem pani o mojej znajomości z Kennethem Davisem na balu u Harveyów, panno Ashfield, ale uznałem, że lepiej będzie najpierw panią poznać i przekonać się osobiście, czy to, co mówił o pani, może być prawdą. Niestety, wtedy potknąłem się o tę przeklętą doniczkę.

A zatem nie miał zamiaru przeprosić za swój brak dobrych manier? Adelaide zdecydowała się włączyć w jego grę.

- I cóż takiego pan Davis o mnie mówił, sir?

Przyjazny, choć nieco nadęty ton nagle się zmienił.

- Powiedział, że posiada pani jeden z największych majątków w kraju i że gdyby własny ojciec nie wsadził go na pierwszy statek wypływający z Anglii, musiałyby pani go poślubić.

Adelaide była zadowolona, że Friar wreszcie pokazał swoje

prawdziwe oblicze.

- Bardzo się pomylił, panie Friar. Żadna kobieta nie musi robić niczego, czego nie ma ochoty zrobić, tylko dlatego, że jej adoratorowi nie dostaje dobrych manier.

Serce biło jej mocno, ale udało jej się zachować uśmiech i z ulgą poczuła, że wracają jej siły. Błef za błef. To była strategia karciana, o której mówił jej Bertie.

- Gdy chodzi o kobietę, panno Ashfield, towarzystwo gotowe jest uwierzyć w każdą plotkę. - W jego głosie brzmiała wyraźna groźba. - Stąpa pani po niebezpiecznym gruncie.

- Zdaje się pan nie zauważać przeciwnego argumentu, panie Friar: ludzie, którzy rozpuszczają plotki o innych, często sami znajdują się na cenzurowanym. Jeśli rzeczywiście celem pańskiej wizyty w Anglii jest zdobycie bogatej żony, to lepiej byłoby, gdyby nie mieszał się pan do podobnych intryg.

Friar cofnął się o krok. Uśmiech na jego twarzy nie był już w stanie zamaskować gniewu.

- Moja oferta ożenku z panią, panno Ashfield, wciąż jest aktualna. Sądzę, że potrafilibyśmy się dogadać. Moglibyśmy dać początek dynastii. A jeśli nie... - zawiesił głos, nie kończąc groźby.

Mój Boże, czy on oszalał? - zastanawiała się Adelaide. Czy naprawdę wierzył, że ona ulegnie mu bez słowa?

- Zastanowię się nad tym, panie Friar, ale teraz muszę już iść. Głowa mnie rozboleła. - Podniosła dłoń do czoła, próbując przybrać cierpiący wyraz twarzy.

Friar skinął głową i pozwolił jej odejść. Wiedziała, że zyskała tylko krótkie odroczenie. Lepiej, by wierzył, że nadal ma u niej jakieś szanse.

Odetchnęła głęboko i poszła poszukać wuja.

Gabriel opadł na szeroki skórzany fotel u White'a i zamówił czystą brandy. Daniel Wylde siedział naprzeciwko. Rozdzielał ich dym z cygara.

- Moja żona martwi się o ciebie, Gabrielu. Uważa, że jesteś samotny.

- Jestem samotny, bo nie mam mocnego wina i kształtnej kobiety - odrzekł Gabriel przeciągle. W obliczu rozmowy dotyczącej

spraw osobistych najłatwiej było skryć się za sprawdzoną maską.

- Samotny - właśnie tak powiedziała. - Uważa, że panna Adelaide Ashfield byłaby dla ciebie dobrą żoną, i prosiła, bym poruszył z tobą ten temat.

Gabriel zaniemówił i wreszcie zaczął słuchać uważnie.

- Panna Ashfield jest bogata i przystojna, ale przede wszystkim inteligentna i szczerą. Taka kobieta to rzadki okaz. Amethyst sądzi, że już jesteś nią zauroczony.

- Miłość to wielkie słowo, Danielu. Nie mam w tym żadnego doświadczenia.

- Miłość to jedyne, co uwalnia od samotności. Może powinieneś się nad tym zastanowić.

Gabriel roześmiał się bez humoru.

- Niezbyt nadajesz się na swata. Zakończmy już tę rozmowę. Obu nam sprawi to ulgę.

- Dobrze być znów w twoim towarzystwie, Gabe.

W tych słowach brzmiała szczerść. Gabriel nie miał pojęcia, co odpowiedzieć, toteż milczał, walcząc z pokusą, by zwierzyć się staremu przyjacielowi ze wszystkich problemów.

- Ludzie szepczą, że pracujesz dla Korony - powiedział Daniel cicho. Urwał na chwilę, po czym podjął: - Bitwy w kampanii na półwyspie były męczące, ale zwykle trwały krótko, a ty wyglądasz jak człowiek, który pozostawał pod ostrzałem przez bardzo długi czas.

- Och, Boże! Nie chcę tego słuchać...

- Na pewno? Sądzę, że przydałaby ci się nowa perspektywa, taka, w której znalazłoby się miejsce na życie osobiste i wolność nieograniczaną dyscypliną i pracą dla kraju, który zawsze będzie czegoś potrzebował. Dla mnie pod koniec tak właśnie wyglądała służba. Zakończyłem ją z kulą w nodze i koszmarami.

- Brutalne zakończenie?

- To prawda, ale żona mnie ocaliła.

Te słowa zdusiły w zarodku nadzieje Gabriela. Jego nie mogła ocalić już żadna kobieta. Był najsłynniejszym kochankiem w całym Londynie, a jednak nie potrafił już niczego czuć.

- Zadawałeś się z niewłaściwymi kobietami. Cressida Murray od początku wróżyła kłopoty. Henrietta Clements też.

Gabriel skinął na przechodzącego kelnera i zamówił butelkę najlepszej szkockiej.

- Upij się ze mną, Danielu, i opowiedz mi o swoich koniach.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Nie sądzisz, Imeldo, że otaczają nas zupełnie nieodpowiedni mężczyźni? - westchnął lord Penbury. - Zbiegli się jak stado szczurów na tonącym statku. Pan George Friar, którego nie potrafię rozgryźć, choć twierdzi, że jest człowiekiem majątnym, szacowny Richard Williams, który cierpi na absolutny brak odwagi, a także pozostali, z którymi moja bratanica kiedyś zatańczyła i którzy nie mogą się doczekać następnego tańca... - Urwał, szukając słów. - Nie sądziłem, że to będzie aż tak wyczerpujące. Córki wydałem za mąż bez żadnych problemów. Przyjechały, znalazły, wzięły ślub.

Dopiero teraz Imelda przerwała ów monolog.

- Twoja bratanica wzbudza w mężczyznach silne uczucia, sama jednak zdaje się ich nie odwzajemniać.

- Cóż. W każdym razie lord Berrick wyraził chęć poślubienia jej.

- Kiedy to się stało?

- Przyszedł do mnie wczoraj po południu. Po rozmowie z nim sądzę, że Adelaide mogłaby wiele zyskać, gdyby spojrzała na niego przychylnie.

- Rozmawiałeś z nią już?

- Nie. Nie chcę znów się z nią kłócić. Ale to dobry człowiek i więcej niż bogaty. Kocha ją i opowiadał mi o tym bardzo szczegółowo. Przyznaję, że jest ogromnie gadatliwy, ale przy tym szczery, a do tego obiecał, że pozwoli Adelaide zajmować się sprawami, które są bliskie jej sercu, czyli lekarstwami i leczeniem.

- Wydaje się to bardzo rozsądne, ale twoja bratanica może być innego zdania. Młodzi ludzie nie mają pojęcia, co może im przynieść przyszłość i jak trudna może się okazać ich droga życiowa. Może powinniśmy jej pomóc w dokonaniu właściwego wyboru?

- Jak?

- Och, mój drogi, jest wiele sposobów używanych od lat przez mądrych opiekunów młodych i głupich ludzi. Trzeba odrobinę przycisnąć, odrobinę popchnąć i *voilà* - jesteśmy u celu.

- Sądziś zatem, że Lovelace to dobry wybór?

- Tak sędzę. To najlepsza okazja, na jaką Adelaide może liczyć w swoim wieku i ze swoim charakterem. Mówi, co myśli, i jest niezależna. Nie są to cechy, które większość dobrze urodzonych mężczyzn uznałaby za pociągające. Poza tym dobrze znam babkę Fredericka Lovelace'a. Zawsze wyrażała się o nim jak najlepiej.

Alec odetchnął. Nie lubił intryg i zwykle starał się ich unikać, ale bratanica doprowadzała go już do rozpacz. Wiedział, że Bertrand wróci kiedyś do Northbridge z żoną, potem pojawią się dzieci, i martwił się, że Adelaide poczuje się tam zbędna, zagubiona pośród zgiełku tworzonego przez kolejne pokolenie. Potrzebowała własnego życia, domu i męża. Gdyby jego brat nadal żył, z pewnością byłby tego samego zdania, zachęcałby córkę, by rozwinęła skrzydła i poszukała dobrego, szczęśliwego małżeństwa. Nie chciałby dla niej samotnego życia. Eloise i Jean dotrzymały towarzystwa sobie nawzajem, Adelaide nie miałyby niko-
go.

- Zrób, co trzeba, Imeldo, ale ostrożnie. Lepiej, żeby moja bratanica nie zauważyła, że została do czegoś zmuszona.

Gdy Adelaide zeszła na dół, ubrana na bal u McWilliamsów, lord Berrick czekał w salonie. Wyglądał tego wieczoru jakoś inaczej: strój miał starannie dobrany i kosztowny i wydawał się szczęśliwy. Może był nudny, ale też przystojny.

- Panno Ashfield - powitał ją. Rozejrzała się, szukając wzrokiem wuja i Imeldy Harcourt, ale nigdzie ich nie było. Nie mogła uwierzyć, że uznali za stosowne zostawić ich samych. Mimo wszystko uśmiechnęła się szczerze.

- Będę miał zaszczyt towarzyszyć pani na dzisiejszym balu.

Adelaide usłyszała o tym po raz pierwszy, ale przezornie milczała.

- Przyniosłem pani wujowi książkę, która mi się podobała, a on wyszedł, by poszukać czegoś, co mógłby mi pożyczyć w zamian.

- Czyta pan?

- Wszystko, co wpadnie mi w ręce. Nie mam dobrego smaku, tylko apetyt.

Adelaide musiała się roześmiać.

- Moja najstarsza kuzynka Cynthia zawsze nazywała mnie rodzinnym molem książkowym. Gdy byłam młodsza, rozumiałam to dosłownie i bardzo mnie to martwiło.

- Cóż, mój pies któregoś dnia nadgryzł pierwsze wydanie Williama Szekspira, warte spory majątek.

- Ma pan psy?

- Trzy. Wszystkie są duże i niestety dość głupie, ale lubię je.

Wyjęty z otoczenia innych salonowców, earl wydawał się całkiem miły i rozmawiało się z nim dużo łatwiej. Gdy wuj i lady Imelda wrócili do salonu, Adelaide siedziała obok Lovelace'a na sofie, a on opowiadał jej o domu, w którym się wychował. Lady Harcourt szybko skorzystała z okazji.

- Och, Thornbury Manor to bardzo piękne miejsce. Spacerowałyśmy z twoją babcią dokoła jeziora, zastanawiając się, jak urządzić ogrody, by dodały blasku posiadłości.

- I czy te plany zostały zrealizowane? - zaciekawiała się Adelaide.

- Tak, wiele z nich - uśmiechnęła się Imelda. - Mam nadzieję, że któregoś dnia będziesz mogła zobaczyć te ogrody na własne oczy, moja droga. Był tam biały ogród nad jeziorem, a przed domem różowy, czerwony i żółty. Czy nadal istnieją, lordzie Berrick?

- Mama nie miała takiego zamiłowania do ogrodnictwa jak babcia, ale jestem pewien, że na wiosnę udałoby się odnaleźć wnuki tamtych kwiatów.

- Rodzina - wymruczała z zadowoleniem Imelda. - Jakże to ważna sprawa i jakże istotne są odpowiednie koneksje. Nie sądzisz, Penbury?

- W rzeczy samej. Bez tradycji i solidarności rodzinnej człowiek byłby jak liść na wietrze, wiecznie samotny.

Adelaide wyczuła w tej rozmowie jakieś dziwne podteksty i zachodziła w głowę, o co chodzi. Berrick uśmiechał się do niej i traktował ją z wielką rewerencją. Rozmowa z nim nie była tak

nudna, jak wydawało jej się wcześniej. Właściwie Adelaide bawiła się całkiem dobrze. Berrick nie odznaczał się ciętym dowcipem, jak goście Wylde'ów, a gdy pochylał się w jej stronę, było jej wszystko jedno, czy dotknie jej przypadkiem, czy nie, ale był pogodny i czuła się przy nim swobodnie, a wuj uśmiechał się po raz pierwszy od dłuższego czasu i wydawał się z niej zadowolony.

Rodzina miała swoje wady i zalety, ale zadowolenie wuja Aleca sprawiło jej przyjemność.

- Nie ma pan zatem rodzeństwa, lordzie Berrick?

Potrząsnął głową i jego włosy pochwyliły refleksy światła z kandelabrow.

- Niestety. Obydwoje moi rodzice byli jedynakami. Ma pani szczęście, panno Ashfield, posiadając tak wielu kuzynów.

- Cóż, troje z nich jest znacznie starszych ode mnie. Cynthia i Elizabeth mieszkają teraz na północy, a Barbara wyszła za mężczyznę z Bostonu i nie widzieliśmy jej od lat. Dobrze, że przynajmniej Bertand mieszka w Londynie.

- Chciałbym mieć dużą rodzinę. W dzieciństwie czasami czułem się samotny.

Te słowa brzmiały szczerze. Mężczyźni rzadko przyznawali się do takich uczuć. Adelaide uśmiechnęła się, ale gdy zauważyła wymianę spojrzeń między wujem a przyzwoitką, znów zeszywniała. Dopiero teraz przyszło jej do głowy, że w tym spotkaniu chodzi o coś więcej.

Dwanaście tygodni sezonu towarzyskiego, które obiecała wujowi, mijały szybko i Alec coraz rozpaczliwiej próbował znaleźć kandydata na męża, który spodobałby jej się choć odrobinę. Czy rozmawiał z Lovelace'em o jego nadziejach? Może nawet zachęcał go do konkurów? Berrick był prostoduszny i z całą pewnością nie brał udziału w żadnych intrygach. Miała ochotę wziąć go za rękę, żeby dodać mu pewności, gdy naraz wuj zaczął go wypytywać bez ogródek.

- Gdyby się pan ożenił, wolałby pan mieszkać w Londynie czy w Thornbury?

- Lubię wieś, sir - odrzekł Frederick. - Ale to zależałoby od preferencji mojej żony.

W oczach wuja błysnęło uznanie.

- A podróże? Czy wybiera się pan za granicę?

- Nie, sir. Nigdy nie miałem ochoty opuszczać naszej zielonej Anglii. Tu jest wszystko, czego potrzebuję.

Ta odpowiedź również została wynagrodzona dobrodusznym skinieniem głowy.

Imelda przez cały czas milczała, ale Adelaide czuła na sobie jej wzrok. Gdy wuj stwierdził, że pora już jechać na bal do McWilliamsów, odetchnęła z ulgą. Za wszelką cenę chciała już zakończyć tę krępującą rozmowę. Miała tylko nadzieję, że nie spotka tam George'a Friara.

Earl Wesley nie poprosił jej do tańca, nawet gdy Berricka odwołano od jej boku, gdzie spędził większą część wieczoru. Nie, Gabriel Hughes przez cały czas trzymał się drugiego końca salonu. Był najwyższym i najprzystojniejszym mężczyzną na balu. Od czasu do czasu czuła na sobie jego twarde, nieprzeniknione spojrzenie. Gdy muzycy zaczęli grać walca, Adelaide popatrzyła wprost na Wesleya, modląc się w duchu, by do niej podszedł. On jednak po prostu się oddalił i nie oglądając się za siebie, sięgnął po drinka z tacy lokaja.

- Wyglądasz dziś uroczo, moja droga. - Głos Imeldy przywołał ją do terażniejszości. - Właśnie rozmawiałam z twoim wujem o tym, że londyńskie towarzystwo bardzo ci służy. Rozkwitłaś i promieniejesz, szczególnie w tej chwili. Frederick Lovelace również pięknie wygląda, przyznasz chyba, moja droga?

Adelaide skinęła głową, bo przyzwoitka chyba tego od niej oczekiwała.

- Wiele obecnych tu młodych kobiet z wielką radością wyszłoby z nim z tej sali. Popatrz na przykład na pannę Carrigan. Tańczy z nim walca i promienieje. - Imelda pochyliła się w jej stronę i wzięła ją za rękę. - Mądry wybór męża jest najważniejszy dla przyszłego szczęścia każdej kobiety, Adelaide. To, co teraz wydaje się godne pożądaniami, często przestaje takie być. - Mocniej uściśnęła jej palce. - I wierz mi, że tak będzie. Moja rada brzmi: wybierz sobie mężczyznę bogatego i uległego, takiego, który zapewni ci materialny dobrobyt i uczyni to z radością.

- Mówisz o mężczyźnie bogatym i słabym.

Imelda roześmiała się.

- W małżeństwie zupełnie wystarczy siła kobiety. Nie ma tam miejsca na to, żeby mężczyzna również miał coś do powiedzenia.

Adelaide pomyślała, że jej starym ciotkom podobałoby się to, co Imelda mówi, jej jednak te słowa wydały się irytujące. A co z równością i spotkaniem dwóch równych sobie umysłów? Gdzie w tak jednostronnym związku było miejsce na dyskusję?

- Mój Charles i ja byliśmy małżeństwem przez trzydzieści lat i nigdy nie padło między nami żadne nieprzyjazne słowo. Lovelace przypomina mi mojego świętej pamięci męża. Gdybym miała ci cokolwiek radzić, to powinnaś mu okazać uczucie, jakie niewątpliwie do niego żywisz.

Earl Berrick w tej właśnie chwili pochwycił jej spojrzenie i uśmiechnął się do niej ponad głowami innych tancerzy.

- Powiedział twojemu wujowi, że chciałby pojąć cię za żonę. Wuj nalegał, bym ci o tym nie wspominała, ale żelazo należy kuć, póki gorące. Jeśli wolno mi tak powiedzieć, sądzę, że to odpowiednia chwila.

Adelaide poczuła przerażenie, a zaraz potem gniew. A zatem cały ten wieczór miał służyć przekonaniu jej. Młode, wysoko urodzone kobiety szkolone były od dziecka w powinnościach wobec rodzowego nazwiska. Miłości nie uważano za konieczny element małżeństwa. Kobiety wychodziły za mąż dla bezpieczeństwa, wolności, pieniędzy - i doprawdy, któż mógłby je za to winić, skoro ze stanem niewinności wiązały się głównie ograniczenia?

Poczuła nienawiść do klatki, którą zbudowała sobie na własne życzenie. Nie powinna zgadzać się na przyjazd do Londynu. Okazało się, że w tym otoczeniu zaczęła kwestionować wszystko, w co zawsze wierzyła. Naraz staropanieństwo zaczęło jej się wydawać równie wielką pułapką jak nieszczęśliwy związek. Długie lata spędzane w samotności zrównały się w jej umyśle z niedobranym małżeństwem.

Pomyślała o Danielu i jego żonie Amethyst. Tego właśnie pragnęła: radości, siły pochodzącej z różnic i więzi. Berrick nie mógł jej tego dać. Wuj i ciotka próbowali wmanewrować ją w małżeństwo, w którym nie miałyby nic do powiedzenia, a Lovelace już wyraził chęć poślubienia jej. Zrozumiała, że jeśli szybko czegoś

nie zrobi, to zanim się obejrzy, rzeczywiście stanie przed ołtarzem w towarzystwie zupełnie nieodpowiedniego mężczyzny.

Nigdy nie uważała się za osobę szczególnie odważną ani spragnioną przygód, ale tego wieczoru mocniej odbierała wszelkie wrażenia. Czuła się bardziej żywa i wszystko wydawało się inne niż zwykle. Odeszła od lady Harcourt pod pretekstem spotkania z Lucy Carrigan i przystanąła w przejściu do sąsiedniego salonu, gdzie Gabriel Hughes rozmawiał z Lucieniem Howardem i jego siostrą Christine. Adelaide podeszła, by ich pozdrowić, i natychmiast została zaproszona do konwersacji.

- Właśnie mówiłam bratu, panno Ashfield, jak wielką radość sprawiła mi nasza rozmowa tamtego wieczoru i że powinniśmy wkrótce spotkać się ponownie.

- Z wielką przyjemnością, lady Christine. - Nie podniosła wzroku na lorda Wesley, ale świadoma była jego obecności. Buty miał pięknie wypolerowane, a spodnie doskonale skrojone. Znow poczuła, że na jej policzki wypełza ten przeklęty rumieniec.

Lucien i Christine zaczęli rozmawiać o jednym z gości. Earl Wesley pochylił się do niej i powiedział cicho:

- Czy dobrze się pani czuje, panno Ashfield? Wydaje się pani wytrącona z równowagi.

Z lekkim uśmiechem podniosła na niego wzrok. W jego złocistych oczach czaiło się pytanie. Wyglądał jak człowiek, który nie ma już ochoty więcej walczyć. Wydawał się znużony i wyczerpany, ale nawet to jej nie odstraszyło.

- Czy zechciałby pan zatańczyć ze mną następny taniec, milordzie? - zapytała wprost.

Wesley dobrze potrafił ukrywać emocje, ale dostrzegła na jego twarzy zdumienie. Nie zastanawiała się długo nad następnymi słowami.

- Lord Berrick chce, żebym za niego wyszła.

Miała wrażenie, że świat wokół nich przestał istnieć. Cały zgiełek balu znalazł się gdzieś bardzo daleko. Zatraciła się bez reszty w ich rozmowie. Sala balowa za plecami Gabriela Hugheisa wydawała się czarno-biała. On zaś stał zupełnie nieruchomo z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- A pani czego chce? - zapytał w końcu.

- Chcę mieć dom, choć dopiero niedawno uświadomiłam sobie, jak ważne jest własne miejsce. Moja przyzwoitka nie wahała się mnie uprzedzić, że gdy Bertie przywiezie narzeczoną do Northbridge, ja stanę się tam zawadą.

Zwrócił się w jej stronę. Filar odgradzał ich od reszty towarzystwa, Adelaide wiedziała jednak, że za chwilę będą musieli wrócić do grupy.

- Freddy Lovelace zanudzi panią na śmierć jeszcze przed upływem tygodnia.

- Czy moglibyśmy w takim razie spotkać się gdzieś sam na sam? - wydusiła z desperacją, która przeraziła ją samą.

- Co takiego?

- Zanim wyjdę za mężczyznę, który jest mi zupełnie obojętny, muszę się dowiedzieć, co czuje kobieta, dotykając mężczyzny, przy którym jej serce bije szybciej... Cieszy się pan reputacją bardzo wprawnego kochanka, więc sądziłam, że może mógłby pan...

- Do diabła, Adelaide!

Ogarniało ją coraz większe przerażenie. Poprosiła o coś tak niesłychanego, że nawet najbardziej rozwiąły kochanek w całym Londynie nie był w stanie spełnić jej prośby.

- Nie mogę - wykrztusił zdławionym głosem.

Te słowa przeszyły ją jak szpilety. Odwróciła się na pięcie i szybko odeszła z nadzieją, że nie zauważył jej łez.

Oparty o zimny marmurowy filar Gabriel poczuł przeszywający ból w piersiach. Wciąż otaczał go jej cytrynowy zapach. Nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał.

Nie mógł. Nie mógł jej dotknąć i nie mógł niczego wyjaśnić.

Była gotowa wyjść za Berricka, by mieć swoje miejsce, swój dom. Z desperacji, by nie wyrzucono jej z domu, który zawsze był jej schronieniem.

Nie pasowali do siebie. Adelaide Ashfield była o wiele inteligentniejsza i bardziej przenikliwa niż Berrick. Zjadłaby takiego męża na śniadanie i przez resztę życia chodziłaby głodna, skazana na zwyczajność. Zasługiwała na to, co rzadkie i godne uwagi, niezwykle i cudowne.

Uśmiechnął się, wyliczając w duchu tę listę przymiotów, ale niezmiernie żałował, że nie spotkali się wcześniej, w czasach gdy był jeszcze zdrowym, dobrym i honorowym mężczyzną.

- Błado wyglądasz, Gabe. - Lucien stanął dokładnie w tym samym miejscu, gdzie przed chwilą stała Adelaide. Po drugiej jego stronie Christine rozmawiała z nieznajomą dziewczyną. - A bratanica Penbury'ego wydawała się czymś zdenerwowana.

- Po prostu jestem zmęczony. - Gabriel oderwał wzrok od odalającej się Adelaide. Podeszła do wuja i przyzwoitki i zdawało się, że zbierają się do wyjścia.

Był z tego zadowolony.

- Jak na debutantkę, panna Ashfield wydaje się wzbudzać w otoczeniu silne uczucia. - W oczach Luciena pojawiło się pytanie. - Selwyn Carrigan wspominał, że pytał o nią George Friar.

- Friar to szarlatan. Mam nadzieję, że panna Ashfield będzie się trzymać z dala od niego.

- Skłonny jestem zgodzić się z tobą. James Stanhope wrócił właśnie z Baltimore i przysięga, że ani razu nie usłyszał nazwiska Friara ani wzmianki o jego majątku. Wydaje się to dziwne, skoro Friar opowiada z takim zadęciem o swoich włościach i interesach. Ale możliwe, że interesuje go majątek panny Ashfield, bo jego własna sytuacja nie przedstawia się tak różowo, jak twierdzi.

Gabriel zmarszczył czoło. Ludzie kłamali i ukrywali różne rzeczy, by ukazać się w lepszym świetle. A on tak wiele miał w życiu do czynienia z tajemnicami, że rozumiał, jak wielkie niebezpieczeństwo się w tym kryje. Czy ten człowiek mógł skrzywdzić Adelaide? Raz już próbował, na balu u Harveyów. Czy mógłby zrobić to znowu?

Małżeństwa zawierano z najbliższych powodów i niejeden związek został zaaranżowany w pośpiechu po to, by uniknąć skandalu. Gabriel nie chciał, by Adelaide Ashfield wyszła za George'a Friara i by ten zaciągnął ją gdzieś w amerykańską dzicz. Chciał, by została tutaj, by mógł z nią rozmawiać i śmiać się. Lubił te chwile i wyczekiwał ich. Ale musiał też wziąć pod uwagę oświadczyńcy Frederica Lovelace'a.

Odwrócił się, gdy obok niego stanęła siostra Luciena.

- Moja bliska przyjaciółka chciałaby cię poznać, Gabrieli. Panna Smithson niedawno przyjechała ze wsi i doskonale jeździ konno.

Gabriel z uśmiechem poprawił fałdy krawata i spojrzał na niską, jasnowłosą kobietę za plecami Christine.

Powóz powoli zmierzał w stronę domu. Wuj Alec siedział cicho przy oknie, ale Frederic Lovelace nie przestawał gadać. Mówił o pogodzie i o balu, o księżycu i o swoim rozumieniu przestrzeni, o zapachu Adelaide i o tym, że ten zapach przywodzi do niego wspomnienia młodych lat.

Miała nadzieję, że wuj albo Imelda Harcourt w końcu każą mu się uciszyć albo przynajmniej włączą się do rozmowy, ale oboje milczeli i okropny monolog Lovelace'a ciągnął się nieprzerwanie, aż dotarli do domu.

Adelaide nie chciała myśleć o balu i o Gabrieli Hughesie. Spoglądając na niego po raz ostatni, uśmiechała się tylko mechanicznie. Uniesione kąci jej ust były zupełnie sztywne. „Nie mogę”, powiedział, i wszystko rozsypało się w gruzy - jej nadzieja, radość, wyczekiwanie. Gdy Frederic Lovelace pożegnał się z nią, szybko uciekła do swojego pokoju, rzuciła się na łóżko i szlochała w poduszkę, mocząc ją obficie łzami.

W końcu podniosła się i w lustrze spojrzała na swoje zapuchnięte oczy, zrujnowane marzenia, bezbrzeżny smutek istnienia.

- To jest dno - powiedziała równym, spokojnym głosem. - To jest najgorsze, czego w życiu doświadczysz. Obiecuję, że już nigdy więcej nie będzie aż tak źle.

Gabriel Hughes jej nie chciał. Nie mógł się zdobyć nawet na to, by jej dotknąć.

Przymknęła oczy i stała tak, nieruchoma i samotna.

Następnego ranka wuj wezwał ją do swojego gabinetu.

- Frederic Lovelace, earl Berrick, uczynił ci ten zaszczyt i zaproponował małżeństwo, Adelaide. Poprosił o twoją rękę, a ja radziłbym ci rozważyć tę propozycję, bo to zapewne najlepsza oferta, jaką kiedykolwiek otrzymasz.

Adelaide potrząsnęła głową i usiadła, obawiając się, że nogi

mogą się pod nią ugiąć.

- Wuju, przyjeżdżając do Londynu, powiedziałam ci, że nie chcę wychodzić za kogokolwiek, i to się nie zmieniło. Nic, co powiesz, nie przekona mnie do zmiany zdania.

Wuj milczał przez chwilę. W końcu podszedł do biurka i wyciągnął kopertę.

- Przeczytaj to, dziecko.

Adelaide ze zdumieniem zauważyła na kopercie pismo swego nieżyjącego ojca.

- John napisał to pół roku przed swoją śmiercią. Nasz prawnik nalegał, żebyśmy obydwaj zmienili testamenty, toteż usiedliśmy razem i próbowaliśmy pomyśleć o wszystkim, co może się wydarzyć, nawet o najgorszych okolicznościach. Takich jak te - dodał i położył jej rękę na ramieniu. - Twój ojciec oczekiwał, że wyjdiesz za mąż i założysz własną rodzinę. Nalegał, bym jako twój opiekun pomógł ci wybrać odpowiedniego męża. Martwiło go to, że wiele młodych kobiet jest nieszczęśliwych w nieodpowiednich małżeństwach i nie chciał, by przytrafiło się to również i tobie. Chciał, byś poślubiła kogoś majątnego, rozsądnego i honorowego, mężczyznę, który mógłby utrzymać cię na stopie, do jakiej przywykłaś. Przeczytaj ten list. Znajdziesz w nim listę rodzin, spośród których, zgodnie z życzeniem Johna, mógłby pochodzić twój mąż. Rodzina Lovelace'ów jest na trzecim miejscu.

- Mimo wszystko moja odpowiedź brzmi: nie. - Słowa Adelaide odbiły się echem w cichym gabinecie.

- A czy są na tej liście jacyś inni, na których mogłabyś zwrócić uwagę?

- Nie.

- W ciągu tych wszystkich tygodni nie spotkałaś nikogo, z kim mogłaś sobie wyobrazić własną przyszłość?

Adelaide milczała.

- To znaczy, że zupełnie zawiodłem twojego ojca. Jego linia zniknie, bo drzewo rodzinne należy podtrzymywać. Gdybyś miała rodzeństwo, twoja decyzja nie byłaby tak istotna, ale jesteś jedy-naczką. - Wuj nalał sobie drinka i wypił go jednym haustem. - Uważam to za osobistą porażkę. Mój brat patrzy teraz na mnie z góry i myśli, że powinienem zrobić dla ciebie więcej.

Adelaide potrząsnęła głową.

- Byłeś dla mnie dobry i kochałeś mnie, wuju. Zawsze czułam się w Northbridge jak w domu.

- Cóż, dziękuję ci za te słowa, moja droga, ale sentymenty nie pomogą nam znaleźć dobrego wyjścia z sytuacji. Lord Berrick przyjdzie tu po lunchu. Miałem nadzieję, że będę mógł dać mu swoje błogosławieństwo, ale nie mogę cię zmusić do rozsądku. W każdym razie pamiętaj, że próbowałem odwieść cię od decyzji o odrzuceniu jego oświadczyn.

Słowa napisane ręką ojca rozplynęły jej się przed oczami. Rodzice kochali ją, próbowali chronić i nadać jej życiu odpowiedni bieg. Nie odpowiedziała jeszcze na próbę szantażu George'a Friara i wiedziała, że stąpa po niebezpiecznym gruncie.

- Po prostu nie mogę - dodała cicho. Odłożyła list ojca na stół i w milczeniu wymknęła się z gabinetu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wczesnym wieczorem Daniel Wylde znów odwiedził Gabriela.

- Widziałem dziś rano Fredericka Lovelace'a. Ma nadzieję otrzymać dobre wiadomości dotyczące wspaniałego zwrotu w jego życiu, tak to chyba ujął. A potem zapytał, czy znam pannę Adelaide Ashfield z Sherborne.

Do diabła!

Gniew Gabriela zmienił się w żal, a potem znów we wściekłość. Czy ona to zrobi? Czy wyjdzie za mąż tylko dla pozycji w świecie?

- Lucien mówił, że panna Ashfield wydawała się bardzo zdenerwowana po rozmowie z tobą na balu u McWilliamsów, Gabrielu. Posprzeczaliście się o coś?

Gabriel potrząsnął głową.

- To była wyłącznie moja wina.

- Ale cóż takiego zrobiłeś?

Nie mogę dotknąć kobiety, bo robi mi się niedobrze, pomyślał. Przez chwilę wydawało mu się, że powiedział te słowa na głos, i serce zabiło mu tak gwałtownie, że zachwiał się na nogach.

- Boże, Gabrielu, co się z tobą dzieje? Czy jesteś chory? To przez ten przekłety wywiad, tak? Czy Adelaide Ashfield jest w jakiś sposób wplątana w twoją pracę?

„Nigdy mnie nie kochałeś Gabrielu, nie tak jak ja ciebie”. To były ostatnie słowa wypowiedziane przez Henriettę przed pożarem. Drżała na całym ciele. Wciąż czuł dotyk jej palców na szyi, ucisk paznokci. Ciąg dalszy rozpływał się w jego umyśle. Pamięć powoli wracała. Coraz więcej drobnych fragmentów znajdowało swoje miejsce w całości.

- Usiądź, zanim upadniesz. - Daniel poprowadził go do krzesła przy oknie. - Muszę zrozumieć, Gabe, co się z tobą, do diabła, dzieje.

Siedząc, czuł się lepiej. Łatwiej mu było oddychać i myśleć.

- Po pożarze zagubiłem się.
- Mówisz o pożarze w kaplicy Ravenshill? O tym, w którym zginęła Henrietta Clements?
- Sądzę, że chciała umrzeć.
- O Boże!
- Niezbyt dobrze pamiętam, ale... - urwał.
- Podobno byłeś mocno poparzony.

Gabriel podniósł wzrok, próbując zebrać siły, by zataić to, co przez cały czas ukrywał z największą starannością.

- Byłem. Nie wygląda to ładnie.
- A zatem to z powodu blizn chodziłeś do burdeli. Nie chciałeś, żeby widział je ktokolwiek oprócz prostytutek? Barnsley mówił, że spotkał cię w Świątyni Afrodyty. Zastanawiał się, czy mi o tym wspomniałeś, ale ja mu powiedziałem, że musiał się pomylić, bo ty nigdy wcześniej nie... - Urwał na chwilę i w jego wzroku błysnęło zrozumienie. - A zatem dysputa o ciele i umyśle, którą przeprowadziłeś tamtego wieczoru z panną Ashfield, miała bardziej osobisty charakter, niżeli mogłoby się wydawać?
- Nie mieszaj w to panny Ashfield, Danielu. Mówię poważnie.
- Rozmawiała z Christine Howard o mesmeryzmie...
- Nie chcę tego słuchać.
- ...i o samouzdrowieniu. O tym, że trzeba jeszcze raz przeżyć tę chwilę, gdy wszystko się zmieniło, by móc ruszyć dalej z życiem. O pogodzeniu się z tym, co ci się zdarzyło.

Płomienie pęły coraz bliżej wokół jego nóg, ramię zaczęło płonąć, skóra pękać. Czyjeś dłonie pociągnęły go w bezpieczne miejsce i w tej samej chwili resztkę długich włosów Henrietty Clements zaskwierczała i poczerniała.

Uśmiechnęła się do niego, po czym przeklęła go w ostatniej chwili przed śmiercią.

- *Nie będzie dla ciebie żadnej innej kobiety oprócz mnie.*
- Gdy to wspomnienie wróciło, znieruchomiał.
- Co się dzieje, Gabe? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.
 - Myślę, że Henrietta Clements chciała, żebym zginął razem z nią. Ten pożar był jak stos ofiarny. Skoro nie mogła mieć mnie na tym świecie, to może na tamtym...? - Nie miał siły mówić dalej.

- I dopiero teraz sobie to przypomniałeś? Może to, co mówiła panna Ashfield o krytycznych chwilach, jest prawdziwsze, niż obaj sądziliśmy. Ona się zmarnuje, jeśli wyjdzie za Lovelace'a.

Gabriel stłumił lęk.

- Czy twoja żona mogłaby poprosić pannę Ashfield, by odwiedziła was znowu jutro po południu?

- Chcesz z nią porozmawiać?

- O ile to możliwe, sam na sam.

- Uważam, że to doskonały pomysł.

Nieco zdenerwowana Adelaide wspięła się na schody domu Montcliffe'ów w towarzystwie swej pokojówki Milly. Po okropnej rozmowie z Gabrielem Hughesem na balu u McWilliamsów nie mogła spać po nocach i wiedziała, że nie wygląda najlepiej.

Podczas poprzedniej wizyty spotkała go tutaj, ale teraz, gdy weszła do środka i przywitała się gospodynią, nigdzie go nie zauważyła.

- Może pokojówka pani pójdzie wraz z moją do kuchni, panno Ashfield. Dostaną tam coś do jedzenia, a my będziemy mogły porozmawiać.

- Oczywiście. - Milly z zadowoleniem wstała i wyszła, zostawiając Adelaide samą w towarzystwie Amethyst Wylde, która pociągnęła ją do niewielkiego saloniku.

- Chciałabym rozmawiać z panią szczerze, Adelaide. Czy mogę się tak do pani zwracać?

- Tak.

- Earl Wesley jest naszym szczególnym przyjacielem. To dobry człowiek i silny mężczyzna, sądzę jednak, że nierozumiany przez towarzystwo. Podziwia panią. Wiem to na pewno.

Adelaide poczuła się speszona rumieńcem, który oblał jej twarz.

- Jest tu dzisiaj i prosił o rozmowę z panią na osobności. Czy byłaby pani skłonna się na to zgodzić?

Podniosła się, niezdolna wysiedzieć w miejscu. Kilka dni wcześniej sama prosiła o spotkanie z earlem, a on odmówił. Nie miała pojęcia, co chce jej powiedzieć teraz, ale nie mogło to być nic gorszego niż podczas ostatniego spotkania. Był tu, w pobliżu.

Wzięła głęboki oddech.

- Byłabym skłonna. Mój wuj spodziewa się, że znajdę w Londynie męża, ale majątek może być wielką przeszkodą w planach małżeńskich, lady Montcliffe.

- Bogaci muszą wychodzić za bogatych, to chce pani powiedzieć? - Amethyst Wylde stanęła obok niej.

- Właśnie tak. Lord Berrick poprosił o moją rękę.

- Doszły mnie takie plotki, ale nie przypominam sobie tego człowieka.

- Wuj chciałby, abym wyszła za kogoś z dobrego towarzystwa. Mój ojciec również tego pragnął. Zostawił list, w którym wyraża nadzieję, że znajdę odpowiedniego kandydata, i wymienia między innymi nazwisko Berricka, więc...

- Więc jest pani pod dużą presją. Z drugiej strony mogę pani powiedzieć, że Daniel był niemal bez grosza, gdy za niego wyszłam, a nasz związek jest bardzo udany. Sądzę, że mądra kobieta znajdzie sposób, by zdobyć to, czego chce. A z tego, co o pani słyszałam i o czym mogłam się przekonać osobiście, panno Ashfield, jest pani w stanie sprostać temu zadaniu. Jeśli mogę coś radzić, to proszę iść za głosem serca, bez względu na to, dokąd panią zaprowadzi. A teraz proszę mi wybaczyć. Pójdę poszukać lorda Wesley.

Adelaide stała w promieniach słońca przy przeszklonych drzwiach wychodzących na ogród, owiana zapachem cytryn. Gabriel zawahał się. Przez chwilę nie był pewien, czy krok, który zamierzał uczynić, jest błędem, czy nie, ale podszedł bliżej i Adelaide odwróciła się w jego stronę.

Dzisiaj nie miała okularów. To była pierwsza rzecz, jaką zauważył. Jej oczy wydawały się większe i o wiele bardziej niebieskie. Błyszczała w nich cała paleta emocji: lęk, niepokój, radość.

- Panno Ashfield.

- Milordzie.

Nie podszedł bliżej, tylko zamknął drzwi. Słońce skryło się za chmurą i pokój wyraźnie pociemniał. Gabriel miał nadzieję, że to nie jest zły omen.

- Dziękuję, że zechciała się pani ze mną spotkać. Przypusz-

czam, że nie zostałbym powitany przyjaźnie w domu Penbury'ego, toteż poprosiłem lorda i lady Montcliffe o zaaranżowanie naszego spotkania. Widzi pani, doszły mnie słuchy, że zgodziła się pani wyjść za Lovelace'a i... – urwał, zdenerwowany.

Uśmiechnęła się ze smutkiem. Ten uśmiech nie sięgał jej oczu.

– Milordzie, pan chyba najlepiej ze wszystkich ludzi powinien wiedzieć, że słuchanie plotek jest niebezpieczne.

Zdumiony był ulgą, jaka go ogarnęła.

– Zatem to nieprawda?

– Och, w każdej plotce kryje się jakieś ziarno prawdy. Lord Berrick poprosił mnie o rękę, ale odmówiłam.

– Bo nie kocha go pani?

– Bo nie mogłabym go pokochać. To duża różnica. Można wyjść za mężczyznę, którego się podziwia, w nadziei, że miłość przyjdzie z czasem, ale jeśli od samego początku nic się do tego kogoś nie czuje, to wątpię, by mógł z tego się narodzić zadowolający związek. – Przy ostatnich słowach jej głos zadrżał, a puls na szyi przyspieszył.

Gabriel przekroczył dzielący ich dystans i stanął blisko niej, wpatrując się w tajemnicze niebieskie oczy.

– Powiedziała pani kiedyś, że w ogóle nie chce pani wychodzić za mąż.

– Wtedy sądziłam, że tak jest.

– A teraz?

– Moje miejsce na tym świecie nie jest już takie pewne. Inaczej, niż sądziłam, Northbridge nie jest moim domem. Wydawało mi się, że przyjeżdżam tutaj na dwanaście tygodni, a potem będę mogła wrócić do starego życia, ale teraz to nie będzie takie łatwe. – Uśmiechnęła się. – Znalazłam się na rozdrożu, lordzie Wesley, i nie mam pojęcia, w którym kierunku powinnam się zwrócić.

Później Gabriel pomyślał, że to jej odwaga skłoniła go do porzucenia ostrożności i mówienia wprost.

– W takim razie proszę wyjść za mnie.

Otworzyła usta, wpatrując się w niego.

– Nie jestem bogaty i nie mogę pani zapewnić takiego bezpieczeństwa, jakiego życzyłby sobie pani wuj. Są rzeczy, o których

pani nie wie i być może nigdy ich pani nie zrozumie, ale obiecuję, że będę panią chronił. Zawsze. Moje gniazdo rodzinne w tej chwili jest wypaloną ruiną, a dom w mieście obciążony sporą hipoteką. Ale pani majątek pozostanie prawnie pani własnością. Oddzielimy go od wszystkiego, co ja sam posiadam, bo chciałbym, żeby pani zrozumiała, że nie proszę o pani rękę dla pieniędzy.

- W takim razie dlaczego pan o nią prosi? - zapytała bardzo cicho.

- Podoba mi się sposób pani myślenia, a także to, że walczy pani o ludzi i uzdrawia ich. Poza tym głupota Berricka zniszczyła by panią, a George Friar nie jest godzien zaufania.

W kącie tykał zegar, odmierzając mijające minuty. Na zewnątrz przejechał powóz. Drobne dźwięki codziennego życia równoważyły doniosłość tego, co Wesley jej proponował.

- Tak.

Nie był pewien, co ona ma na myśli.

- Tak?

- Wyjdę za pana, milordzie.

- Gabrielu. Mam na imię Gabriel.

- Wiem.

Żadne z nich się nie poruszyło. Obydwoje zastygli w świetle fantazji.

- Do diabła!

Roześmiała się. Był to niski, zmysłowy śmiech, który wypełnił jego wewnętrzną pustkę.

- Wydaje mi się, milordzie, że nie powinno się przeklinać w takiej chwili.

Czyżby rzeczywiście zgodziła się na jego propozycję? Czy to mogło być takie łatwe?

Nie, pomyślał zaraz. Panna Ashfield nie miała pojęcia, kim on jest. Znowu poczuł ból w udzie i jego niepewność jeszcze wzrosła. Powinien cofnąć swoją propozycję, pozwolić, żeby panna Ashfield sama znalazła kierunek w życiu. Była rozsądna, inteligentna i szczerą, a on niebezpieczny i niestabilny, a poza tym stał się impotentem. To słowo zdawało się przebijać przez wszystko, co mówił i robił. Nie był z nią szczery. Było pewne, że od pierwszej

chwili, gdy spróbuje jej dotknąć, ona zauważy, że coś jest nie tak.

Czy jego oświadczenia były egoistyczne? Czy miał nadzieję, że dotyk panny Adelaide Ashfield uzdrowi go?

- Nigdy nie próbowałbym powstrzymać cię przed robieniem czegoś, co chciałybyś robić. Pragnę małżeństwa opartego na równości i niezależności.

Musiał to powiedzieć, żeby zrównoważyć wszelkie negatywy. Poza tym Adelaide zawsze podkreślała, jak ważna jest dla niej niezależność. Ale czy to wystarczy, gdy ona już zrozumie, czego on nie może jej dać?

- Sądzę, że moje ciotki polubiłyby pana, lordzie Wesley. Lady Montcliffe powiedziała mi, że mądra kobieta szuka związku, który mógłby jej zapewnić to, czego potrzebuje.

- A czy pani jest mądrą kobietą, Adelaide Ashfield?

- Na pewno na tyle mądrą, by zdawać sobie sprawę, że pragnę właśnie takiego małżeństwa, o jakim pan mówi. - Nie wspomniała o miłości. - Chcę mężczyzny, z którym będę mogła rozmawiać. Takiego, który potrafi docenić dyskusję.

Jeszcze lepiej. Z tym mógłby sobie poradzić bez problemu. Panna Ashfield nie próbowała z nim flirtować, tylko jasno formułowała swoje wymagania, nawet takie, o których wcześniej nie pomyślała. To było zadziwiające u kobiety. Uśmiechnął się.

Rozległo się stukanie do drzwi i do środka weszła Amethyst Wylde.

- Mam nadzieję, że wystarczyło ci czasu, Gabrielu, żeby omówić sprawy między wami. Przyszła Christine Howard. Może napijemy się wszyscy herbaty?

Poczuł na sobie jej przenikliwe spojrzenie. W oczach błyszczał niepokój i ciekawość.

- Sądzę, że szampan byłby bardziej odpowiedni. Poprosiłem pannę Ashfield, by została moją żoną.

- I zgodziła się?

Gabriel zwrócił się w stronę Adelaide z nadzieją, że to ona coś powie.

- Zgodziłam się - przyznała miękko.

Podeszła do niej lady Christine i teraz wszyscy patrzyli na niego.

- Szczęście straceńców przynosi czasem zdumiewające obroty losu, ale na swoją obronę muszę powiedzieć, że starałem się uprzedzić przyszłą żonę o wszystkich moich brakach. - Zdobył się na humor, widział jednak, że gospodyni i jej przyjaciółka są zdumione. Wiedziały, że nie zasługiwał na Adelaide Ashfield, która reprezentowała wszystko, co dobre, honorowe i prawe.

W końcu Christine Howard przerwała milczenie.

- Cóż, to doskonała wiadomość. Gabriel zawsze był dobrym i interesującym człowiekiem. Sądzę, że będzie wspaniałym mężem, a twój majątek, Adelaide, bardzo się przyda, skoro on nie ma żadnego. Czyli mamy już dwóch z głowy. Jeszcze mój brat i Francis i wszystkie nasze problemy będą rozwiązane.

Gabriel zapomniał już, że siostra Luciena miała dar ujmowania rzeczy w sposób, w jaki nikt inny by ich nie ujął, ale jej słowa przełamały rezerwę. Wzniesiono toast i Gabriel skorzystał z okazji, by po cichu zamienić kilka słów z Adelaide.

- Wątpię, by udało się długo utrzymać nasze zaręczyny w tajemnicy. Jeśli tego żałujesz, lepiej powiedz mi o tym od razu.

- A czy ty żałujesz? - odparła natychmiast.

- Nie - odpowiedział z wielką pewnością.

- W takim razie dlaczego ja miałabym żałować?

- Twój wuj nie będzie zadowolony.

- Nie jestem już młodą dziewczyną, na tyle głupią, by sądzić, że jego zdanie powinno wpływać na moje życie.

- Ale rozumiesz chyba, że opinia innych na mój temat może na nie wpłynąć.

Roześmiała się.

- Mam nadzieję, że jestem wystarczająco silna, milordzie. Zgoda na to, by inni kształtowali nasze życie prywatne, jest nie tylko absurdalna, lecz również bardzo niebezpieczna.

- A jednak nie jest łatwo znosić nieustanny ostrzał opinii. - Uśmiechnął się. - Nawet dla mnie czasem bywa to trudne.

- Masz na myśli, że trudno jest ci się mierzyć z tym, co o tobie mówią? - W jej oczach błysnęła iskierka humoru. - Czyżbyś próbował namówić mnie do zerwania zaręczyn, milordzie?

Wiedział, że powinien skłamać, ale nie potrafił się na to zdobyć.

- Z całą pewnością nie, panno Ashfield.

- To dobrze. - W tych słowach nie było ani cienia wahania.

Pojawił się lokaj z tacą kryształowych kieliszków i butelką szampana.

- Chciałbym wznieść toast - oznajmił Daniel. - Za Adelaide i Gabriela. Oby ich związek był równie szczęśliwy jak nasz, i równie owocny.

Gabriel zauważył na twarzy Daniela błysk humoru. Pomyślał, że będzie musiał wyjaśnić przyjacielowi kilka spraw, tymczasem jednak sięgnął po kieliszek z szampanem. Pierwsza przeszkoda została pokonana. Teraz należało poradzić sobie z kolejnymi.

Od szampana zakręciło się jej w głowie. Wciąż nie mogła uwierzyć w to, co się właśnie zdarzyło. Widma lorda Berricka, George'a Friara i Richarda Williama znikwały w oddali. Gabriel Hughes, czwarty earl Wesley, poprosił ją o rękę.

Włosy miał gładko zaczesane do tyłu i związane, na szyi miękki krawat, a tuż pod kąciem oka niedużą bliznę. Adelaide wiedziała, że wiąże się z niebezpiecznym mężczyzną, ale nie dbała o to. Przy nikim innym nie czuła się tak jak przy nim. Zachwycał ją jego humor, otaczająca go atmosfera niebezpieczeństwa i sposób mówienia. Nawet teraz czuła, że całe jej ciało pragnie jego dotyku, intymności i bliskości - wszystkiego, co obiecywało małżeństwo i co od dawna budziło w niej panikę. Był tak piękny, że jego widok zapierał jej dech. Czy to możliwe, by droga do szczęścia okazała się tak prosta?

Christine Howard z uśmiechem ucisnęła jej dłoń.

- Uwielbiam śluby, Adelaide, i pochwalę się, że potrafię dobrać odpowiedni strój dla każdej panny młodej. Amethyst pozwoliła mi to zrobić i jeśli zechcesz, z największą radością zrobię to również dla ciebie.

- Ale ja nie jestem tak piękna jak lady Wylde - powiedziała Adelaide powoli.

- Bo nie starasz się podkreślać własnej urody. Kolory, które nosisz, nie pasują do twojej cery, a fryzura jest staroświecka i przytłaczająca. Ale wierz mi, Adelaide, że pod tym wszystkim kryje się piękno i choć ty sama go nie dostrzegasz, widzą je inni.

- Dziękuję.

- Widzisz, właśnie w tym rzecz. Większość kobiet zaprzecza komplementom. Twoja bezpośredniość jest bardzo pociągająca. Gabriel szybko to zrozumiał.

Adelaide mimo woli musiała się roześmiać.

- Nie chcę wielkiego ani bardzo oficjalnego ślubu.

- Na ślubie Amethyst były cztery osoby, a wyglądała niezrównanie. Może na początek pokażę ci jej suknię. Ten styl na tobie również wyglądałby doskonale.

Lady Montcliffe podeszła do nich z uśmiechem, dopijając lemoniadę.

- Nie mogę się doczekać, kiedy znów będę mogła wznieść prawdziwy toast. - Oparła dłonie na wydatnym brzuchu. - Widzę po wyrazie twojej twarzy, Adelaide, że Christine chce uczynić z ciebie najpiękniejszą pannę młodą na całym świecie. Z własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że powinnaś natychmiast zgodzić się na jej propozycję. Ja sama wiem, że już nigdy nie będę wyglądać tak pięknie jak w dniu własnego ślubu.

- W takim razie zgadzam się, lady Christine.

- Po prostu Christine - odrzekła tamta i wszystkie trzy kobiety zaczęły rozprawiać o kolorach sukien i najlepszym sposobie upięcia włosów.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ślub był nieduży i niezwykły.

Wuj w pierwszej chwili był wściekły z powodu wyboru pana młodego, ale w ciągu kilku dni, które pozostały do uroczystości, zawarli swego rodzaju rozejm. Imelda Harcourt po prostu umyła ręce od całej sytuacji i wyjechała z Londynu do siostry w Bath.

- Będiesz żałować tej decyzji do końca życia, głupia dziewczyno. Lord Berrick ma fortunę, a twój przyszły mąż podobno jest o włos od bankructwa. Miejmy nadzieję, że nie przetrwoni również i twoich pieniędzy.

To były jej ostatnie słowa przed wyjazdem. Ale gdy Adelaide wróciła do swojego pokoju, znalazła na poduszce książkę podpisaną na pierwszej stronie nazwiskiem lady Harcourt. Mocno zużyty tom nosił tytuł „Listy o uszlachetnieniu umysłu adresowane do młodej damy”. Lady Harcourt zaznaczyła rozdział traktujący o tym, jak dobrze wyjść za mąż. W każdym akapicie podkreślano, jak ważny jest majątek, rodowe nazwisko i nieskazitelna reputacja.

Lord Wesley prawie przez cały czas trzymał się na dystans. Owszem, złożył obowiązkową wizytę jej wujowi, ale atmosfera była niezręczna i wyraźnie można było wyczuć, że obydwaj mężczyźni czują do siebie niechęć.

Alec Ashfield od samego początku nie ukrywał, że wolałby, by jego bratanica wybrała Fredericka Lovelace'a, a jego pytania dotyczące finansowego stanu posiadłości Wesleyów były bardzo krępujące.

Majątek Gabriela Hughesa był mocno zagrożony i on sam nie próbował ukrywać tego faktu. Rodowa siedziba spaliła się niemal zupełnie, a w księgach posiadłości ziemskich panował bałagan.

- Nie opiekował się pan odpowiednio ziemiami swoich przodków, lordzie Wesley, tylko uwodził pan kobiety w Londynie. Pańska reputacja pozostawia wiele do życzenia.

Adelaide pomyślała, że earl powie coś w swojej obronie i zdziwiła się, gdy wolał zachować milczenie.

- Ma pan reputację ognistego uwodziciela i hulaki, nie wspominając już o kosztownym stylu ubierania. Pieniądze mojej bratanicy pozostaną poza pańskim zasięgiem, dopóki nie udowodni pan, że jest pan wiernym i godnym zaufania mężem.

Adelaide nie była pewna, czy wuj naprawdę ma możliwość wstrzymania jej spadku, bowiem większość była już przepisana na jej nazwisko. Mimo wszystko w imię zgody rodzinnej słuchała w milczeniu.

- Nie dążę do przejęcia majątku panny Ashfield, sir, a moje finanse, choć z pewnością nie są w tak dobrym stanie, jak finanse pańskiej bratanicy, nie przedstawiają się jeszcze zupełnie tragicznie. Nie byłem też takim utracjuszem, za jakiego mnie pan uważa.

- Moja bratanica nie jest kobietą, która mogłaby się pogodzić z niewiernością.

- Cieszy mnie to.

- Ani z szastaniem pieniędzmi.

Gabriel uśmiechnął się tylko. Adelaide odniosła wrażenie, że powstrzymuje wściekłość, bo nie chce wchodzić w spór z jej wujem.

- Ale ponieważ ma już dwadzieścia trzy lata, a wkrótce skończy dwadzieścia cztery i najwyraźniej dokonała wyboru, uszanuję jej decyzję.

- Dziękuję, lordzie Penbury. - Tym razem głos earla Wesley brzmiał szczerze. Wkrótce potem Gabriel wyszedł. Oddalił się pospiesznie w stronę drzwi, nie dając Adelaide szansy na rozmowę sam na sam.

Christine Howard pojawiała się codziennie przez całe dwa tygodnie. Podczas pierwszej wizyty rozkładała w salonie rozmaite tkaniny. Na drugą przyprowadziła ze sobą krawcową, wprawną we władaniu igłą.

- Michelle Le Blanc uczyła się w Paryżu, Adelaide. Jest jedną z najlepszych krawcowych. Jej mąż, również krawiec, pracuje w firmie przy Regent Street, a ponieważ nie zawsze mają tam co robić, jest bardzo wdzięczna za to dodatkowe zlecenie.

Wkrótce powstały ślubna suknia z jasnoniebieskiej tkaniny haftowanej błękitną i zieloną nicią, z welonem z tego samego cienkiego jedwabiu, i wianek z żółtych pączków róży, który został przypięty do włosów. Adelaide nie mogła uwierzyć, jak bardzo ten strój ją odmienił. Zamiast dziewczyny, której nieodpowiednie kroje i kolory nie dodawały uroku, zobaczyła w lustrze nieznaną kobietę. Ufryzowane włosy spływały po jej plecach i ramionach.

- Wiedziałam, że niebieski kolor będzie pasował do twoich oczu, ale nie spodziewałam się aż tak doskonałego efektu. - W oczach Christine pojawiły się łzy. - Skoro Gabriel Hughes jest najbardziej podziwianym mężczyzną w Londynie, ty powinnaś być godną go partnerką. W tej sukni nikt nie będzie kwestionował jego wyboru panny młodej.

Adelaide wyjęła z sekretarzyka pudełeczko owiązane złotą wstążką.

- To dla ciebie, Christine, za twoje serce i pomoc.

Christine otworzyła pudełeczko i zmarszczyła czoło.

- Nie mogę przyjąć czegoś takiego! To o wiele za drogi prezent.

W pudełeczku znajdowała się broszka w kształcie komety wysadzanej rubinami i ciągnącej za sobą ogon z brylancików.

- Zobaczyłam ją u jubilera na Regent Street i pomyślałam o tobie. Nie mogę jej zwrócić.

- Ależ to musiało kosztować majątek!

- Mój majątek jest bardzo duży i nie odczuję braku tej sumy. Sprzedawca w sklepie powiedział, że ta broszka przyniesie miłość kobiecie, która będzie ją nosić.

Nieoczekiwanie Christine zalała się łzami.

- Miałam kiedyś ukochanego, ale zginął w Hiszpanii. Nie sądzę, bym kiedykolwiek znalazła podobnego mężczyznę.

Adelaide szukała słów, które mogłyby pocieszyć Christine. Przyszedł jej do głowy fragment sonetu Szekspira.

- „Straty me nikną, cały smutek ginie”.

- Czy naprawdę sądzisz, że to możliwe, Adelaide? To znaczy, że smutek może zginąć?

- Tak myślę. - Wyjęła broszkę z drżących palców Christine

i przypięła jej do gorsetu. – I ty też powinnaś tak myśleć. Wszystkie smutki w życiu mają swój kres, a ty z pewnością przeżyłaś ich już dosyć. Czas na nowy kierunek, na nową przyszłość – nową i lepszą.

Idąc przez kościół w stronę Gabriela Hughesa, Adelaide nie miała najmniejszej ochoty uciekać. Strój lorda Wesley był surowy i prosty, bez żadnych koronek i ozdób, z których słychać w towarzystwie. Gabriel wydawał się w nim większy, twardszy i bardziej odległy.

Gdy do niego podeszła, skłonił głowę, ale nie podał jej ręki. Koronki i jedwab jej sukni lśniły w świetle świec. Obfita spódnica opadała w fałdach do podłogi. Jedwab wyglądał jak żywy.

Organy zagrały poważne tony. Po obu stronach ołtarza stały wazony pełne białych róż. Ich zapach uspokajał Adelaide. W tym samym kościele ślub wzięli jej rodzice, a wcześniej dziadkowie. Kaplica była świadkiem historii, dowodem stałości.

Wuj mocno trzymał ją za łokieć. Dopiero gdy spojrzała na niego i skinęła głową, rozluźnił uścisk.

– Kto oddaje tę kobietę temu mężczyźnie?

– Ja. – W jego głosie wciąż brzmiał tłumiony gniew. Przez chwilę obawiała się, że wuj nie odsunie się od ołtarza, ale skinął głową i cofnął się.

Gości nie było wielu. Po jej stronie kaplicy siedział kuzyn Bertie oraz starsza siostra wuja. Po stronie Gabriela Hughesa dwa pierwsze rzędy zajmowali Lucien, Christine, Francis, Amethyst i Daniel Wylde'owie. Była tu również matka Gabriela, siwowłosa i w srebrzystoszarej sukni.

Adelaide pomyślała, że oboje mają nieliczne rodziny. Wyprostowała się godnie. Była wyższa od większości mężczyzn, ale przy przyszłym mężu robiła wrażenie drobnej. Gdy patrzyła przez cienki welon, wszyscy wydawali się oddaleni, jakby na świecie została tylko ona i lord Wesley.

– Czy ty, Gabrielu Stephenie Lyttonie Hughes, bierzesz sobie tę kobietę, Adelaide Elizabeth Ashfield, jako prawnie poślubioną żonę?

Widziała wszystkie jego imiona na akcie małżeństwa, ale to

było co innego usłyszeć je wypowiedziane na głos. Tak mało o nim wiedziała, o jego rodzinie, nadziejach, przekonaniach, przeszłości.

- Tak.

W tym słowie nie było wahania ani niepewności. Odpowiedział szybko, jakby pragnął, by ksiądz jak najszybciej zakończył ceremonię. Nieco ją to pocieszyło.

Pierścionek, który wsunął jej na palec, również był niespodzianką. Zrobiony ze złota, emalii i brylantów, o renesansowym wzorze, doskonale pasował na jej palec. Zastanawiała się, do kogo należał wcześniej. Gabriel jednak nie patrzył jej w oczy, gdy wsuwał pierścionek na palec. Jego dłonie były nagie. Nie miał na palcu ozdobnej obrączki ze złota i srebra, którą często nosił. Adelaide miała wrażenie, że wychodzi za zupełnie obcego człowieka w surowym, ciemnym stroju, rozjaśnionym tylko fragmentami koszuli widocznymi przy szyi i mankietach. Zniknął gdzieś lew salonowy w koszulach o rękawach ozdobionych haftem i w fantazyjnie wiązanych krawatach. Nawet spinki koszuli zrobione były z gładkiego ciemnego onyksu, który nie odbijał światła wpadającego do kościoła przez witraże. Długie włosy Gabriela, pociemniałe od pomady, związane były na karku skórzanym rzemieniem.

- Możesz pocałować pannę młodą - oświadczył ksiądz, ale Gabriel Hughes tylko potrząsnął głową i odwrócił się od ołtarza. Adelaide poszła za nim, zauważając zmartwione spojrzenie Amethyst Wylde. Czyżby ich związek miał się okazać farsą? Miała wrażenie, że Eloise i Jean stoją za nią, z przygnębieniem potrząsając głowami, i powtarzają: „Mówiliśmy ci, ale nie chciałaś nas słuchać”. Wydawało jej się, że z kąta kościoła dobiega ją złe spojrzenie przycupniętego w mroku Kennetha Davisa. Zastanawiała się, co powie George Friar, gdy usłyszy o jej nagłym ślubie, i czy może z tego wyniknąć jakiś problem. W końcu obiecała mu, że odpowie na jego propozycję.

- Czy dobrze się czujesz? - zapytał jej mąż.

- Zupełnie dobrze, dziękuję. - Jego oficjalny ton również był niepokojący. Byli małżeństwem, ale prawie się nie znali. Szybki ślub, długa pokuta - nie potrafiła się pozbyć z myśli tego starego

porzekadła.

Głos Gabriela przebił się przez jej letarg.

- Moja matka chciałaby cię poznać. Wróciła właśnie od swojej siostry z Bath. Ale muszę cię ostrzec, że trudno z nią nawiązać kontakt.

Matka Gabriela była drobną kobietą. Od opuszczonych kąci-ków ust ciągnęły się głębokie zmarszczki.

- Mamo, chciałbym ci przedstawić lady Wesley. Adelaide, to jest moja matka, hrabina wdowa Wesley.

Dłonie starszej kobiety były zimne i lekko drżały, uścisnęła jednak palce synowej i pochyliła się w jej stronę.

- Byłam niezmiernie zdziwiona tym ślubem, ale Gabriel potrzebuje bratniej duszy i mam nadzieję, że ty się nią staniesz. Jeśli tak, to będę mogła umrzeć spokojnie. Moja córka ma trudny charakter i nigdy nie wiem, czego mogę po niej oczekiwać.

Earl przerwał matce.

- Może pojedziemy teraz wszyscy do domu, mamo. Wiem, że pani Peacock przeszła samą siebie w przygotowywaniu weselnego śniadania.

Śniadanie składało się z sześciu dań podanych na wielkich półmiskach ozdobionych ślubnymi motywami. Gabriel wygłosił krótką przemowę.

- Dziękuję wszystkim za przybycie i za to, że zechcieliście cieszyć się razem z nami. Specjalne podziękowania kieruję do lorda Penbury, który zgodził się oddać mi rękę swojej bratanicy.

Zatrzymał wzrok na Adelaide.

- Tobie również dziękuję, lady Wesley, za to, że zgodziłaś się za mnie wyjść. Mam nadzieję, że nasz związek będzie długi i szczęśliwy.

Uniósł kieliszek i wzniósł toast.

- Za lady Adelaide Wesley!

Wypiła wino i lokaj natychmiast powtórnie napełnił jej kieliszek. Nie wyszła za Gabriela Hughesa po to, żeby uciec przed innymi adoratorami, ale w tej chwili takie właśnie miała wrażenie. Była pewna, że on żałuje tego małżeństwa. Nie patrzył na nią przez cały poranek oprócz tej jednej chwili, gdy nakładał obręcz-

kę na jej palec. Adelaide wiedziała, że jej suknia jest piękna. Gorset opinał ją ciasno, pod spodem miała atlasową halkę i cieniutkie pończochy. Christine Howard uczesała ją w stylu greckiej bogini, w upięty z tyłu kok z włosów zwiniętych w pierścienie. Wianek z pączków róży przytrzymał welon. Czuła się piękna, ale Gabriel Hughes nawet nie próbował jej dotknąć. Przez cały dzień odsuwał się od niej na dystans i prawie się do niej nie odzywał.

Nawet jego matka patrzyła na nią ze współczuciem, a Amethyst Wyldę powiedziała poważnie, ujmując jej dłoń na pożegnanie:

- Mam nadzieję, że twój związek będzie w każdym calu tak szczęśliwy jak mój, ale gdybyś potrzebowała kiedyś przyjaciółki chętnej, by cię wysłuchać, albo spokojnego miejsca do rozmowy, to wystarczy, że przyślesz słowo.

W końcu wszyscy wyszli i słyhać było tylko służbę uprzątającą naczynia. Nowo poślubiony mąż pociągnął ją do niewielkiego saloniku i zamknął za nimi drzwi.

- Adelaide, muszę z tobą porozmawiać w cztery oczy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Przez dłuższą chwilę stał w milczeniu, przesuając ręką po karku, jakby chciał rozmasować skurcz. Gdy cisza przedłużała się, Adelaide w końcu powiedziała:

- Wszystkie kwiaty w twoim domu są piękne.

Na stoliku przy ścianie stał jeszcze jeden bukiet cieplarnianych róż. Gabriel spojrział na kwiaty, a potem znów na nią, najwyraźniej myśląc o czymś innym. Adelaide pomyślała, że jego oczy są niezwykle - złociste z zielonkawymi obwódkami. Musiał mieć kiedyś złamany nos, bo na mostku widać było garbek, który nadawał mu nieco niebezpieczny wygląd.

- Dziękuję, że za mnie wyszłaś - powiedział w końcu cicho.

- Sądziłeś, że tego nie zrobię?

- Wiem, że słyszałaś wiele plotek o mojej przeszłości, więc...

- Plotek o tym, że jesteś doskonałym kochankiem?

Nieoczekiwanie roześmiał się i atmosfera stała się mniej sztywne.

- Cóż, nie miałem na myśli akurat tych. Są też inne.

- George Friar powiedział mi, że po śmierci twojej znajomej było dochodzenie.

- Rozumiem. I powiedział też, że to była moja wina?

- On chyba cię nie lubi, więc... Tak, tak powiedział. Słyszałam o tobie również inne rzeczy. Zdaje się, że ludzie lubią o tobie plotkować.

- A jednak wyszłaś za mnie, choć słyszałaś o tym wszystkim i miałaś innych konkurentów do ręki.

- Cóż, ta kolejka trochę się skróciła po balu u Whitelych.

Znów się roześmiał, ona jednak była już zmęczona tym owijaniem w bawełnę.

- Obrączka ślubna pasuje doskonale. - Wyprostowała palce i spojrziała na renesansowy pierścionek, który zamigotał w świetle.

- To pamiątka po mojej babci. Dała mi go dawno temu. Powiedziała, że mam go przechować dla żony. Nie byłem wówczas pewny, czy chcę mieć tego rodzaju pamiątkę. W wieku siedemnastu lat jest się tak zapatrzonym w siebie, że nie widzi się w życiu miejsca dla nikogo innego.

Adelaide uśmiechnęła się.

- Gdy zobaczyłam cię po raz pierwszy, Lucy Carrigan powiedziała, że jesteś najprzystojniejszym mężczyzną w całym towarzystwie i że w domu, w którym mieszkasz, na wszystkich ścianach są lustra, żebyś mógł podziwiać własną urodę pod każdym możliwym kątem.

- Wątpię, czy chciałabyś mieć ze mną cokolwiek wspólnego, gdyby tak rzeczywiście było.

- Jednak w jej słowach było trochę prawdy. Twoje ubrania, twoje maniery... W towarzystwie zachowujesz się zupełnie inaczej niż tutaj.

Gabriel odwrócił wzrok i spojrzał w okno.

- Przez długi czas żyłem w cieniu, Adelaide, a teraz chcę czegoś zupełnie innego.

- W cieniu? - Nie była pewna, co chciał przez to powiedzieć. Czy miał na myśli burdele, przybytki hazardu, kluby i alkohol?

Popatrzył jej w oczy.

- Pracuję dla Korony. Zacząłem to robić, gdy miałem osiemnaście lat. Moje życie nie było wyłącznie próżniacze.

Adelaide z wrażenia otworzyła usta. To była ostatnia rzecz, jaką spodziewała się usłyszeć, a jednak miało to mnóstwo sensu. Kamuflaż skrywający prawdę.

- Wolno ci przyznać się do tego, co robisz?

- Wcześniej nie mogłem, ale teraz jesteś moją żoną...

- Czy właśnie dlatego byłeś ranny?

- Co masz na myśli?

- Na lewej dłoni masz blizny. Wyglądają jak ślady po kuli.

Gabriel podniósł rękę, popatrzył na nią i znów odwrócił wzrok.

- Zdobywałem informacje, które mogły okazać się cenne. Trudno trafić na coś, co mogłoby zmienić bieg historii, ale drobne wskazówki i strzępki wiadomości mogą się okazać równie wartościowe, gdy poskleja się je w całość.

Oparł dłoń na szybie okiennej. Jego skóra w świetle wydawała się przejrzysta, blizny na niej odcinały się ciemniejszą barwą.

- Byłeś na kontynencie z Danielem Wylde'em, w wojnie z Napoleonem na Półwyspie Apenińskim?

Potrząsnął głową.

- Niektóre tajemnice o wiele łatwiej było zdobyć w Londynie niż na polu bitwy. Kobieta nieszczęśliwa w małżeństwie, niedokończony list, szuflada, którą udało się otworzyć i znaleźć wymowne dowody zdrady. Przy mojej reputacji miałem łatwy dostęp do takich rzeczy.

- Sztuka łagodnej perswazji? Byłeś w tym dobry?

- Zbyt dobry - szepnął i Adelaide jasno zrozumiała, jak wiele kosztował go ten kamuflaż. Życie w kłamstwie, tajemnice i oszustwa miały swoją cenę i Gabriel Hughes dużo za to zapłacił. Świadczyły o tym ciemne kręgi pod jego oczami.

- Nie chciałam, by mąż był mi niewierny, nawet dla dobra króla i kraju. - Głos jej drżał. Czowała się wstrząśnięta jego szczerością i tym, że wyznał jej swoje grzechy, nie oglądając się za siebie.

- To dobrze, bo nie pracuję już w ten sposób. Po pożarze... - urwał.

- Stałeś się zbyt widoczny? Trudniej było ci się ukryć?

W złocistych oczach pojawił się kolejny błysk, ale tym razem nie potrafiła go przeniknąć.

- Nie byłem święty, Adelaide, i nie zawsze dokonywałem właściwych wyborów, ale czasami zdobyte przeze mnie informacje ratowały życie niewinnym ludziom i z tego przynajmniej mogę się cieszyć.

Nie powiedział jej wszystkiego, ale na razie to musiało wystarczyć.

Lustra i cienie. W wyobrażeniach Lucy Carrigan kryło się metaforyczne ziarno prawdy. Każdego dnia Gabriel widział jakąś wersję siebie odbitą w cudzych oczach. Tak wyglądało jego życie przez lata.

Zanim ktokolwiek zdążył go lepiej poznać, on znów zniknął, przepadał gdzieś w służbie Korony i coraz głębiej pogrążał się

w samotności. Sądził, że nigdy nie uda mu się wydostać z tej spirali, że już nigdy nie zaśnie spokojnie, nie będzie potrafił się uśmiechać, zachwycić cudownością świata ani kobietą, która stała przed nim z wyrazem głębokiego namysłu na twarzy.

- Ożeniłem się z tobą dla własnego zbawienia, Adelaide - szepnął ledwo słyszalnie, wyschniętymi ustami. Usłyszała go jednak i otworzyła szerzej oczy. Były bardziej błękitne niż morze.

- A zatem chcesz mi powiedzieć, że twoja reputacja u kobiet była wynikiem wykonywania zadań, a nie poszukiwania przyjemności?

- W większości to była tylko zasłona dymna. Zwykły pocałunek, kilka odpowiednio dobranych słów - to wystarczało, by je uszczęśliwić.

- To brzmi znacznie łagodniej niż opowieści o twoich podbojach, które damy szeptem opowiadają sobie w salonach, milordzie.

Pokój wypełnił się jego śmiechem, nieco zardzewiałym. Adelaide patrzyła na niego z rozbawieniem. Poczul, że napięcie ostatnich godzin opada i przekształca się w coś zupełnie innego.

Nie był już mężczyzną takim jak kiedyś, tym, o którym mówił cały Londyn, ale to nie wykluczało, że znalazł się na straconej pozycji. Tym bardziej że jego żona była najpiękniejszą kobietą, jaką znał.

Boże! Utknął w przepaści między pragnieniem a możliwościami, ale miał przecież ręce, głowę i całe ciało. Jeśli będzie działał powoli, nie dając się zwieść wątpliwym porywom pożądania, to kto wie, co może się wydarzyć? Słyszał śpiew ptaków na drzewach w parku, czuł cytrynowy zapach skóry Adelaide. Po okresie samotności, rozpacz i poczucia winy życie płynęło dalej, pomimo katastrof i utraconych złudzeń. Następnego dnia mieli wyjechać do Ravenshill. Być może tam pojawi się szansa na coś więcej, choć ruiny rezydencji zdawały się odzwierciedlać ruinę jego samego. Ale mógł to wszystko odbudować, stworzyć sobie lepsze życie, znacznie uczciwsze, u boku żony, którą podziwiał. Tylko od niego zależało, czy znajdzie sposób, by tego dokonać.

- Mam nadzieję, że ci wystarczę. - Boże drogi, dlaczego to powiedział? Chyba dlatego że nie był w stanie jej dotknąć, choć

rozpaczliwie tego pragnął. Gdyby był odważniejszy, po prostu podszedłby do niej i wziął ją w jakikolwiek inny dostępny mu sposób – rękami, ustami i zębami, gdyby ciało nie stanęło na wysokości zadania, choćby tylko po to, żeby rozpedzić wściekłość, która ograniczała go jak niewolnika.

Chciał na nią patrzeć, położyć ją na wielkiej sofie i obejmować w popołudniowym słońcu. Ale na jego czole zaczęły się już gromadzić kropelki potu, a gardło miał coraz mocniej zaciśnięte. Wiedział, że jeśli nie zapanuje nad lękiem, ona wszystkiego się domyśli, zrozumie jego niedostatki i grzechy, zauważy jego poczucie winy i uświadomi sobie, na czym polega pokuta.

- Próbowałem cię wcześniej ostrzec, że mam pewne braki. - Ciężko oddychając, próbował zapanować nad własnym ciałem. - Ale szczerść ma również swoje konsekwencje, Adelaide. Szczerść świętego, szczerść grzesznika. Prawda jednej osoby jest kłamstwem dla innej. Któż potrafi powiedzieć, gdzie zacierają się granice?

Widział zastanowienie w jej oczach, gdy szukała odpowiedzi.

- Moja ciotka Eloise mawiała, że trzech rzeczy nie sposób ukryć: słońca, księżycy i prawdy.

- Budda.

- Co takiego?

- To nauka z czasów imperium Magadha spisana przez Buddę.

- Nie wiedziałam o tym.

Gabriel uśmiechnął się.

- Może prawda jest bardzo prosta. Jesteśmy tutaj, poślubieni sobie.

Adelaide westchnęła. Nie potrafiła zrozumieć jego bezruchu, ale pod maską obojętności dostrzegała podatność na zranienie i czające się niebezpieczeństwo, które zdawało się stanowić nieodłączną część jego osobowości.

Wziął ją za rękę. Palce miał silne i ciepłe. Poczwała, że on również westchnął, gdy tak czekał ze zmarszczonym czołem. Puls przyspieszył, a palce drżały.

A zatem nie był tak obojętny, jak się wydawał. Jak zawsze, gdy jej dotykał, poczuł przyjemny dreszczyk.

- Jesteś ciepła – powiedział cicho, zataczając palcem wskazują-

cym kólecza po wewnętrznej stronie jej kciuka. Po chwili dotyk przesunął się na wnętrze dłoni i do podstawy pozostałych palców. Jego palec poruszał się, przesyłając jej wyraźną wiadomość: weź mnie, jeśli się na to odważysz. Nie jestem doskonały i nikogo ani niczego nie udaję.

Pod tym wszystkim czaiło się wyzwanie. Czy on również czuł to co ona? Tę silną, niemal namacalną więź?

Wstrzymała oddech i poczuła, że krew w jej żyłach zaczyna krążyć szybciej. Każdy kolejny dotyk sięgał głębiej. Jej ciało odpowiadało. Echa rozbiegały się i łączyły.

Napotkała jego spojrzenie i zrozumiała, że on doskonale wie, co robi. Była to lekcja miłości, której udzielał prawdziwy mistrz, lekcja jednocześnie niepokojąca i wielce wymowna.

Pochylił głowę i wzmacnił uścisk. Do palców dołączyły zęby i język. Poczowała wilgoć, w pierwszej chwili gorącą, zaraz potem zimną, jednocześnie gładką i chropowatą, ostre draśnięcie zębów i nieskończoną łagodność. Grał na niej jak na instrumencie. Adelaide przymknęła oczy, skupiając się na odczuciach. Czowała go tuż przy sobie. Zdumiała się, gdy wziął jej kciuk w usta i zaczął go ssać, jednocześnie przyciągając ją do siebie.

Naraz ogarnęła ją dojmująca ulga, nieziemski spokój. Nie była w stanie się poruszyć. Stała wtulona w jego ramiona. Do oczu napłynęły jej łzy i zaczęły spływać na jego śnieżnobiałą koszulę. To było niewiarygodne, zadziwiające. Dlaczego nigdy wcześniej nie słyszała o tym niezwykłym, cudownym darze? Dlaczego nie powiedziały jej o tym inne kobiety, które były już żonami? Powinny wykrzykiwać to na cztery strony świata. Ale zaraz przyplęnęła do niej mroczna myśl.

- To o tym wcześniej mówiłeś? Na tym polegała twoja praca w brytyjskim wywiadzie?

Słowa zostały wypowiedziane. Nie mogła ich już cofnąć ani sformułować pytania inaczej, ale Gabriel odpowiedział natychmiast, bezbarwnym tonem:

- Ciało kobiety jest jak świątynia, Adelaide. Każdy wyznawca powinien składać podziękę najlepiej, jak potrafi.

Najlepiej, jak potrafi. Opowiadano legendy o jego mistrzostwie i wytrzymałości. Mnóstwo razy słyszała o jego talentach w uwo-

dzeniu kobiet w sypialni, a jednak stał przed nią tak, jakby to, co przed chwilą się zdarzyło, było dla niego najzwyczajniejszą codziennością. Nie miał nawet przyspieszonego oddechu i wyraźnie wycofywał się już w głąb siebie.

- Dziękuję. - Nie była w stanie wykrztusić nic więcej.

W następnej chwili zniknął. Szybko powiedział jej dobranoc i odszedł. Przysłał tylko służącego, by pokazał jej drogę do sypialni.

Najpierw myślała, że to gra, potem, że zasłona dymna. Całe ciało bolało go od jej bliskości. Wyszedł do ogrodu za domem i opadł ciężko na kamienną ławkę.

Z trudem, ale udało mu się zachować iluzję dystansu. Wsunął rękę do kieszeni i znalazł cygaro. Dopiero za trzecim razem udało mu się zapalić zapałkę, tak bardzo drżały mu dłonie. Boże! Zaciągnął się głęboko dymem. Tytoń nieco tłumiał lęk - na tyle, że udało się go znieść.

Dotykał jej. Próbował to robić zmysłowo, przekazać obietnicę tego, co kiedyś miał w sobie, zrobić pierwszy krok. Ale prawda zawsze wypływała na wierzch i odbijała się gorzkim, głośnym echem, nawet gdy wyrażało się ją w najlepszej wierze. Teraz Adelaide uważała go za oszusta, za słynnego na cały Londyn kochanka, który używa swojej sztuki wyłącznie jako broni.

Gdy poczuł się nieco pewniej, podniósł się i przez otaczający mrok poszedł w stronę bramy, zatracając się w ciemności, jak zawsze, gdy czuł się samotny, gdy coś go niepokoiło i gdy świat znowu stawał na głowie.

Gdy jej dotknął, poczuł iskrę - równie mocną jak poprzednim razem, choć teraz był na to przygotowany i miał nadzieję, że to się zdarzy. Przymknął oczy, próbując przywołać to odczucie, jej zapach, gładkość skóry i szczerłość.

Jego żona... Adelaide.

Demony wciąż krążyły w pobliżu, przyciągane żalem, poczuciem winy i świadomością wyrządzonego zła. Ale po raz pierwszy od lat czuł, że zmierza we właściwym kierunku, że wraca do życia.

Już od tak dawna błędził. Po bezsennych nocach nadchodziły

długie dni, podczas których czuł się jak we mgle. Ale teraz, w tej chwili, mógłby położyć się i natychmiast zasnąć – jeszcze przed świtem, o właściwej porze, powoli i niespostrzeżenie zaczynając powrót do normalności.

- Proszę – szepnął. - Niech tak się stanie. - Nie wiedział, czy zwraca się do Boga, czy do Adelaide. Przybierający na sile wiatr owiał go chłodem. Walczył o wszystko, co w sobie zatracił i co miał nadzieję znów odnaleźć.

Spała kiepsko, choć pokój, który jej przydzielono, był piękny. Jedna ściana zastawiona była półkami pełnymi książek. Tytuły zdumiały ją.

W pierwszej chwili pomyślała, że to bardzo eklektyczny księgozbiór – dramaty Félixa Lopego de Vegi i Miguela Cervantesa stały tam obok mniej znanych poetów z tego samego kraju. Adelaide zastanawiała się, czy Gabriel Hughes mówi po hiszpańsku, skoro posiadał tak wiele książek w tym języku. Spojrzała na następną półkę i wzięła do ręki ciężki tom pełen map Francji. Na pierwszej stronie wypisane były jego inicjały, a pod spodem data: tysiąc siedemset dziewięćdziesiąt cztery. Szesnaście lat temu. Podczas jednego z pierwszych spotkań jej mąż powiedział, że ma trzydzieści cztery lata, a dzisiaj przyznał, że miał osiemnaście, gdy zaczął pracować w wywiadzie. Czy książka pochodziła z tego okresu? Ośle uszy świadczyły, że była często używana. Czy jeździł do Francji, by poznać ukształtowanie terenu i poznać wroga jak najlepiej?

Na kolejnej półce stały książki o dawnych wojnach, niżej *Opowieści kanterberyjskie*, a obok nich sterta starych średniowiecznych historii. Następną półkę wypełniały francuskie książki, również oznaczone jego inicjałami. Niektóre fragmenty były schludnie podkreślone, jakby od linijki. Adelaide zobaczyła cienkie tomiki poezji obok ozdobnych manuskryptów opisujących florę i faunę Francji i Anglii, a także dwa czy trzy grymuary, średniowieczne księgi traktujące o czarach i magii.

Gabriel Hughes miał zatem bardzo eklektyczne zainteresowania i szeroką wiedzę ogólną. Nic dziwnego, że rozmowa z nim była tak interesująca i dotykała tak wielu tematów.

Wstrząsnęła nią jego szczerość, ale jeszcze bardziej własna reakcja na dotyk jego ust na palcach. Pragnęła poczuć ten dotyk również w innych miejscach. Jej umysł wiedział jedno, a ciało drugie. Wyobrażała sobie kobiety, które w ekstazie wywołanej jego pieścotami wyjawiały mu tajemnice, zdradzały rodzinę i małżonków, wiedzione prostą potrzebą dotyku. Mój Boże, ona sama też byłaby gotowa to zrobić. Powiedziałyby mu wszystko, o co tylko mógłby zapytać, wszystko o swojej przeszłości, nadziejach, nawet o ich małżeństwie. Czowała się zupełnie bezbronna w obliczu takiego przeżycia, a przecież nawet jej nie pocałował ani nie zabrał do łóżka. Jej twarz oblała się rumieńcem pożądania. Podeszła do lustra i zobaczyła obcą kobietę o oczach rozjaśnionych obietnicą i policzkach pokrytych rumieńcem nadziei.

Szczerość. Cóż on takiego powiedział? „Prawda jest bardzo prosta. Jesteśmy tutaj, poślubieni sobie”.

Czy to było aż tak proste, by miała wyzbyć się wszelkich prawd, w które dotychczas wierzyła? Gabriel Hughes od lat zwodził kobiety i nie miała pojęcia, czy robił to wyłącznie dla wyższych celów. Od pierwszej chwili, gdy go zobaczyła, poczuła łączącą ich, zadziwiająco mocną więź. Intensywność tej więzi zdumiała ją, a od tamtej pory to uczucie jeszcze się wzmocniło. Nie była w stanie z tym walczyć.

Właśnie z tego powodu od tamtej chwili nic innego nie wydawało jej się właściwe – konkurenci, dom w Northbridge, powołanie do leczenia i akceptacja staropanieństwa. Znalazła się w rzeczywistości, o jakiej nigdy nawet nie śniła, jaskrawej i gorącej. Ta prawda doprowadziła ją do miejsca, w którym była teraz.

Gniewnym ruchem otarła łzy. Nie czas na płacz, powiedziała sobie. Musiała zrozumieć Gabriela Hughesa i pozwolić, by on ją zrozumiał. Próbował być szczery, a ona rzuciła mu tę szczerość w twarz. Był kochankiem, który potrafił doprowadzić do rozkoszy każdą kobietę. Informacje, jakie przy tym zdobywał, usprawiedliwiały oszustwo. To było zrozumiałe, a nawet godne pochwały. Adelaide wiedziała, że wojny nie zawsze toczy się na polu bitwy, że odkrywanie tajemnic ma swoje mroczne strony i bywa kosztowne.

Nie przyszedł wieczorem do jej sypialni ani rankiem nie przy-

słał służącej z pytaniem, czy Adelaide zechciałaby dołączyć do niego przy śniadaniu. Może on też lizał swoje rany i próbował znaleźć ścieżkę prowadzącą do uzdrowienia.

Gdy wreszcie zeszła na dół, okazało się, że Gabriel już zjadł i wyszedł – kamerdyner twierdził, że po to, by wydać zarządzenia przed podróżą do Ravenshill Manor, Adelaide zauważyła jednak na jego twarzy wyraz konsternacji i dało jej to do myślenia.

Służba wiedziała wszystko. Adelaide przekonała się o tym przed laty, gdy jej ciotka Josephine poroniła kolejne dziecko i Northbridge okryło się smutkiem. To był chłopiec o jasnych, srebrzystych włosach, doskonale uformowany, choć urodził się przedwcześnie. Jego lordowska mość był niepokieszony i szlochał za swoim biurkiem w bibliotece. Adelaide podsłuchiwała rozmowę dwóch pokojówek i zdumiało ją to, jak wiele wiedziały.

Służba w domu Wesleyów na pewno zauważyła, że ona i Gabriel śpią w osobnych sypialniach i że nie zjedli razem pierwszego po ślubie śniadania. Nawet Milly, która związała włosy Adelaide w węzeł, pozostawiając skręcone pasma wokół twarzy, wydawała się spięta.

– Jego lordowska mość wyszedł wcześniej, pani, jeszcze przed wschodem słońca, a słyszałam, że wczoraj położył się bardzo późno. Pokojówka, która rozpała w kominkach, mówiła, że często w ogóle nie wraca do domu.

– Może ma jakieś zobowiązania?

– Zobowiązania, milady? – Pokojówka wysoko uniosła brwi. – Sądziłabym raczej, że to pani jest jego zobowiązaniem. – Odłożyła szcztokę i pochwyciła jej spojrzenie w lustrze. – Najmocniej przepraszam, powinnam trzymać język za zębami. Ale jeśli to panią pocieszy, jego lordowska mość dobrze traktuje konie. Usłyszałam to wczoraj od Toma, stajennego.

Adelaide uśmiechnęła się. W świecie Milly człowiek, który dobrze traktował zwierzęta, nie mógł uczynić niczego złego. Ale ta informacja ucieszyła i ją, bo zaczęła się już niepokoić, co pocnie, jeśli on nie będzie wracał do domu noc po nocy. Ich małżeństwo nie zostało przecież zawarte z miłości. Sądziła, że Gabriel Hughes ożenił się z nią z litości albo może dla wygody, zamierzając

wykorzystać jej majątek do odbudowania Ravenshill Manor.

Ale choć próbowała przekonać siebie, że ich małżeństwo jest tylko wygodnym kontraktem, rozmaite rzeczy sprawiały, że taka myśl wydawała się absurdalna, na przykład to jak całował jej dłoń poprzedniego wieczoru, rozbudzając wszystkie zmysły. Dostrzegła w nim także smutek, którego nie potrafił ukryć, spojrzenie zagubione we wspomnieniu trudnych chwil oraz to, jak często opierał rękę na udzie i pocierał o spodnie, jakby skórę pod spodem miał podrażnioną.

Nie, jeśli miała być szczerą, to wyszła za Gabriela Hughesa, bo pragnęła czegoś więcej – więcej rozmów, więcej śmiechu, który często się pojawiał, gdy spierali się o idee, książki i marzenia. Nigdy wcześniej z nikim nie czuła tak mocnej więzi ani jej potrzeby. Jej ciotki zawsze lekcewały tę część kobiecej duszy, która odnajdywała magię w intymności. Ona sama też tak czyniła przez bardzo długi czas po ataku Kennetha Davisa, ale ostatnio zaczęła patrzeć na te sprawy inaczej. Zrozumiała, co to znaczy pragnąć czyjegoś dotyku i ciepła, czuć, że krew w żyłach zaczyna krążyć szybciej.

W blasku porannego słońca na spatynowanych ścianach w pokoju śniadaniowym widać było miejsca, gdzie kiedyś wisiały obrazy. Spod wystawności wyłaniało się ubóstwo. W dobrym towarzystwie nie było istotne, kim się jest, tylko to, jak jest się postrzeganym, a lord Gabriel Wesley był tego najlepszym przykładem. Krył się w mroku, ale zarazem chodził skąpany w świetle.

Potrzebował ocalenia. Potrzebował wiary i szczerości. Adelaide jako jego żona zamierzała dać mu jedno i drugie.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Gabriel wszedł do jadalni i zauważył, że Adelaide zjadła już śniadanie. Usiadł na końcu stołu i gdy służący podał mu zwykły talerz z jajkami i bekonem, odezwał się:

- Mam nadzieję, że dobrze spałaś, Adelaide.

Rozejrzała się, sprawdzając, czy służba ich nie słyszy, po czym odpowiedziała:

- Słyszałam, że ty nie spałeś dobrze, milordzie.

Widlec Gabriela zastygł w powietrzu.

- Rzadko sypiam długo. - Zastanawiał się, który służący zdradził się z tą informacją.

- Czy próbowałaś spacerów, milordzie? Przekonałam się, że to pomaga. Na wsi każdego ranka chodziłam na długi spacer. To dawało mi czas, żeby pomyśleć.

- Dajesz mi mnóstwo użytecznych rad, lady Wesley. Może rzeczywiście powinienem zacząć chodzić na spacer. - Mógł się odezwać uprzejmiejszym tonem, ale po kilku zaledwie godzinach snu był w kiepskim humorze. Musiał poczynić wszystkie ustalenia przed podróżą do Ravenshill, a matka w nocy znów źle się poczuła. Jej zdrowie słabło już od dłuższego czasu, a Gabriel akurat dzisiaj nie miał cierpliwości do jej melancholii i narzekań.

Musiał wyjechać z żoną do Essex. Potrzebował czasu i przestrzeni, by przywyknąć do myśli, że jest żonaty. Adelaide nie mogła w nieskończoność pozostawać w celibacie. Był jej winien przynajmniej jakieś wyjaśnienie.

Popatrzyła na swój pusty talerz. Ręce miała złożone na kolanach, a na czole zmarszczkę. Jest zirytowana, pomyślał, albo niepewna. Jej bystry, przenikliwy umysł gubił się we mgłę tego dziwnego małżeństwa. Gabriel czuł się temu winny.

Odłożył sztucce, upił łyk herbaty i podniósł się.

- Czy zechciałabyś pójść ze mną do biblioteki, Adelaide? Chciałbym z tobą porozmawiać.

W błękitnych oczach znów błysnęła troska, skinęła jednak głową i zrobiła, o co ją prosił. Zamknął za nimi drzwi i wskazał jej miejsce przy oknie.

- Wolę stać, milordzie.

- Dobrze. Napijesz się czegoś?

- Tak wcześnie rano? Nie, dziękuję.

- A czy masz coś przeciwko temu, że ja się napiję?

Nie odpowiedziała, ale zmarszczka na jej czole powiedziała mu, że owszem, miała coś przeciwko temu. Nalał sobie hojnie brandy na odwagę i wypił jednym haustem. Trunek zapiekł go w przełyk i rzeczywiście dodał mu odwagi. Pomyślał, że musi ograniczyć picie. Ravenshill będzie dobrą okazją.

- Nie sypiam dobrze od czasu pożaru.

To była prawda. Od tej pory niczego nie robił dobrze, ale to nie był odpowiedni moment na takie wyznania.

- Czy próbowałaś masażu?

Czy miała na myśli masaż, z jakiego słynęła Świątynia Afrodyty? - zastanawiał się z oszołomieniem. Taki, który nie polegał tylko na lekkim dotyku skóry?

- Nie.

- Moja ciotka Eloise była w tym ekspertem. Miała nauczyciela ze Wschodu. Ludzie przybywali z daleka, żeby ulżyła im w bólach.

Podciągnęła rękaw sukni i dotknęła palcem miejsca położonego nieco nad nadgarstkiem.

- To jest Nei Guan, miejsce, które uspokaja serce i duszę. Odpowiednia stymulacja poprawia sen i uspokaja myśli.

Wbrew sobie Gabriel zaczął się śmiać i napięcie w jego barkach nieco się rozluźniło.

- Ciotka cię tego nauczyła?

- Tak, sir - odpowiedziała bez żadnej arogancji ani dumy. Gabriel miał wrażenie, że podłoga pod jego stopami przechyla się. Adelaide nie była podobna do żadnej kobiety, jaką poznał dotychczas. Nie chwaliła się ani nie próbowała mu podporządkować, po prostu była sobą. A skoro twierdziła, że zna chiński masaż, który może uspić dorosłego mężczyznę, zapewne tak było.

Dopił brandy i odstawił szklanekę na stolik.

- Teraz nie mam na to czasu, ale może w Ravenshill Manor...

Na widok jej uśmiechu miał ochotę rzucić ostrożność na wiatr i po prostu opowiedzieć jej o wszystkim. Ale gdyby zrobił to już w Londynie, to może nie zgodziłyby się pojechać z nim do Essex, a desperacko chciał ją mieć tylko dla siebie.

- Za dwie godziny wyjeżdżamy do rodowej siedziby Wesleyów. Nadchodzi burza i nie chciałbym, żeby złapała nas w drodze. Dom jest mocno uszkodzony, ale jedno skrzydło zostało nietknięte. Wczoraj wysłałem instrukcje dla służby, by je przygotowała.

- Będziemy tam sami?

- Tak.

Wzięła głęboki oddech i skinęła głową. Nie chcąc wdawać się w dalszą rozmowę, Gabriel skłonił się oficjalnie i wyszedł.

Mąż nie usiadł z nią w powozie, lecz jechał obok na koniu w towarzystwie jednego ze służących. Na tle szarego nieba, w ciężkim płaszczu łopoczącym na wietrze, wyglądał jak postać z książki - ciemny, mroczny i piękny.

Wiedziała już wcześniej, że jest dobrym jeźdźcem, ale dopiero teraz, na kiepskich drogach, mogła w pełni docenić jego umiejętności. Koń i jeździec na tle trawiastych wzgórz zdawali się jednością.

- Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam dżentelmena, który by tak jeździł. - Milly z uśmiechem wychyliła się w stronę okna. - Gdyby spadł z siodła...

Adelaide odwróciła wzrok. Aż do tej chwili podziwiała ten widok i wolałaby, żeby pokojówka nie przypominała jej o niebezpieczeństwie.

- Do Ravenshill Manor nie może być daleko. Lord Wesley powiedział, że to tylko kilka godzin. Sądzę, że już dojeżdżamy.

- Tom powiedział, że droga prowadząca do posiadłości wysadzana jest dębami. Mówił, że wiosną ta zieleń przypomina mu Irlandię i opowieści o skrzatach i że na całym świecie nie ma piękniejszego widoku.

- Mówisz o Tomie, stajennym z Londynu?

Milly zarumieniła się, zajęta szukaniem czegoś w wielkiej torbie.

Adelaide była zdumiona. Pokojówka pracowała u niej już od wielu lat i rzadko widywała ją zażenowaną. Zanim jednak zdążyła o cokolwiek zapytać, usłyszały okrzyk stangreta. Powóz zwolnił i skręcił.

- Chyba jesteśmy na miejscu - powiedziała Adelaide, wyglądając przez okno.

Dęby były wielkie i liczne, pokryte letnim listowiem. U ich stóp rosły błękitne kwiatki. Wzdłuż drogi wiała się rzeczka o brzegach również porośniętych kwiatami. W pięć minut później ujrzały przed sobą zarys domu na tle burzowego nieba.

Dom był ruiną. Pozostałości ścian sterczały ostro, pozbawione dachu. Jediną rzeczą, którą ogień oszczędził, była podmurówka z grubo ciosanego kamienia. A zatem to jest Ravenshill, pomyślała Adelaide. Słyszała w Londynie opowieści o pożarze i o tym, jak wspaniała była to wcześniej siedziba. Teraz pozostała z niej tylko wypalona skorupa, gotowa pochłonąć resztki majątku rodziny Hughesów.

Earl ściągnął wodze czarnego ogiera i jechał teraz spokojnie u boku powozu. Adelaide zastanawiała się, o czym myśli, widząc tę ruinę.

Gdy powóz się zatrzymał, Gabriel stanął w drzwiach z kapeluszem w rękę i włosami związanymi skórzanym rzemykiem.

- Witaj w Ravenshill Manor, Adelaide.

Widok wypalonych ścian był dramatyczny, w powietrzu wciąż unosił się zapach spalenizny, ale Gabriel nie próbował przeproszać ani niczego wyjaśniać. Zastanawiała się, jak udało mu się ujść z życiem. Jak ktokolwiek mógł wyjść żywy z takiej katastrofy?

- Na tyłach jest skrzydło, które ogień oszczędził. Na razie to będzie nasz dom.

Przy podjeździe stał szereg złożony z tuzina służących. Ich twarze owiewał wiatr.

- Jeśli sądzisz, że nie będziesz mogła tu zostać...

- To miejsce jest piękne nawet w ruinie - przerwała mu.

Po raz pierwszy uśmiechnął się do niej. W jego oczach nie było widać widm przeszłości, a ściągnięte policzki nieco się wygładziły.

- Ja też tak uważam.

Przeprowadził ją wzdłuż rzędu służby, przedstawił każdego, a potem obeszedli domostwo dokoła. Wyminęli kuchenne ogrody, o dziwo, wciąż pełne rozmaitych warzyw i ziół, i dotarli do nie-
tkniętej części domu. Wnętrza sprawiały spartańskie wrażenie, ale duży hol był otwarty i przestronny.

- Straciliśmy większość mebli i nie miałem jeszcze czasu kupić nowych.

Ściany odmalowano, a podłogi wypolerowano woskiem do połysku. Weszli do bawialni. Meble były proste i solidne. Pokój wyglądał na męski, pozbawiony jakichkolwiek kobiecych akcentów z wyjątkiem szklanego wazonu pełnego polnych kwiatów, który stał na biurku pod oknem. Na innym stoliku Adelaide zauważyła stertę książek. Niemal z każdej wystawały czerwone zakładki. Obraz uzupełniały mapy i modele statków. O dziwo, na drugim końcu pomieszczenia stał fortepian.

- Grasz? - zapytała, podchodząc do instrumentu. Zamknięta kłapa ozdobiona była inicjałami otoczonymi złoto-błękitnym kręgiem.

- Niezbyt dobrze.

GSLH i CEAH. To były jego inicjały, a te drugie? Może jego siostry? Zastanawiała się, kto mógł w ten sposób ozdobić instrument. Być może rodzic. Linia w kolorze ciemnego indygo kończyła się czerwonym sercem.

- Moja babcia była artystką. To wszystko jej obrazy.

Adelaide spojrzała na ściany. Obrazów było dużo, głównie pejzaże i budynki. W kącie zauważyła portrecik oprawny w złotą ramę. Przedstawiał roześmiane dzieci w słonecznym pejzażu. Gabriel pochwycił jej spojrzenie.

- To Charlotte i ja w dzieciństwie.

Rodzeństwo na portrecie trzymało się za ręce. Pod stopami mieli stokrotki, a za plecami dużego psa.

- To był irlandzki owczarek. Nazywał się Bran. Moja matka lubiła czytać o przygodach wojownika Fionna MacCumhaila. Sądziła też, że on będzie nas chronił.

- Przed czym? - zdziwiła się Adelaide.

W głosie Gabriela brzmiała dziwna nuta.

- Mój ojciec czasami bywał gwałtowny. Bran został wyszkolony tak, żeby warczeć, gdy słyszał podniesiony głos. Wystarczyło krzyknąć, a obnażał zęby. - Nieoczekiwanie uśmiechnął się. - W rodzinnych szafach Wesleyów kryje się wiele trupów. Dziwię się, że nikt jeszcze nie opowiedział ci o naszych co bardziej wstydliwych ekscesach.

- Tym bardziej że skandal jest najpowszechniejszą walutą w dobrym towarzystwie?

Gabriel zaśmiał się.

- Cóż, niektórzy ludzie uważają, że świat kręci się tylko dzięki nieszczęściom innych.

- Dopóki nieszczęście nie spotka ich samych? To pewnie trudniej znieść. Co się stało z twoją siostrą?

- Znalazła pociechę w goryczy, a melancholia naszej matki skłoniła ją do ucieczki z domu. W niezdrowej rodzinie uświadamiasz sobie, że cokolwiek się zdarzy, może być tylko lepsze od tego, co znało się dotychczas. Gdy jest się młodym, daje to pewne poczucie wolności i pozwala również uwierzyć w siebie, gdy nikt inny nie wierzy.

Dotknęła go. Po prostu wysunęła się naprzód i powiodła palcem po jego policzku. Dostrzegła błysk w oczach, ale zaraz cofnął się z wyraźnym napięciem.

Opuściła rękę, zastanawiając się, kto jeszcze go skrzywdził.

- Ja w ciebie wierzę, Gabrielu.

Skinął głową i odetchnął z drżeniem, omijając ją wzrokiem, ale nie próbował się odsuwać. Stali tak w porannym świetle - dwoje ludzi połączonych dziwnym małżeństwem.

Na razie to musiało wystarczyć.

Po południu spotkali się w ogrodach kuchennych. Po szczerych wyznaniach, które padły podczas ostatnich spotkań, teraz oboje traktowali się ostrożniej. Gabriel miał zarumienione policzki i kurtkę przewieszoną przez ramię.

- Widzę, że skorzystałeś z mojej rady.

Roześmiał się.

- Udzielasz wielu dobrych rad, a dzień jest dzisiaj ładny.

- Ja też spacerowałam po posiadłości. Z tej strony wygląda nie-

co lepiej niż od frontu.

Zwrócił się twarzą do budynku i westchnął głęboko, bo nawet ten widok był bolesny.

- Chyba nie wszystko uda się uratować, ale niektóre ściany są jeszcze w dobrym stanie.

- Zamierzasz odbudować rezydencję?

Uśmiechnął się i jego ramiona nieco się rozluźniły.

- To zajmie wiele czasu. Nie jestem pewien...

- Możemy zaprosić twoich przyjaciół i uczcić rozpoczęcie remontu piknikiem.

- Tutaj? - Patrząc na jego twarz zauważyła, że ten pomysł nie przemówił do niego.

- Początki są równie ważne, jak zakończenia, milordzie.

- Gabrielu.

- A pierwszy krok zwykle jest trudniejszy niż ostatni.

- Krok po kroku. Do tego teraz sprowadza się moje życie.

- Nie sądzisz, że nasze małżeństwo było wielkim skokiem?

Znów się zaśmiał.

- Chodźmy, coś ci pokażę, Adelaide.

Poszła za nim ścieżką prowadzącą między drzewami i rabatami kwiatów. W oczyszczonym zagajniku stał nieduży drewniany budynek.

- Kto tu mieszka?

- Ja tu mieszkałem.

- Dlaczego?

- To było moje miejsce odosobnienia.

Weszła do środka. Budynek był większy, niż wydawał się z zewnątrz. W kącie stało łóżko z baldachimem, osłonięte ciężkimi brokatowymi zasłonami, poza tym były tu jeszcze tylko dwa krzesła przed dużym kominkiem.

- Nigdy nikogo tu nie przyprowadzałem, ty jesteś pierwsza. - Zdawało się, że wydarł z siebie te słowa siłą. - Ale z drugiej strony, nigdy wcześniej nie byłem żonaty. - Uśmiechnął się.

- Nawet zaręczony?

Potrząsnął głową.

- Dlaczego zgodziłaś się na ten związek, Adelaide? Szczerze.

Sądziła, że zapyta ją o coś innego.

- Może dlatego że cię polubiłam. Lubiłam z tobą rozmawiać.

Światło padające z za jego pleców podkreślało brązowy kolor włosów i mocną sylwetkę, ale rysy twarzy wydawały się zatarte jak na starym olejnym obrazie.

- Czy zastanawiałaś się kiedyś, lordzie Wesley, gdzie jest twoje miejsce na tym świecie, jaki jest cel życia?

- Kiedyś tak, a teraz... - Zmarszczył czoło, ale widząc, że Adelaide czeka na odpowiedź, dodał: - Teraz już nie jestem tego pewien.

- Mówisz o pożarze?

- Niezupełnie. Dom można odbudować, a jeśli nie, to...

- Nie załamało cię to?

- Mniej, niż sądziłem.

- Ale w każdym razie przynajmniej masz dom. Mój został sprzedany po śmierci rodziców.

- Zamieszkałaś wtedy u wuja w Sherborne?

- Nie od razu. Najpierw zamieszkałam u babki, ale gdy zmarła, zaczęłam się obawiać...

- Życia i zaufania? - dokończył za nią. Doskonale ją zrozumiał. Skinęła głową.

- A ty się tego obawiasz?

- Tak - odrzekł bez namysłu.

Zapadło milczenie. Adelaide miała wrażenie, że Gabriel żałuje swojej szczerości, ale dzięki tej szczerości coś się w niej otworzyło i nie mogła na tym poprzestać.

- Sądzę, że zdrada może mieć podobny skutek. - Ostrożnie dobierała słowa. Gabriel zamilkł i słuchał jej uważnie. - Gdy miałam szesnaście lat, zostałam zaatakowana.

Obrócił się twarzą do niej.

- Jak?

Troska w jego głosie była szczerą. Nie dostrzegła w nim wahania ani niechęci. Gdyby podeszła o krok bliżej, znalazłaby się bezpiecznie w jego ramionach.

- Chłopak, którego znałam, próbował... - Trudno jej było wypowiedzieć te słowa. Już wiele lat temu przestała obwiniać się za to, co zrobił Kenneth Davis, ale... - Próbował mnie zgwałcić.

Zanim się obejrzała, znalazła się w jego ramionach. Gładził ją

po głowie. Czują zapach drewna sandałowego i skóry. Czują również narastającą w nim wściekłość.

- Czy on jeszcze żyje?

- Tak, ale ojciec wysłał go za granicę i nigdy więcej go nie widziałam.

- A twój wuj?

- Nie dowiedział się o tym.

Gabriel wymamrotał pod nosem przekleństwo.

- A kto się dowiedział?

- Moje ciotki. Powiedziały, że powinnam zapomnieć i żyć dalej.

- Powiedz mi, jak on się nazywał, a zabiję go.

Roześmiała się. Kiedyś niczego bardziej nie pragnęła niż okropnej, powolnej śmierci Kennetha Davisa.

- Nienawidziłam go przez jakieś pięć lat, a potem, pewnego dnia, zrozumiałam, że ta nienawiść niszczy mnie jeszcze bardziej niż zadrapania, sińce i strach, jaki on we mnie wzbudził. Toteż po prostu mu wybaczyłam. W miłosierdziu jest siła, która pozwala żyć dalej i która roztopia długotrwały gniew. Przynajmniej ze mną tak było.

Czują bicie jego serca przez cienkie płótno koszuli. Jego tempo powoli zwalniało, oddech również stał się wolniejszy i głębszy. Długie palce wsunęły się w jej włosy i dotknęły karku. Słońce nad odległymi wzgórzami świeciło jasno, niosąc nadzieję na ciepłe dni.

- Ja nigdy bym cię nie skrzywdził, Adelaide. Mam nadzieję, że w to wierzysz.

- Wierzę.

Tym razem gniew stłumił jego podniecenie. Została skrzywdzona, a on mógł dać jej pociechę. Obydwoje zostali kiedyś zdradzeni. Ta więź łączyła ich ze sobą jak opiłki z magnesem.

Jego żona była o wiele lepszym człowiekiem niż on. Po pożarze złość wyssała życie z jego duszy i nie miał ochoty nikomu okazać miłosierdzia, ale teraz po raz pierwszy od pół roku przestał czuć się tak, jakby zrobiony był z kruchego szkła, które może pęknąć pod naporem lada emocji czy dotyku. Nie zastanawiał się również nad własną impotencją. Smutek i wściekłość zbladły

w obliczu zaufania, jakie wzbudziło w nim jej wyznanie.

Zastanawiał się, jak Adelaide zareagowałaby na prawdziwą intymność. On sam zmuszony został do celibatu, ale ona być może też. Przymknął oczy, gdy sobie wyobraził przerażenie, jakie musiała odczuwać szesnastoletnia dziewczyna. Czy ktoś stanął po jej stronie, próbował dopaść napastnika i ukarać go? Czy ktoś zrozumiał jej gniew, wstyd i starał się je ukoić? Nie, została z tym wszystkim sama. Miała przy sobie tylko stare niemądre ciotki i wuja, który chyba prawie jej nie znał. Pomyślał, że gdyby miał kiedyś córkę, chciałby, żeby wiedziała, do kogo może się zwrócić.

Naraz uświadomił sobie, o czym myśli, i zeszywniał. Córkę. Dobry Boże! Aż do tej pory nigdy nie chciał mieć żony, a teraz oto zaczął wyobrażać sobie całą rodzinę. Impotent nie może być przecież ojcem.

Rozprostował palce, cofnął się i zmusił do uśmiechu w nadziei, że Adelaide nie dostrzegła żalu na jego twarzy.

Znów wydawał się wściekły. Puścił ją, a jej twarz zapłonęła na myśl o tym wszystkim, co mu opowiedziała.

Nie zamierzała nikomu o tym wspominać, nigdy w życiu, ale w chatce obok ruin domu Gabriel Hughes wydawał się tak silny i bezpieczny, że słowa same wypłynęły jej z ust i przerwała trwałą od lat milczenie. Teraz zwinęła dłonie w pięści, szukając sposobu, by znów wrócić do niezobowiązujących tematów. Ale to wszystko było takie trudne.

Gabriel naprawdę jej się podobał. Podobało jej się w nim wszystko – oczy, ciało, głos, dłonie, milczenie, niebezpieczna aura, dystans. Wiedziała też, że on wciąż ukrywa przed nią różne rzeczy.

A to był ich miesiąc miodowy. Na razie krążyli wokół siebie – dwie zranione dusze próbujące zrozumieć coś, co nigdy w ogóle nie powinno się zdarzyć, dwie wybrakowane części, które należy złożyć w jedną doskonałą całość.

Adelaide uśmiechnęła się. Nie była doskonała, Gabriel Hughes też nie, ale razem mogli stworzyć coś doskonałego. Musiała w to wierzyć.

Gdy się odwrócił i wyszedł na słońce, poszła za nim. Minęli

zrujnowane ściany i poczerniałe belki dworu i wspięli się na ster-
tę kamieni, za którymi leżało pastwisko porośnięte koniczyną
i stokrotkami.

- Od tego zacznę odbudowę. Od tego skrzydła z widokiem na
dolinę. Tym razem dom będzie mniejszy, ale zbudowany na skale.

- Tak jak w tej przypowieści z Ewangelii według świętego Ma-
teusza?

Uśmiechnął się, dostrzegając prawdę w jej słowach.

- Pytanie zapewne brzmi: czy jestem głupcem, czy mądrym
człowiekiem?

W odpowiedzi Adelaide tupnęła w kamień. Usłyszeli echo ude-
rzenia.

- To piękny widok. Podobne widoki były w Swansdowne, gdzie
się wychowałam. Pamiętam rzekę i drzewa. - Zatoczyła łuk ręką,
wskazując na rząd dębów wzdłuż podjazdu. - W porównaniu
z tym krajobrazem Londyn nie ma żadnego uroku.

- Amethyst Wylde mówi to samo, dlatego rzadko przyjeżdża do
miasta.

- Jak poznałeś Wylde'ów?

Gabriel pochylił się, zerwał źdźbło trawy i mówiąc, wyłuskiwał
drobne nasionka z kłosa.

- Chodziłem z Danielem do szkoły, ale dopiero później pozna-
łem go lepiej. Obydwaj lubiliśmy wyścigi konne i często próbowa-
liśmy się mierzyć. Wie wszystko o koniach.

- A ty?

- Kiedyś wiedziałem, ale już od dawna mało jeżdżę.

- Naucz mnie dobrze jeździć. Chciałabym móc zobaczyć
wszystkie ziemie Ravenshill z siodła, nie ryzykując, że z niego
spadnę.

Wybuchnął śmiechem, ale odwrócił się, gdy usłyszał za plecami
okrzyk. W jego stronę zmierzał jakiś mężczyzna.

- Wesley! Tak myślałem, że to pan. - Uśmiechnął się szeroko,
gdy Gabriel wyciągnął do niego rękę.

- Alexander Watkins! Pozwól, że przedstawię cię mojej nowo
poślubionej żonie, lady Adelaide Wesley. Alex to mój sąsiad i sta-
ry przyjaciel.

Przybysz uśmiechnął się.

- Niezmiernie miło mi panią poznać, milady. Mój majątek przylega do ziem Gabriela od wschodu. Moja żona będzie pani ogromnie ciekawa. Gdyby zechciała nas pani odwiedzić, będzie nam bardzo przyjemnie. - Obrzucił wzrokiem ruiny dworu. - Odbudujesz to, Gabe?

- Na początek zbuduję tu jeszcze jeden dom.

- Dobry wybór. Gdy już zaczniesz, chętnie ci pomogę. Mam też trochę zwierząt, na które może zechciałbyś spojrzeć. Nowy program hodowli okazał się bardzo owocny i...

Adelaide zwróciła twarz do słońca, słuchając rozmowy o uprawie ziemi, zyskach i nowych gatunkach zwierząt hodowlanych. Myślała jednocześnie o nowym domu. Można by zrobić okna wychodzące na tę dolinę, a także szerokie drzwi prowadzące na trawniki i ogrody. Nigdy dotychczas nie przyszło jej do głowy, że planowanie i budowa mogą być tak podniecające.

Wyrwała się z zamyślenia, gdy Alexander Watkins pożegnał się z nimi, prosząc, by wkrótce przyszli do nich z wizytą.

- Dziękuję, bardzo chętnie - odrzekła Adelaide z uśmiechem, a gdy odszedł, dodała do męża: - Mogłabym mu pomóc z tą egzemą.

- Mówisz o tej czerwonej swędzącej skórze na policzkach?

- Zrobię mu maść i zobaczymy, czy pomoże. Miałam kiedyś pacjentkę w Northbridge, która uskarżała się na to samo, ale w jeszcze gorszej postaci. Ciekawa jestem, czy u niego skóra oczyści się równie szybko jak u niej.

Gabriel stał przed nią z twarzą oświetloną słońcem. Znów przypomniała sobie, co opowiadano o nim w towarzystwie. Był kochankiem o określonej reputacji i pozostawiał za sobą ścieżkę złamanych serc.

Teraz jednak był żonaty - z nią. W słońcu błysnął pierścienek na trzecim palcu jego lewej ręki. Adelaide zobaczyła go na wystawie Phillipsa, jubilera przy Bond Street, weszła do środka i kupiła go. Był to diament oprawny w złoto.

Gabriel dostrzegł chyba niepokój na jej twarzy, bo wziął ją za rękę. Jego skóra była ciepła od słońca.

To był początek, nowy kierunek w życiu.

Chciała, by ją pocałował powoli i namiętnie, ale nie zrobił tego,

tylko wsunął jej dłoń pod ramię i poprowadził ją do tylnego skrzydła domu.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Godzinę po kolacji zastukał do drzwi pokoju Adelaide. Otworzyła, gotowa już do snu. Rozpuszczone włosy sięgały jej do pasa.

- Pomyślałem, że powinniśmy porozmawiać. - Uśmiechnął się i w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki.

- Tutaj? - zapytała niepewnie.

- To odosobnione miejsce. - Jego wzrok powędrował w stronę otwartej książki na stoliku. Adelaide szybko podeszła i zamknęła ją, zdążył jednak zauważyć drobne rzędkie równego pisma. A zatem był to dziennik. Czy przelewała w słowa niepokój, który wyraźnie widział na jej twarzy? Kiedyś on również spisywał swoje myśli i sny. Zdawało mu się, że od tamtej pory minęła cała wieczność.

- To wiersze. Jestem pewna, że są okropne, i nigdy nikomu ich nie pokazywałam, ale i tak je piszę. Czasami dwa lub trzy dni, a potem żadnego przez wiele miesięcy.

- Ale dzisiaj naszło cię natchnienie?

- Tak. Pewnie spalę je wszystkie jeszcze przed końcem tygodnia, ale na razie to mi pomaga.

- Pomaga ci zrozumieć to, co jest między nami?

Jej uśmiech przygasł.

- Albo to, czego nie ma, milordzie.

Była odważniejsza i bardziej bezpośrednia niż wszystkie kobiety, jakie znał dotychczas. Dostrzegał również jej lęk i troskę. Powinien opowiedzieć jej o sobie, ale na samą myśl o tym gardło mu się ścisnęło.

- Sądziłam, że... - Urwała i zaczęła jeszcze raz: - Wyobrażałam to sobie inaczej. Mam na myśli intymność w małżeństwie.

- A co sobie wyobrażałaś?

Kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu.

- To. - Zarzuciła mu ramiona na szyję. - I to. - Przyłożyła usta do jego ust.

Nie miała żadnego doświadczenia, toteż nie wiedziała, co właściwie powinno się zdarzyć w następnej chwili, ale czytała wiele romansów i potrafiła mniej więcej odgadnąć, co się dzieje. Gabriel jednak ją zaskoczył. Przyciągnął ją bliżej, wsunął palce w jej włosy i pogłębił pocałunek. Ich oddechy mieszały się, jednak Adelaide oprócz pożądania wyczuwała w nim złość i odsunęła się nieco.

- Adelaide - szepnął i znów zaczął ją całować. Miała wrażenie, że zapada się w otchłań, pogrąża we mgle obietnicy i nadziei. Granice ciał przestały istnieć. W cudowny sposób stapiali się ze sobą i Adelaide nie miała pojęcia, gdzie jedno z nich się kończy, a drugie zaczyna. Nic innego nie miało znaczenia, tylko to połączenie i czyste pożądanie. Nie stawiała żadnego oporu. Był silny, piękny, zagadkowy i niebezpieczny. Również smutek i złość były jego częścią.

To wszystko przekazał jej jednym pocałunkiem. A gdy już wydawało się jej, że zaczyna rozumieć, przytrzymał ją i odsunął się. Usłyszała własny drżący oddech.

- Przepraszam - szepnął. Adelaide przymknęła oczy z niedowierzaniem. Za co ją przeproszał? Czy za to, że nie potrafił wypowiedzieć słów, które chciałaby usłyszeć - słów miłości? A może za to, że wyczuła przebiegający przez niego dreszcz niepokoju?

Paznokcie Adelaide wbiły się w jego ramię. Wiedział, że ona pragnie czegoś więcej. Serce biło mu mocno, jak zawsze, gdy jej dotykał, ale członek nawet nie drgnął; spoczywał spokojnie na swoim miejscu, jakby to wszystko, co Gabriel czuł, gdy całował Adelaide, było mu zupełnie obojętne.

Wrzał w nim coraz silniejszy gniew i wstyd. Chciał stąd uciec, uciec od swojej porażki, wsiąść na konia i jechać poprzez wiatr i deszcz, aż emocje ucichną i znów będzie potrafił nad sobą zapanować. Ale nie odważył się jej zostawić. Była zbyt przenikliwa i z pewnością poskładałaby wszystkie kawałki układanki, a on nie chciał od niej współczucia ani słów pociechy, bezsilnych wobec czegoś, czego nie można było zmienić.

Jego umysł jej pragnął, niewątpliwie, ale ciało było jak odłączone. Czy tak już miało być zawsze?

Tego wieczoru widział rumieniec podniecenia na jej policzkach i ciekawość w oczach. Była zmysłowa i kusząca. Pół roku wcześniej natychmiast znalazłby się na niej i kochałby się przez całą noc ku obopólnej przyjemności, ale teraz od pasa w dół był martwy, zwiędły, odrętwiały. Gabriel Hughes, impotent. Ludzie na pewno śmialiby się z niego, gdyby o tym wiedzieli.

Odsunął ją od siebie i ucieszył się, gdy odwróciła wzrok. Nie był w stanie odpowiadać teraz na pytania ani udawać dobrego humoru. Nie był w stanie nawet się odezwać.

- Zobaczymy się jutro, kochana. - Skłonił się lekko i wyszedł.

Kochana? Czy naprawdę tak powiedział? Adelaide westchnęła głęboko. Jeśli tak myślał, to dlaczego z nią nie został i nie położył się obok niej? Czy nie widział, że ona tego chce? Czy powinna go o to po prostu poprosić?

„Zostań ze mną, obejmij mnie. Pokaż mi, co to znaczy kochać kobietę”.

Jedynym jej doświadczeniem erotycznym był brutalny atak Kennetha Davisa przed laty. Przejęta strachem, pośród ciemności, nie widziała wtedy, co właściwie działo się z jego ciałem. Gabriel był łagodny, ruchy miał powolne, jego dłonie przepalały jej skórę. Dotykał jej tak, jakby była kimś bardzo cennym, pięknym i pożądanym. Wciąż czuła na sobie jego usta, oddech zlewający się w jedno z jej oddechem, i pragnęła czegoś więcej.

Ciotki, gdyby jeszcze żyły, mogłyby jej wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi. Były bardzo odcytane i miały rozległą wiedzę. Nie miała jednak kogo zapytać. Nie miała siostr, kuzynek ani przyjaciół, którym mogłaby się zwierzyć. Była zupełnie sama. Zawsze tak było, nawet w Northbridge, gdy pozostawała pod opieką wuja. Po ataku Kennetha Davisa jej lęk przed wypuszczaniem się zbyt daleko od domu z latami rósł, zamiast się zmniejszać. Dziewczęta z wioski traktowały ją z szacunkiem, pacjenci też, ale aż do tej pory nigdy nie miała prawdziwego przyjaciela. Dopiero Gabrielowi wyznała swoje najgłębsze tajemnice. Każda rozmowa z nim sprawiała jej wielką przyjemność. Wyszła za niego z myślą, że to małżeństwo będzie na zawsze.

Zanim zdążyła się zastanowić nad tym, co robi, zarzuciła na ra-

miona ciepły szal i ze świecą w ręku wyszła z pokoju.

Gabriel był już tym wszystkim zmęczony.

Chciał cieszyć się żoną całym ciałem i całą duszą, a tymczasem był napięty jak sprężyna. Bardzo chciałby się przekonać, na co Adelaide skłonna byłaby mu pozwolić i czy jej nagie ciało przy jego ciele skłoniłoby go do upragnionej reakcji.

- Pomóż mi, Boże - szepnął w mrok sypialni, podchodząc do okna. Było ciepło. Zdjął krawat i rozpiął koszulę. Naraz dostrzegł jej odbicie w szybie. Stała za nim z migoczącą świecą w ręku. Przytrzymał ręką poły koszuli, zasłaniając nagą pierś, i odwrócił się do niej.

- Adelaide.

- Gabrielu. - Rzadko wymawiała jego imię. Lubił słyszeć, jak to robi. - Chcę zostać twoją żoną w całym tego słowa znaczeniu. Chcę, żebyś wziął mnie do łóżka i pokazał mi, co to znaczy być czyjąś żoną.

Nie było w tych słowach żadnego drugiego dna, żadnych niewyjaśnionych intencji. W swoim stylu wyłożyła kawę na ławę. Niebezpieczeństwo stawało się coraz większe, ale Adelaide stała teraz obok niego, sięgając do jego koszuli.

Czekał. Poczł znajomą iskrę, ale nic więcej. Mimo wszystko jej zapach i miękkość włosów oszałamiały go. Gdy podniosła wzrok, natychmiast wziął ją w ramiona.

Mógł ją zadowolić, do tego jeszcze był zdolny. Poczł przypyływ podniecenia. Jego ciało nie było zupełnie bezużyteczne. Było dobrze wyćwiczone i potrafiło wzbudzać odpowiednie reakcje u kobiety. To była jego druga natura. Uchodził za mistrza w sztuce kochania. Nawet jeśli w ostatecznym rozrachunku to nie wystarczy, wiedział, że musi przynajmniej spróbować.

- Czy jesteś pewna?

Uśmiechnęła się i ten uśmiech przepełnił czarę. Gabriel dostrzegł jej uszczęśliwiony wzrok. Nigdy jeszcze nie miał w łóżku kobiety, do której naprawdę coś czuł. Ta myśl zdumiała go, gdy brał Adelaide w ramiona.

Tym razem zachowywał się bardzo ostrożnie. Posadził ją na łóżku i zdjął jej buty, a potem ostrożnie rozwiązał sznurówki gor-

setu, odsłaniając cienką koszulę. Seks zawsze był dla niego sposobem komunikacji, ale teraz pojawiła się w jego ruchach świadomość uczucia, którym mógł ją obdarzyć. Zachowywał się inaczej niż zwykle, znacznie delikatniej.

Wsunął dłoń pod gorset i odnalazł pierś. Ciało Adelaide napięło się i wygięło, a potem znieruchomiało. Po chwili gorset zsunął się z jej ramion i zatrzymał na szerokich spódnicach wokół talii. Świeca na kominku rzucała migotliwe cienie na jej nagi biust.

Była piękna i należała do niego. Pochylił głowę i językiem wyznaczył ścieżkę od jej szyi przez obojczyk aż do czubka pełnej piersi. Przymknął oczy i upajał się jej słodkim smakiem.

Wcześniej zawsze zachowywał ostrożność, bo tuż obok znajdował się jakiś przedpokój czy boczny pokój. Każdy dom miał swoje niebezpieczeństwa i sekrety. Ale teraz nie myślał o niczym oprócz Adelaide, o jej wdzięku, poczuciu humoru, odwadze i o cichych dźwiękach, które wydawała, by mu przekazać, że to, co robi, jest piękne i że jest mu za to wdzięczna.

Przepłynęła przez niego fala smutku. Z goryczą pomyślał o wszystkim, za czym tęsknił, a co zniszczył w jednej chwili. A potem nadeszła kolejna myśl, od której zakreśliło mu się w głowie.

Kochał ją. Kochał swoją żonę. Kochał Adelaide bezrozumnie od pierwszego spotkania. Należała do niego na zawsze, wraz ze swoim dowcipem i mądrością, z uśmiechem, dobrocią i prawdą.

Nie pamiętał, by kiedykolwiek wcześniej czuł, że nie panuje nad sytuacją. Zawsze to on odgadywał potrzeby kobiet i dawał im dokładnie to, czego oczekiwały. Zdawało się jednak, że teraz zasady się zmieniły. Gabriel bez reszty zaangażował się w to, co robił. Czuł jej skórę tuż przy swojej, dotyk jej ciała, ciepły oddech w rozcięciu swojej koszuli. Jej włosy, długie niemal do pasa i ciemne, laskotały go w ramiona. Pachniała cytryną i świeżością. Uśmiechnął się do tego zapachu, potrząsnął głową i przycisnął usta do pulsującej żyłki na jej szyi. Kiedyś zabijał ludzi, uciskając mocno to właśnie miejsce, i nie oglądał się za siebie. To była po prostu praca, wypełnienie kolejnego zadania. Nie opowiadał o tym wszystkim Adelaide, ale czasami w sercu pożądania krył się cień śmierci, śmierci mężów, którzy zdradzili swój naród, braci, których spojrzenia zapowiadały zdradę. Jego spojrzenie padło

na bliznę na dłoni. Wiedział, że nigdy nie będzie doskonały, ale nie mógł wypuścić Adelaide.

Podniósł się, ujął ją pod brodę i z westchnieniem poddania przyłożył usta do jej ust.

Adelaide poczuła, że ten pocałunek był inny, głębszy i bardziej intensywny. Był, jak słowa, których Gabriel jeszcze nie potrafił wypowiedzieć.

Jakże go pragnęła. Chciała zobaczyć go nagiego. Chciała, by leżał razem z nią na łóżku oświetlonym promieniami księżyca i by jej pokazał, czego właściwie potrzebuje.

- Gabrielu?

Gdy podniósł wzrok, w jego spojrzeniu nie było zwykłej ostrożności. Oczy przypominały dwa złociste jeziora, rudobrazowe kędzioły opadały mu na twarz. W Londynie uznała, że przypomina upadłego anioła, dzisiaj jednak dostrzegła jego wrażliwość i smutek czający się pod iskierką nadziei.

- Pragnę cię - powiedziała. A potem, gdy jego dłonie znalazły skraj jej sukni i posunęły się wyżej, zupełnie przestała myśleć.

Obudziła się sama. Była w swojej sypialni, w swoim łóżku. Na poduszce leżała gałązka lawendy. Była naga, uświadomiła to sobie natychmiast i jej palce powędrowały do ukrytego w ciele miejsca, w którym wcześniej znajdowały się palce jej męża i które teraz było ciepłe i wilgotne jak nigdy dotąd.

Nic dziwnego, że kobiety powtarzały sobie szeptem nazwisko Gabriela Hughesa, a w ich głosach brzmiało uznanie, fascynacja i czyste pożądanie.

Przypomniała sobie, jak powtarzała sobie jego imię, gdy zabierał ją do gwiazd za sprawą swoich zręcznych palców i kojących ust. A potem oparł jedną dłoń na jej brzuchu, a drugą na plecach.

- Czujesz? - Gdy przycisnął dłonie mocniej, echa stały się silniejsze. - Dotykem można przedłużyć to uczucie. Zrób to dla mnie, Adelaide.

Zrobiła to. Przycisnęła się do jego dłoni, wygięła w łuk i znów poczuła ekstazę, tym razem dłuższą i głębszą, wrażenie gorąca i unoszenia się w powietrzu aż do chwili, gdy całe jej ciało stało

się wibracją i czuciem.

Dobry Boże, nie poznawała siebie samej! Mógł z nią zrobić wszystko, a ona zgodziłaby się na to chętnie – ona, wzór starej panny, rozsądnej i dobrze wychowanej.

Ukryła twarz w poduszce i z jej ust wyrwał się cichy śmiech. Gabriel Hughes, czwarty earl Wesley, należał do niej na zawsze. Już do końca życia miała się cieszyć nocami pełnymi napiętością. Jednak w głębi duszy wciąż czuła niepokój. A co z jego przyjemnością? Prawie go nie dotykała, a on wcale tego nie chciał. Gdy powiodła dłonią po wnętrzu jego uda, on natychmiast pochwycił jej palce i przesunął je na jej pierś, po czym przywarł do tego miejsca ustami. Poczowała jednocześnie gorąco i zimno. Zadrżała i zrozumiała, że spełnienie można znaleźć pośród przeciwieństw. Był delikatny, a potem brutalny. Tam, gdzie wędrowały jego palce, po chwili pojawiały się zęby. Skraj bólu stawał się skrajem rozkoszy.

Znieruchomiała, skupiając się na pulsowaniu we własnym wnętrzu. Pragnęła go znowu i znowu, tu i teraz, w świetle słońca. Rozsunęła nogi i dotknęła ciała wciąż nabrzmiałego od jego dotyku. Czyżby doprowadził ją do desperacji? Ta myśl nie wywołała u niej łez, lecz tylko radość pragnienia i wyczekiwania.

W godzinę później, schodząc na dół, usłyszała głosy i zacisnęła dłonie w pięści. Nie miała teraz ochoty na kontakty z obcymi, ale gdy wsłuchiwała się uważniej, rozpoznała głosy lorda i lady Montcliffe.

Czy oni się domyślą? Czy zauważą? A może między ludźmi pozostającymi w małżeństwie pojawia się pewne zrozumienie, z jakiego wcześniej nie zdawała sobie sprawy? Czy tworzą coś w rodzaju tajemnego klubu? Ukryła ślady pozostawione na jej ciele przez Gabriela, wiążąc kawałek koronki na szyi, ale wiedziała, że jej twarz i oczy wciąż promienieją blaskiem ostatniej nocy. Nie była w stanie spojrzeć na męża, gdy weszła do pokoju, uśmiechnęła się jednak, gdy Amethyst Wylde ujęła jej dłoń.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że pojawiliśmy się bez zapowiedzi, Adelaide. Daniel wybrał się obejrzeć konia i przejeżdżaliśmy niedaleko, toteż skorzystaliśmy z okazji, by

tu zajrzeć, bo ma jakieś wiadomości dla Gabriela.

- Bardzo się cieszę, że was widzę - odrzekła szczerze, bo Wyldę'owie byli interesującymi, ciepłymi i wielkodusznymi ludźmi.

Po chwili mężczyźni wyszli, pozostawiając kobiety, by mogły porozmawiać sam na sam.

- Christine Howard prosiła, bym przekazała ci wyrazy jej uczucia. Mówi, że tonik, który sporządziłaś dla jej matki, jest bardzo skuteczny.

- Powinnam chyba zrobić trochę również dla matki Gabriela. Wydaje się bardzo nieszczęśliwą kobietą.

- Ach, to przez problemy jego siostry. Spotkałam Charlotte Hughes tylko raz. To piękna, lecz zgorzkniała kobieta. Matka Luciena mówi, że mężczyzna, którego Charlotte poznała w Edynburgu, okazał się żonaty. Zamierza teraz wrócić do Londynu.

Adelaide ucieszyła się, że siostra Gabriela nie wybiera się do Ravenshill Manor. Potrzebowała kilku tygodni sam na sam z mężem, by zrozumieć, czym właściwie jest małżeństwo.

- Czy to są właśnie te wiadomości, które przywiózł Daniel?

- Nie, chodzi o coś zupełnie innego. - Na widok błysku w oczach Amethyst Adelaide zrozumiała, że nie ma ona ochoty mówić nic więcej.

Daniel zapytał ją o coś z drugiej strony pokoju. Podniosła wzrok i napotkała pogodne, jasnozłote spojrzenie męża.

- Przepraszam, co mówiłeś?

- Powiedziałem tylko, że życie małżeńskie służy wam obojgu.

Wiedziała, że Daniel się z nią drażni, mimo to oblała się rumieńcem. Na szczęście Gabriel stanął obok niej i skupił uwagę na sobie.

- Daniel przyjechał obejrzeć konia w Colton House. Słyszałem o tym ogierze, ale jeszcze go nie widziałem.

- W takim razie jedź z nami. Byłbym bardzo wdzięczny za twoją opinię. To nie zajmie ci dużo czasu.

- Czy masz ochotę na przejażdżkę, Adelaide? - Popatrzył na nią łagodnie.

- Chętnie. Czy to daleko?

- Nie, jakieś czterdzieści minut drogi. W pobliżu jest gospoda i podają tam doskonałe jedzenie.

Amethyst wydawała się bardzo zadowolona.

- Pójdziemy na spacer, gdy mężczyźni będą oglądać konie. Dzień jest piękny, a mnie przyda się trochę ruchu. Plecy mnie bolą od siedzenia w powozie.

- Lekarz powiedział, że masz się oszczędzać, Amethyst - powiedział Daniel z troską.

Lady Montcliffe zaśmiała się.

- Poczekaj tylko, aż zajdziesz w ciążę, Adelaide. Mój mąż zachowuje się jak kwoka. Najchętniej owinałby mnie watą i nie pozwolił nic robić. Nie martw się, najdroższy, dziecko nie urodzi się jeszcze co najmniej przez miesiąc. My, kobiety, wiemy takie rzeczy. - Oparła dłonie na brzuchu i jej głos przybrał ciepłą barwę. Wyglądała w tej chwili jak piękna Madonna, która doskonale rozumie moc swojego macierzyństwa.

Adelaide zaryzykowała spojrzenie na Gabriela i ze zdumieniem dostrzegła w jego oczach żal i tęsknotę. A może to była zwykła niepewność? Nie potrafiła tego rozstrzygnąć.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Stadnina była duża i dobrze zorganizowana. Mężczyźni poszli do stajni w towarzystwie gospodarza, a kobiety zostały na ścieżce w cieniu wierzb płaczących. W świetle słońca ich liście miały zadziwiający jasnozielony kolor.

- Słyszałam, że ogrody tutaj są piękne, ale nie sądziłam, że aż tak - powiedziała Amethyst. - Lord Herbert nie ma żony, zatem chyba sam zajmuje się ogrodami. Widocznie interesują go nie tylko konie. - Roześmiała się. - Wygląda na dobrego człowieka. Może następnym razem zabierzemy ze sobą Christine Howard?

- Swatanie podobno rzadko jest skuteczne. - Adelaide uśmiechnęła się.

- Nie bądź taka pewna. To papa wybrał dla mnie Daniela i jestem z tego bardzo zadowolona. Widzisz, mój ojciec był chory i sądził, że nie pożyje już długo.

Przez następny kwadrans Amethyst opowiadała, jak do tego doszło. Adelaide była zachwycona tą historią. Słyszała już jej fragmenty w Londynie, ale prawda była jednocześnie zabawna i gorzka.

- A zatem twój ojciec wciąż żyje ze swoją chorobą serca?

- Żyje i to doskonale. Rzadko kładzie się do łóżka, a jego nowa żona, niech Bóg ją błogosławi, w ogóle nie wierzy w jego chorobę. Ojciec chciałby mieć jak najwięcej wnuków, więc robię, co mogę, żeby spełnić jego marzenia.

- Twoje poprzednie dziecko jest jeszcze małe, prawda?

- Sapphire ma prawie dziesięć miesięcy. To śliczna dziewczynka, która... - Naraz Amethyst złapała się za boki i bardzo pobłądła. Pochyliła się, próbując wyrównać oddech. Zaniepokojona Adelaide wzięła ją za rękę. Puls był bardzo szybki, a zaciśnięte mocno na jej palcach palce wilgotne.

- Czy dobrze się czujesz? - zapytała, choć wyraźnie widziała, że tak nie jest.

- Muszę... usiąść - wydyszała Amethyst i dzwoniąc zębami, osunęła się na ziemię.

Nie było tu nic innego, na czym mogłaby usiąść. Drżała na całym ciele. Adelaide zastanawiała się, co się właściwie stało i co może się zdarzyć za chwilę, gdy naraz spod sukni Amethyst wypłynął strumień wody, a ona sama zaczęła płakać.

- Nie mogę rodzić dziecka teraz. Potrzebuję Daniela... - Urwała, gdy nadszedł pierwszy skurcz.

O mój Boże, pomyślała Adelaide. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby odebrać poród. Nie mogła uwierzyć w to, co się działo, ale wystarczyło jej rozsądku, by nie wpaść w panikę. Przynajmniej jedna z nich musiała zachować spokój. Były tak daleko od domu, że nikt nie usłyszałby wołania o pomoc. Musiała sobie poradzić sama.

Bez wahania zdjęła szeroką spódnicę i okryła nią ramiona Amethyst jak szalem. Amethyst potrzebowała ciepła i kogoś, kto dodawałby jej otuchy, Adelaide zatem zamierzała zapewnić jej jedno i drugie. Zdjęła halkę, myśląc, że będzie potrzebowała czegoś, by owinąć dziecko. Miękkie, czyste płótno idealnie się do tego nadawało.

Nieoczekiwanie Amethyst uśmiechnęła się.

- Tak mi przykro, Adelaide. Jeśli chcesz, to idź poszukać kogoś, kto mógłby pomóc.

- Nie ma na to czasu, a poza tym potrafię odebrać poród. Nie musisz się o nic martwić.

Lęk walczył w niej z odwagą, ale choć jeszcze nigdy nie była przy porodzie, jej ciotki wiele o tym opowiadały. Podniosła spódnicę Amethyst i położyła dłonie na napiętym brzuchu.

- Natura jest bardzo skuteczna, a przy szybkich porodach przeważnie nie ma komplikacji. Czy twój pierwszy poród też był szybki?

- Tak, szybki i nagły. - Zimne palce zacisnęły się na jej dłoniach. - Proszę, Adelaide, zostań ze mną. Nie poradzę sobie sama. Boję się.

- Oczywiście. Nigdzie nie pójdę. Popatrz, słońce się pokazało. Twoje dziecko wyjdzie na złotozielony świat. Myślę, że to znak dobrego samopoczucia i harmonii. Pomyśl tylko, jaką historię bę-

dziesz mogła opowiedzieć papie.

A potem wszystko działo się zarazem szybko i powoli. Adelaide straciła poczucie czasu. Skurcze były coraz częstsze i nagle w jej dłoniach znalazło się dziecko. Otworzyło oczy, zaczerpnęło oddechu i zapłakało.

- To chłopiec - powiedziała do Amethyst, która uniosła się na łokciach, by lepiej widzieć. - Jest śliczny.

Sprawdziła usta i nos dziecka, owinęła je w płótno i umieściła w ramionach Amethyst, a sama zaczęła masować jej brzuch. Po chwili urodziło się łożysko i krwawienie zupełnie ustało. Po raz pierwszy od godziny Adelaide odetchnęła z ulgą, patrząc na dwójkę swoich podopiecznych. Obydwoje byli spokojni, oświetleni słońcem. Dziecko opierało drobniutkie dłonie na piersi matki. Czarne włosy na jego karku wciąż były wilgotne po porodzie.

Dobry Boże, udało się! Sprowadziła dziecko na ten świat i pomogła jego matce. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła takiej radości. Wytarła dłonie o gorset i odrzuciła na plecy rozpuszczone włosy.

Gabriel zobaczył żonę z rozpuszczonymi włosami, bez spódnicy, z zakrwawioną twarzą i dłońmi, ale tak naprawdę uświadomił sobie, co się stało, dopiero gdy usłyszał okrzyk Daniela, który przykucnął przy żonie i wziął ją na ręce.

Dziecko. Urodziło się.

- Adelaide mi pomogła. Zrobiła... wszystko. - Amethyst wybuchnęła łzami, przywierając do męża. Wysłali do domu służącego, by przyprowadził wózek.

- Obydwoje czują się dobrze. - Adelaide podniosła się z ziemi. Gabriel podtrzymał ją ramieniem. - Dziecko od razu zapłakało, a potem zaczęło jeść, więc choć poród był trochę przedwczesny, sądzę, że nie będzie żadnych problemów.

Gabriel zdjął kurtkę, narzucił na ramiona żony i zapiął pod szyją. Od pasa w dół miała na sobie tylko cienką koszulę i drżała z chłodu. W pierwszej chwili, ze względu na krew i pozycję, w jakiej siedziała Adelaide, pomyślał, że jest ranna, i natychmiast przypomniał sobie Henriette Clements, a także wszystkie śmierci i rany, jakie widział podczas służby szpiegowskiej. Serce na chwilę przestało mu bić, oddech uwiązł w gardle. A potem usły-

szał płacz dziecka.

Gdyby miał kiedyś stracić Adelaide, gdyby umarła... Zaciśnął dłonie na jej ramionach i przyciągnął ją do siebie.

- Nigdy jeszcze tego nie robiłam, choć powiedziałam Amethyst, że tak - szepnęła i serce mu się ścisnęło z powodu jej szczerości. Jego żonie nawet nie przyszło do głowy, żeby wpaść w histerię albo poszukać pomocy. Użyła własnych ubrań i poradziła sobie z sytuacją, choć była przerażona i niedoświadczona i nie miała żadnej pomocy.

- Ciotka Jean mówiła, że jeśli wpadnie się w panikę, to wszystko pójdzie źle. Mówiła, że trzeba zachować opanowanie i spokój, bo w innym wypadku poród może się okazać trudny. - Drżała coraz mocniej. Bez zastanowienia wziął ją na ręce. Podszedł do drzewa, usiadł oparty o nie plecami i posadził sobie Adelaide na kolanach.

Dopiero teraz, gdy już było po wszystkim, wpadła w panikę. Rozkleiła się w jego ramionach i wybuchnęła głębokim szlochem.

- Wszystko w porządku, kochanie. Wszystko już jest w porządku - powtarzał i nagle uświadomił sobie, że to prawda. Trzymał żonę w ramionach, a świat wokół nich kręcił się dalej. Niczego więcej nie potrzebował, tylko Adelaide, jej odwagi i siły. Tylko tego, żeby byli razem.

Sporo czasu minęło, zanim wrócili do Ravenshill Manor. Amethyst i Daniel wraz ze swoim nowo narodzonym synem postanowili zostać na razie w Colton House. Lord Herbert posłał po lekarza.

Adelaide była wyczerpana. Gabriel pozostawił jej decyzję, czy wracać, czy pozostać z Wylde'ami, ona jednak chciała się znaleźć w bezpiecznym miejscu, a najbezpieczniej czuła się w ocalałym skrzydle Ravenshill.

Gabriel odesłał zdumioną Milly, która pojawiła się w sypialni, oświadczając, że sam zajmie się żoną. Zdjął jej pończochy i rozebrał ją z wielką czułością, przetaił twarz i ręce wilgotnym ręcznikiem, a na koniec ułożył ją w łóżku na czystych prześcierałach.

- Proszę, połóż się obok mnie. Jest mi bardzo zimno - szepnęła.

Przez chwilę się wahał, ale w końcu zrzucił kurtkę i spodnie i dołączył do niej. W samej płóciennej koszuli przytulił ją do siebie i nakrył ich oboje kołdrą.

- Bogu dzięki, że byłaś przy Amethyst.

- Nie, Gabrielu - przerwała mu. - Bogu dzięki, że jestem z tobą.

Po tych słowach zasnęła. Zważywszy na wszystko, przez co przeszła tego dnia, były to zdumiewające słowa, ale uwierzył jej.

Jeszcze nikt z taką determinacją nie stał u jego boku. Pierścienek błysnął w świetle dziesięciogodzinnej świecy. Gdy Gabriel nakrył jej dłoń swoją, ona nawet przez sen zacisnęła na niej palec. Czowała się bezpieczna tu w Ravenshill, w niewielkim skrzydle na tyłach zrujnowanego domu, w jego towarzystwie. Nie chciała zostać w Colton House, choć dom był wygodny i luksusowy. Wolała wrócić tu, gdzie czuła się jak w domu.

Jego żona. Jego wybawicielka.

Zwykle o tej porze przechadzał się niespokojnie po mrocznych pomieszczeniach, czekając na świt. Ale teraz, choć była zaledwie dziewiąta wieczorem, był przykuty do łóżka, uwięziony w długich ramionach Adelaide, przepełniony uczuciami znacznie silniejszymi niż gniew, żal i wstyd.

Zacisnął powieki i odmówił modlitwę za nich oboje, za dziecko, które właśnie się urodziło, za przepełnione radością lata, które chciał spędzić z żoną.

Gdy już zasypiał, uświadomił sobie, że nie prosił Boga o cud ozdrowienia dla niego samego. Prawdę mówiąc, zupełnie o tym zapomniał.

Obudził się w nocy, czując przy sobie ciepło Adelaide. Jej dłoń spoczywała na jego brzuchu, a noga przerzucona była przez jego udo. Pośród ciszy nocnej dotknął jej wiedziony nieodpartym przyciąganiem, jak ćma dążąca do płomienia. Dotknął jej lekko i delikatnie, a jej ciało natychmiast drgnęło.

Obrócił ją, rozsunał jej uda i położył ją na sobie, rytmicznie pobudzając ją kciukiem. Poczował jej dreszcz, a potem rozluźniła się i bezwładnie opadła na niego. Gdy znów przycisnął do niej dłoń, wykrzyknęła. Nakrył jej usta swoimi i po raz drugi doprowadził

ją do rozkoszy.

To jak narodziny, pomyślał. Jak prapoczątek. Wsunął palec do ust, smakując jej słodycz.

Zatraciła się w miłości. Drżała z rozkoszy, a nie z lęku. Sięgała do wszystkich miejsc, które Gabriel zechciał jej pokazać, a potem powoli wracała do równowagi w jego mocnych ramionach.

Świeca niemal już się wypaliła, księżyc zaszedł i niebo na wschodzie zaczęło się rozjaśniać. Adelaide wtuliła się w niego i jej dłoń niechcący dotknęła blizn na jego udzie. Poczuła, że zeszywniał, i zrozumiała, dlaczego pozostał w koszuli. Nie chciał, by to widziała ani by o tym wiedziała. Wyciągnął rękę, by odsunąć jej dłoń, ale to ona go odsunęła, dotykając go coraz śmieiej. To musiało być poparzenie; nic innego nie zostawiało takich blizn. To musiał być pożar kaplicy w Ravenshill.

- Czy to bolało?

Poczuła, że się uśmiechnął z twarzą wtuloną w jej włosy.

- Tak.

- Kto się tobą zajmował?

- Lekarz rodzinny.

- Czy używał miodu?

- Chyba nie.

- W takim razie olejku lawendowego albo rozcieńczonego octu?

Gabriel potrząsnął głową.

- Owinął nogę mokrymi bandażami i zmieniał je często przez bardzo długi czas.

- Czy to nadal boli?

- Czasami.

- W takim razie zrobię ci coś, co pomoże rozluźnić zbyt napiętą skórę. Czy masz to również na brzuchu?

Sięgnęła wyżej, ale on pochwycił ją za rękę i podniósł do ust, całując wszystkie palce po kolei.

- Masz uzdrawiające dłonie. Te dłonie bezpiecznie sprowadziły na świat dziecko, które nie powinno się urodzić tak wcześnie. Daniel nigdy ci się za to nie wywdzięczy. Będzie twoim sługą już do końca życia.

Zaśmiała się, wyobrażając sobie wyniosłego, surowego lorda Montcliffe w roli pokornego sługi.

- Wolałabym jego przyjaźń.

- Cóż, jestem pewien, że będziesz ją miała.

Dźwięk śmiechu w jego głosie sprawiał jej radość, podobnie jak palce zataczające kółka na jej plecach.

- Czy chciałbyś mieć dzieci, Gabrielu?

Znieruchomiał i zaczął oddychać płyciej.

- Nasze dzieci - dodała, gdy on nie odpowiedział. - Dziedzica tytułu i ziemi Wesleyów? - Zmusiła się, by mówić dalej: - Niewiele wiem o tym, co się dzieje między kobietą a mężczyzną w łóżku, ale wyobrażam sobie, że to wygląda podobnie jak na farmie i że musi dojść między nami do bardziej intymnego kontaktu.

Gabriel wciąż nie odpowiadał, choć serce biło mu szybko. Adelaide czuła jego uderzenia przez koszulę.

- Gdybyś chciał, bardzo chętnie zrobię to z tobą.

Zdumiała się, gdy usłyszała przekleństwo. Gabriel wysunął się z jej objęć i usiadł na łóżku. W blasku świtu jego twarz wydawała się znużona i ostrożna. Wyglądał jak człowiek, który walczy z niezliczonymi zastępami demonów.

- Czy powstrzymuje cię jakaś choroba?

Podniósł się, obciągnął koszulę i zdmuchnął świecę. Dym rozproszył się w szarym świetle, a potem zupełnie zniknął.

Bez jednego słowa Gabriel wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Zobaczyła go dopiero następnego dnia. Jechał konno po wzgórzu w sporej odległości od domu. Poznała, że to on, po swobodnej postawie w siodle, płynnych, miękkich ruchach, a także dlatego, że to był ten sam koń, na którym jechał w drodze z Londynu.

Poszła do stajni z myślą, że go tam spotka, i rzeczywiście, zauważyła go na ścieżce, gdy zbliżał się w jej stronę. Chłopak stajenny podbiegł, żeby odprowadzić konia. Zostali sami.

- Dobrze jeździsz - powiedziała, bo nic innego nie przyszło jej do głowy.

Uśmiechnął się i uderzył biczem o buty, wzniesając tuman kurzu.

- Praktyka prowadzi do mistrzostwa.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Miał przecież mnóstwo praktyki w sypialni, a jednak...

Zdawało się, że Gabriel odczytał jej myśli.

- Musimy porozmawiać, Adelaide, ale nie tutaj. Spotkajmy się za godzinę w niebieskim salonie.

Jego głos brzmiał tak poważnie, że serce zabiło jej mocniej i znów ogarnął ją lęk. Czyżby chciał powiedzieć, że ich małżeństwo jest pomyłką i że nigdy nie zamierzał mieć dzieci? Setki możliwości przebiegały jej przez głowę.

Gabriel zbliżył się i położył ciepłą dłoń na jej dłoni.

- To mój problem, Adelaide, nie twój. - Odwrócił się i poszedł do stajni dopilnować konia.

Wskazówki zegara na ścianie zdawały się poruszać coraz wolniej. Dochodziła jedenasta. Musiał być z nią szczery. Musiał jej powiedzieć, kim teraz jest - mężczyzną zrujnowanym przez okoliczności i własną głupotę, mężczyzną, który nigdy nie powinien się z nią żenić.

- Pomóż mi, Boże. - Słowa odbiły się echem od ścian pokoju. Czuł się chory, przestraszony i samotny. To była cała prawda o nim.

Znów zaklął pod nosem, gdy usłyszał na deskach podłogi jej lekkie kroki. Czy będzie w stanie to zrobić? Jak ma wyrzec się raję i wstąpić do piekieł, nie oglądając się za siebie?

- Dziękuję, że przyszłaś. - Zamknął za nią drzwi i oparł się o nie z wahaniem, niepewny, czy wystarczy mu siły.

- Sądziłeś, że nie przyjdę? - zapytała nerwowo i jej zdenerwowanie jakoś mu pomogło. Zauważył drżenie jej palców, gdy odgarnęła z policzka pasmo włosów.

Miał wziąć ją w ramiona, sprawić, by zrozumiała, kim jest, by złożyła całość z roztrzaskanych fragmentów, ale to nie byłoby uczciwe. Musiał jej podać fakty i pozwolić, by sama podjęła decyzję co do ich małżeństwa. Musiał to zrobić bez uczuć, zimno i twardo, szczerze.

Powiedz: jestem impotentem - podpowiadał mu głos. Oddech miał przyspieszony i znów poczuł mdłości, tak silne, że z trudem zaczerpnął powietrza i usiadł ciężko na krześle. W głowie wiro-

wało mu z przerażenia. Przez chwilę obawiał się, że rozplacze się jak dziecko.

Stała obok niego i położyła jedną dłoń na jego czole, a drugą na nadgarstku, jakby sprawdzała, czy nie jest chory. Wylecz mnie, pomyślał. Ulepsz mnie. Spraw, żebym stał się mężczyzną, jakim byłem kiedyś. Zrób to swoimi naparami i swoją dobrocią. Spraw, żebym znów stał się całością.

Obracał te słowa w umyśle. Głupie nadzieje, które nigdy się nie spełnią.

- Być może mogłabym ci pomóc, Gabrieli, gdybyś tylko powiedział mi, co jest nie tak.

Potrząsnął głową.

- Nikt nie może mi pomóc. - Nienawidził tego litowania się nad sobą, jakie usłyszał we własnych słowach, ale nie mógł już ich cofnąć. A potem, ponieważ ona widziała go już w najgorszych chwilach, widziała mężczyznę, któremu nie zostało nic do stracenia oprócz własnej dumy, po prostu wyrzucił z siebie prawdę.

- Nie mogę się z tobą kochać, bo jestem impotentem. Sprawił to wypadek. Pożar. Ogień. Nie mogę spłodzić dzieci. Nie mogę być mężem. Powinienem ci o tym powiedzieć wcześniej, zanim za mnie wyszłaś, ale chciałem...

Urwał i przełknął.

- Kocham cię, Adelaide, i chciałem, żebyś ty mnie też kochała.

Adelaide nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Nie chodziło o słowa o impotencji, pożarze i poparzeniach, ale o te drugie, o miłości i pragnieniu.

- Ja też cię kocham, Gabrieli, całym sercem i całą duszą. Kochałam cię od pierwszej chwili, gdy spotkaliśmy się na balu u Bradfordów i ostrzegłeś mnie przed sobą.

Przyklękła obok niego, obejmując jego twarz dłońmi, i popatrzyła mu w oczy, w których dzisiaj zaiły się cienie. Ale wśród cierpienia i niedowierzania dostrzegła tam również płomyk nadziei.

- Te fizyczne rzeczy, o których mówisz, to tylko jedna strona związku. Jest jeszcze zaufanie, miłość i bliskość. Sercem małżeństwa jest przyjaźń, szczerłość i radość. Dzielę z tobą to wszystko i jeszcze więcej. - Uśmiechnęła się. - Gdy mnie zabierasz do łóż-

ka, nie pamiętam o niczym, tylko o tym, jak się czuję dzięki tobie. Jeśli tak wygląda twoje życie, ja mogę być z tym szczęśliwa, choć chciałabym tobie również dać radość. Możesz mnie tego nauczyć.

Wstał i wziął ją w ramiona, wdychając zapach mydła i płótna. Po powrocie ze stajni wykąpał się i ogolił. Włosy na karku wciąż miał wilgotne. Adelaide dostrzegła mokre plamki na koszuli pod luźno zawiązanym krawatem.

Jeszcze nigdy nie był piękniejszy niż teraz, z rumieńcem niepewności na policzkach. Nie był chłopcem, lecz mężczyzną naznaczonym tragedią, zahartowanym w ogniu.

- A dzieci, Adelaide? To wielka strata.

- Będziemy czerpać radość z dzieci naszych przyjaciół. Wyde'owie mają dwójkę, na którą możemy przelać naszą miłość. Twoi przyjaciele będą mieli więcej dzieci.

Bardziej wyczuła, niż zobaczyła jego uśmiech. Rozluźnił się i wtulił w nią, wyczerpany wyznaniem prawdy.

- Nie zasługuję na ciebie.

- Dlaczego?

- Bo nie znałaś mnie takiego, jakim byłem kiedyś. To niesprawiedliwe. Teraz dostałaś tylko ruinę.

- A co ze mną, Gabrieliu? Czy ty znałeś dziewczynę, która częściej się śmiała i bardziej cieszyła życiem? Tę, która nie bała się obcych mężczyzn i ciemności? Ta dziewczyna również zginęła po ataku Kennetha Davisa. Zniknęła w jednej chwili i zastąpiła ją inna kobieta. Ale znasz mnie taką, jaką jestem teraz - mniej ufna, mniej pewną siebie. Mam nadzieję, że ci to wystarczy.

- Wystarczy?

- W małżeństwie właśnie o to chodzi, nie sądzisz? O zmianę, wyzwanie i szansę. Teraz jesteśmy kimś innym, niż będziemy za dziesięć czy dwadzieścia lat albo za pięćdziesiąt, gdy oboje będziemy starzy i siwi. Ale czy będziemy kochać się mniej przez to, że życie nas naznaczyło, uformowało i wzmocniło? Hartowana stała staję się mocniejsza. Nie łamię się tak łatwo dzięki zabiegom, którym została poddana.

- Kocham cię, skarbie. Kocham cię tak bardzo, że to aż boli. - Przyłożył jedną z jej dłoni do swojego serca. Poczowała jego bicie,

nie tak szybkie i ciężkie jak wcześniej, i cieszyła się, że Gabriel dał jej miłość, prawdę i siebie.

A potem, w jednej chwili, jego dotyk znów stał się magiczny. Gabriel powiódł palcem po jej szyi i dekolcie tuż nad skrajem gorsetu.

- Jesteś taka piękna - szepnął i jego usta znalazły się tam, gdzie palec, na skraju piersi. Poczowała dotyk wilgotnego języka i falę gorąca, usłyszała bicie własnego serca i ciepło rozpełzające się po całym ciele. Weź mnie! - krzyczało jej ciało. - Uczyń mnie swoją.

I zrobił to. Przeszył ją dreszcz podniecenia i wygięła się do tyłu. W jej żyłach ciężko dudniła krew i pragnienie. Wsunęła palce w jego włosy, przyciągając go do siebie, zawłaszczając go.

- Kocham cię - powiedziała cicho i niewyraźnie. Wziął jej miłość, nasycił nią pragnienie i apetyt, a potem zmienił w biały płomień poznania.

Gdy skończył, stała bezwładnie, patrząc na niego. Sięgnął po jej dłoń i położył sobie na piersi, zaciskając jej palec wskazujący i kciuk na swoim sutku.

- Tutaj.

Zrozumiała, co robi. Z popiołów szczerości odradzał się niczym feniks, inny i subtelniejszy. Razem mogli zyskać na tym małżeństwie, dostać to, co najlepsze. Oblizwała czubki swoich palców tak, jak on to robił wcześniej, i zabrała się do pracy. Była zadowolona, gdy jego sutek stwardniał, a oddech przyspieszył. Przyłożyła tam usta i zaczęła smakować go językiem. Władza nad jego ciałem była bardziej podniecająca niż wszystko, co poznała dotychczas. Tak właśnie należało kochać - bez żadnych oporów ani wstydu. Przesunęła dłoń na jego kark i pociągnęła go za sobą na gruby dywanik.

- Nigdy nie przestanę cię kochać, Gabrieliu. Nigdy.

- Dopilnuję, żebyś nie przestała - odszepnął.

Następne dwa dni prawie nie wychodzili z sypialni Gabriela. Całymi godzinami rozmawiali, dowiadując się o sobie coraz więcej.

- Wydaje mi się, że Henrietta Clements chciała zabrać mnie ze

sobą, gdy umierała, bo nie kochałem jej wystarczająco. – Było późne popołudnie. Siedzieli przy oknie na dużym skórzanym fotelu, trzymając się w ramionach.

– Jak sądzisz, kto podłożył ogień? – zapytała Adelaide cicho i w tej chwili ostatni kawałek układanki w umyśle Gabriela wskoczył na swoje miejsce. Świeca, płomień. Zasłona w kaplicy, zakurzona i wyschnięta ze starości.

– Tak – powiedział bez cienia wątpliwości. – To ona. Teraz pamiętam.

Poszedł na spotkanie z nią, bo przysłała mu wiadomość. Miała nazwiska ludzi, z którymi kontaktował się jej mąż, ludzi, którzy w najgorszym wypadku mogli obalić królestwo, a w najlepszym rząd.

Nie chciał tam iść, bo niepokoił go błysk szaleństwa w jej oczach.

Gdy przyszedł, wyciągnęła pistolet i kazała mu stać nieruchomo przy marmurowej chrzcielnicy pod poranionym ciałem Chrystusa. Ręce drżały jej tak bardzo, że obawiał się, by nie wystrzeliła przypadkiem.

– Połóż prawą rękę na Biblii, Gabrieli.

Zrobił to, czekając na pierwszą okazję, by odebrać jej pistolet.

– Przysięgnij, że zawsze będziesz mnie kochał. Przysięgnij na Boga. Chcę usłyszeć, jak mówisz to szczerze.

Przełknął i zawahał się. Potrafił używać kłamstwa do własnych celów, nawet w świątyni, ale tu chodziło o coś więcej, o coś, co kryło się w desperacji Henrietty.

– Powiedz to!

Ochronnym gestem przyłożyła rękę do brzucha i wtedy zrozumiał.

– Nosisz dziecko?

Skinęła głową i obniżyła lufę pistoletu, ale nie zapomniała o nim.

– Czy to moje dziecko?

Proszę, Boże, niech to nie będzie moje dziecko, modlił się. Jeśli możesz cokolwiek dla mnie zrobić, Panie, to proszę, nie pozwól, by to dziecko było moje.

Poczuł przejmującą ulgę, gdy potrząsnęła głową.

- Ale to nie jest też dziecko mojego męża. George Friar, kuzyn męża, wziął mnie wbrew mojej woli. Nie mogłam go powstrzymać.

Płakała głośno.

- Sądzę, że zabiłby Randolpha, gdyby miał okazję. Zabierz mnie ze sobą, Gabrielu, bo tylko ty byłeś dla mnie dobry. Powiedz, że mnie kochasz, a oboje będziemy wolni.

Milczał. Naraz w jej dłoni pojawiła się świeca i dotknęła starej zasłony oddzielającej chrzcielnicę od prezbiterium. Zasłona stanęła w ogniu. Henrietta postąpiła o krok do przodu i płomień ogarnęły jej spódnicę i rozpuszczone włosy.

Próbował ją ocalić, wyciągnąć z ognia, ale przez kłęby dymu widział jej czerniejącą skórę. W ostatnim błysku rozsądku sięgnął do chrzcielnicy i wylał wodę na nich obydwoje.

- Minął miesiąc, zanim cokolwiek sobie przypomniałem - powiedział cicho, gdy dłonie Adelaide przesuwają się po bliznach na jego udzie. - Przez jakiś czas myślałem, że to ja ją zabiłem, a potem wspomnienia zaczęły wracać. - Głos miał ochryply, przepętlony poczuciem winy. - Sądzę, że obydwoje zdradziliśmy siebie nawzajem. Ona była dla mnie tylko środkiem do celu i zasłużyłem sobie na wszystko, co mnie spotkało. - Wyprostował się i zmarszczył czoło. - Ale podała mi nazwiska. Teraz je sobie przypomniałem. To George Friar zabił Randolpha Clementsa. To jego szukamy.

- My?

- Korona. Daniel przywiózł mi list od Alana Wolfe'a, w którym było napisane, że mąż Henrietty został zamordowany. Znalezione jego ciało w tawernie w pobliżu Oksfordu. Możliwe, że to dzieło Friara, bo opuścił swoje mieszkanie i zniknął.

- Dokąd pojechał?

- Tego muszę się dowiedzieć.

- Spotkałam go na herbacie w Londynie tuż przed naszym ślubem. Dał mi do zrozumienia, że wie, co zaszło między mną a Kennethem Davisem. Chciał, żebym pojechała z nim do Ameryki jako jego żona. Chodziło mu o mój majątek. Jest w nim mroczna strona, której nie pokazuje często.

- Czy to znaczy, że Davis jest w Anglii? - Gabriel próbował po-

wstrzymać wściekłość.

- Nie.

Czy to możliwe, by Friar wrócił tutaj, do Ravenshill Manor, gdzie wszystko się zaczęło? Czy chodziło mu o jakąś chorą zemstę, a Adelaide miała służyć za przynętę? Przytulił żonę mocniej i pocałował jej włosy. Naraz ciemniejące niebo na zewnątrz wydało mu się złowieszcze.

Musiał ściągnąć do Ravenshill więcej ludzi. Nie chciał niepokoić Adelaide, ale na wszelki wypadek musiał się przygotować. Podniósł się i przeciągnął. Starał się sprawiać nonszalanckie wrażenie, nie wziął jednak pod uwagę, że umysł Adelaide pracuje równie sprawnie jak jego własny.

- Czy sądzisz, że on może tutaj przyjechać? Czy teraz chce zabić ciebie z zemsty za Henriettę Clements?

Uśmiechnął się. Tym właśnie było małżeństwo: zapominało się o sobie i myślało o tej drugiej osobie. Stawka wzrosła i pojawił się nowy powód do lęku. Gdyby cokolwiek stało się z Adelaide, nie przeżyłby tego. Ta pewność zaparła mu dech.

- Będziemy bezpieczni, skarbie, przysięgam ci.

Tej nocy siedział przy oknie i patrzył na tereny Ravenshill skąpane w mroku. Po jednej stronie znajdowały się Barron Hills, a po drugiej rzeka Scott. To była jego ziemia - ziemia Wesleyów, ziemia, która pozostawała w rodzinie od wielu pokoleń, wywalczona w cierpieniu i chroniona krwią. Czuł się tu bezpieczny. Znał każdy zakątek, wszystkie kryjówki, doliny, strumienie i łąki. To prawda, Henrietta zaskoczyła go kiedyś w kaplicy swoim szaleństwem i złudzeniami, ale teraz już nie był tym samym człowiekiem co wtedy. Teraz miał cel, powód, by zaryzykować życie i chronić rodzinę.

Adelaide. Może nigdy nie będą mieli dzieci, ale zawsze będą mieli siebie nawzajem. Pomyślał o ciemnowłosych dziewczynkach z uśmiechem podobnym do uśmiechu matki, ale odsunął od siebie ten obraz. Nawet miłość do żony nie rozbudziła jego libido. Zaklął pod nosem - cicho, bo obok niego spała zwinięta w kłębek Adelaide.

- Chodź tu, łajdaku - szepnął, zaciskając palce na kolbie pisto-

letu. – Pokaż mi się. Spotkajmy się uczciwie i zakończmy tę sprawę.

Ale nic się nie poruszyło, tylko niebo zaczęło się rozjaśniać i nad zielonym krajobrazem Ravenshill pojawiła się różowa smuga świtu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Daniel, Amethyst i malutki Robert Wylde wstąpili do Ravenshill następnego ranka w drodze do Montcliffe.

- Amethyst czuła się niespokojna w Colton House i chciała już wrócić do domu. Musimy ci jeszcze raz powiedzieć, Adelaide, że zawsze będziemy twoimi dłużnikami. Jeśli możemy cokolwiek dla ciebie zrobić... - Daniel Wylde potrząsnął głową. - Proś, o co chcesz.

- Chciałabym się z wami zaprzyjaźnić - odrzekła. Uścisnęła Amethyst i wzięła dziecko na ręce. Było śliczne. Miało różowe usteczka i patrzyło na nią rozproszonym spojrzeniem błękitnych oczu.

- Będzie miał na imię Robert, po moim ojcu - wyjaśniła Amethyst, gładząc miękką główkę dziecka. Adelaide podniosła wzrok i w spojrzeniu męża, który również patrzył na malca spoczywającego w jej ramionach, dostrzegła bolesne poczucie utraty.

Czyżby sądził, że dla niej ma to aż tak wielkie znaczenie i że nie jest mężczyzną tylko dlatego, że nie może spłodzić dziecka? Przeszła przez pokój i włożyła niemowlę w jego ramiona, myśląc, że nawet jeśli nie uda im się przedłużyć linii, mogą za to stworzyć inne więzi - na przykład z tym chłopcem, który teraz zaciskał drobne paluszki na palcu jej męża. Adelaide знаła życie na tyle, by docenić piękno kompromisu.

- Zawsze będziemy przy tobie, mały - powiedziała cicho. - W dobrych i w złych czasach.

- A skoro już mówimy o złych czasach... - odezwał się naraz Daniel. - Czy słyszałeś coś więcej na temat śmierci Clementsa, Gabe?

- Jestem pewien, że zabił go Friar. Kuzyn Clementsa - uściślił, widząc niezrozumienie na twarzy Daniela. - To on miał po nim dziedziczyć. Friar powiedział Adelaide, że potrzebuje gotówki, by zainwestować w jakiś projekt w Baltimore. A po śmierci Hen-

rietty na drodze stał mu jeszcze tylko Randolph.

- I nikt go nie podejrzewał?

- Wspólnicy zapewniłi mu alibi. Polityka interesowała ich, ale nie na tyle, by przelewać dla niej krew. To było zadanie Friara.

- Masz na to dowody?

- Tylko wspomnienie ostatnich słów Henrietty. Powiedziała mi o Friarze, zanim rzuciła się w płomienie, ale przypomniałem sobie o tym dopiero wczoraj.

- W samą porę. Jak sądzisz, czy on jest bardzo niebezpieczny?

Gabriel zignorował to pytanie i zadał inne:

- Czy mógłbyś zabrać moją żonę ze sobą, gdy będziesz wracał do Montcliffe?

Dopiero teraz Adelaide zrozumiała, do czego on zmierza.

- Nie, Gabrielu. Nigdzie się nie ruszę bez ciebie. Lepiej będzie, jeśli wyjedziemy obydwój, wtedy będziesz miał do pomocy jeszcze Luciena i Francisa.

- Daniel przywiezie ich tutaj, ale najpierw zabierze cię w bezpieczne miejsce. Proszę, Adelaide. Nie jestem w stanie nawet pomyśleć o tym, że mogłabyś się znaleźć w pobliżu Friara. Ja sam doskonale potrafię o siebie zadbać.

Myśli Adelaide pędziły w szaleńczym tempie. Nie mogła poprosić Daniela, by został z Gabrielem, bo najpierw musiał zapewnić bezpieczeństwo żonie i dziecku. Gabriel na jakiś czas musiałby zostać sam. Pomyślała o służbie. Wiedziała, że jest to jakaś pomoc, ale cóż mogli zrobić wobec wyszkolonego zabójcy?

- Wrócisz natychmiast do Ravenshill? - zapytała Daniela.

- Tak.

- W takim razie zrobię to, o co prosisz, Gabrielu. - Na samą myśl o tym, że ma wyjechać, serce omal jej nie pękło.

- Jeszcze nigdy nie widziałam Gabriela tak szczęśliwego - powiedziała Amethyst, gdy powóz przejeżdżał przez rozległe tereny Ravenshill. - Daniel uważa, że powinniśmy się zająć swataniem, bo odnosimy w tym duże sukcesy.

- Gdzie jest twój mąż? - zapytała Adelaide ze śmiechem. Wyjrzała przez okno, wypatrując sylwetki lorda Montcliffe na koniu.

- Pewnie wyjechał naprzód, żeby sprawdzić, czy droga jest

bezpieczna.

Słowa zamarły Amethyst na ustach, gdy rozległ się ostry trzask wystrzału, a potem drugi i trzeci. Powóz zwolnił i rozwiała się nadzieja, że to tylko polujący w pobliżu myśliwy.

- Boże drogi, gdzie jest Daniel? - Spanikowany głos Amethyst rozległ się ostro w ciszy. Włożyła malutkiego Roberta do kołyski na podłodze powozu i ukryła ją pod szerokimi spódnicami. Przede wszystkim trzeba chronić dziecko, pomyślała Adelaide, próbując zapanować nad własnym strachem.

W chwilę później drzwi powozu otworzyły się i stanął w nich George Friar. Wyglądał zupełnie inaczej niż w Londynie. Głowę owiązaną miał zakrwawionym bandażem, a jego strój przypominał ubrania noszone przez wieśniaków.

- Wsiadaj! - powiedział, celując w nią ze strzelby. Bez wahania zrobiła, co jej kazał, i zamknęła za sobą drzwi z nadzieją, że chodzi mu tylko o nią. Idąc obok Friara w stronę jego konia, modliła się, by dziecko nie zapłakało i by Daniel nie był ranny. Była tak skupiona na bezpieczeństwie Wylde'ów, że zupełnie zapomniała o sobie i gdy Friar z całej siły uderzył ją w twarz, upadła na ziemię u jego stóp. Czy zamierzał ją zabić, nie dając jej żadnej szansy na obronę? Zakręciło jej się w głowie i żołądek podszedł do gardła.

- Wstawaj! - Zacisnął usta i wsadził ją na konia. - Tamto było za to, że uderzyłaś mnie na balu, a to jest za Kennetha Davisa. - Tym razem pięść trafiła ją w brzuch. Mocny cios wybił jej powietrze z płuc. Zaczęła gwałtownie drżeć na całym ciele.

- Siedź cicho, to może uda ci się jeszcze trochę pożyć. Chodzi mi o twojego męża. Zabił Henriette i musi za to zapłacić.

- Nie! Ona sama się zabiła.

- Kłamiesz!

Znów uderzył ją w twarz, po czym wsadził na siodło. Adelaide wiedziała, że Gabriel za kilka godzin zacznie jej szukać, modliła się tylko, by szalony, niebezpieczny George Friar nie zabił earla Montcliffe.

Przed oczami Gabriela migotały czerwone plamy, ale wściekłość nie mogła mu w niczym pomóc. Ten łajdak miał jego żonę.

Amethyst powiedziała, że wyciągnął ją z powozu i mocno uderzył.

Daniel, z kulą w boku, leżał na sofie. Klęczący obok niego aptekarz próbował zatamować krwawienie.

- Friar dopadł mnie, gdy wyjechałem na polanę spomiędzy drzew. Strącił mnie z konia.

- Znalazłam go, gdy wysiadłam z powozu. Stangret nie żyje. Drugi strażnik też. - Po policzku Amethyst spływały łzy. Suknię miała brudną. Malutkiego Roberta zanesiono na górę, gdzie zajmowała się nim gospodyni i dwie pokojówki.

- A zatem pojechał za rzekę? - zapytał znowu Gabriel, przepatrząc narożną szafkę w poszukiwaniu pistoletów i noża. Do zmroku zostało jeszcze kilka godzin. Musiał znaleźć Adelaide przed zmierzchem, bo w innym wypadku... Przeszło mu przez myśl to, co zdarzyło się z Henriettą Clements, ale odsunął od siebie te wspomnienia i wydał krótkie instrukcje nielicznym służącym, których zatrzymał w Ravenshill po pożarze.

- Zamknijcie za mną drzwi i nie wpuszczajcie nikogo oprócz mnie. - Włożył pistolet w dłoń starszego kamerdynera, a drugi dał lokajowi. - Zabezpieczajcie dom ze wszystkich stron. Jeśli cokolwiek się poruszy, najpierw strzelajcie, a dopiero potem pytajcie.

Daniel znów stracił przytomność. Twarz miał bladą i ściągniętą.

- Czy możesz mu pomóc? - zapytał Gabriel krótko Andrew McAuleya, miejscowego aptekarza.

- Tak, to powierzchowna rana. Kula przeszła czysto przez mięśnie i dlatego krwawienie jest silne, ale już ustaje. Nie wolno go stąd ruszać przez dłuższy czas.

- Dobrze. Amethyst, przynieś z góry jakieś koce i okryj go ciepło. Powiedz gospodyni, żeby zrobiła ci coś gorącego do picia. Cała drżysz.

Po tych słowach wyszedł z domu. Przed sobą widział szarzejące niebo. Odgadywał, że Friar ukrył się w starej zagrodzie przy kamieniołomie. Wskoczył na konia, którego przyprowadził mu jeden z chłopców stajennych.

- Słyszałem o pańskiej żonie, sir, i mam nadzieję, że wkrótce ją pan znajdzie. Jeśli ta druga dama prawidłowo podała kierunek, to

on mógł ją zabrać do tego budynku przy skarpie.

- Ja też tak pomyślałem. Idź do domu i poleć kamerdynerowi, żeby dał ci pistolet. Jeśli nie wrócę do rana, powiedz lordowi Montcliffe, żeby zorganizował grupę poszukiwawczą, i poślij po konstabla. Poszukaj też Aleksa Watkinsa i dopilnuj, żeby był uzbrojony.

- Dobrze, milordzie - odrzekł chłopak, podając mu wodze. - Powodzenia, sir.

Zostawił za sobą Ravenshill. Wiatr nasilił się. Musiał być ostrożny. Jeśli koń Friara wyczuje jego konia... Odsunął jednak tę myśl i popędził przed siebie.

Adelaide była przywiązana do drzewa. Sznury na szyi nie pozwalały jej oddychać. Musiała usiąść i podnieść nieco głowę, żeby zaczerpnąć powietrza. Tylko nie wpadaj w panikę, pomyślała, obserwując George'a Friara. I nie ruszaj się. Ściągając ją z konia, skaleczył jej usta, a potem uderzył ją w głowę rękojeścią ciężkiego noża.

Teraz już nie była mu potrzebna. Gabriel i tak tu przyjedzie, bez względu na to, czy będzie żywa, czy martwa. Friar powiedział jej to zupełnie wyraźnie.

- Jeśli cokolwiek mnie zdenerwujesz, to zginiesz.

Wiatr wiał przez cały czas, wył w gałęziach wysokich sosen. Serce Adelaide dudniło w jednym rytmie. Wyraźnie słyszała te uderzenia.

Zrobiło jej się niedobrze i zaczęła się trząść na całym ciele. Wiedziała, że jeśli zwymiotuje, to już po niej. Brakowało jej tlenu. Przełknęła żółć i pomyślała o Gabrielu. Jeśli przyjdzie ścieżką, to zginie, zanim się obejrzy. Ale to były w końcu jego ziemie, znał tu wszystkie pułapki. Adelaide miała nadzieję, że Amethyst zauważyła, w którą stronę odjechał Friar.

Przed oczami zaczęły jej migotać białe plamki, po całym ciele rozpełzało się gorąco. To była powolna, niezauważalna śmierć. Nie mogła nawet jęknąć, bo bała się, że Friar ją zabije. Ciężki lęk przytłumił nienawiść, a nad wszystkim dominowało poczucie daremności. Czy otrzymała od losu szczęście odwzajemnionej miłości tylko po to, by je od razu stracić? W końcu zrozumiała, co

to znaczy być kochaną bez zastrzeżeń i ograniczeń, a teraz miało jej to zostać odebrane. Nie, nie mogła na to pozwolić.

Usiadła prosto, walcząc o odrobinę powietrza, i przestała się trząść.

- Proszę - szepnęła. - Proszę.

Jego żona nie żyła. Widział bladość jej twarzy, krew na ustach i głowie. Zabiły ją sznury. Jeden przecinał jej szyję. Z odległości, w której się znajdował, nie dostrzegał jej oddechu ani żadnego poruszenia. Jej ręce spoczywały bezwładnie przy bokach, jak u drewnianej marionetki porzuconej po spektaklu.

Nic już więcej się nie liczyło, tylko to, że musiał zabić Friara. Wszedł spomiędzy drzew i z gardłowym pomrukiem rzucił się na tamtego, nie dając mu szansy, by mógł sięgnąć po pistolet. Jeden cios nożem i następny prosto w brzuch. Niech się wykrwawi. Niech wnętrzności wypadną na zewnątrz. To był odpowiedni koniec dla tego łajdaka.

W następnej chwili znalazł się przy Adelaide. Rozciął więzy, rozluźnił sznury i położył ją na ziemi. O dziwo, zaczerpnęła oddechu i jej blada twarz poczerwieniała. Podniosła dłoń do jego twarzy i wsunęła drżące palce w jego włosy.

- Jesteś... tutaj. Modliłam się do Boga, żebyś się pojawił, ale...

Wziął ją w ramiona i podniósł, oddalając się od śmierdzącego, zakrwawionego ciała Friara, od sznurów i wspomnień o tym, co się zdarzyło. Dochodziła do siebie szybko. Objęła go ramionami i jej głos stał się silniejszy. Dziękował za to Bogu.

- Kocham cię, Gabrielu. Wiedziałam, że po mnie przyjdiesz.

Posadził ją przy ścianie z tyłu budynku. Zaczęła się śmiać, być może z szoku. Boże, obydwójce żyli i byli bezpieczni! Adelaide wciąż była żywa, oddychała. Wypełniła go świadomość mocy, poczuł ją nawet w lędźwiach, i martwość zastąpiło czyste, niezmacone pożądanie. Był pełen życia i energii.

- Pragnę cię - powiedział, zanim zdążył pomyśleć.

- Ja też cię pragnę. Chcę zapomnieć - odrzekła. Podciągnęła spódnice i rozsunała nogi. Krew frenetycznie dudniła mu w żyłach. Wiedział, że jeśli nie znajdzie się w niej, to umrze. To nie było tylko pożądanie, ale absolutna potrzeba, desperacja.

Ugryzła go w ramię, żeby go pospieszyć. Wsunął się między jej uda i wreszcie ją posiadł.

- Jesteś moja! - wykrzyknął, gdy poczuł, jak opór ustępuje.

Wstrzymała dech, kiedy przebijał błonę dziewictwa. Znieruchomiał na chwilę, dając jej czas, by mogła do niego przywyknąć. Ich serca biły w jednym rytmie. Adelaide wbijała paznokcie w jego skórę i przyciskała go do siebie ze wszystkich sił.

Posiadł ją wreszcie. Obejmował ją mocno, rozumiejąc, że ta jedność i wyzwolenie ocali ich oboje i pozwoli im przetrwać. Po niemal siedmiu miesiącach rozpaczy i utraty poczuł uniesienie, gdy Adelaide wykrzyknęła. Dołączył do niej i poczuł, jak nasienie wlewa się głęboko w jej łono.

Życie i śmierć były dwiema stronami tej samej monety, smutek dzieliła od szczęścia jedynie cieniutka linia. To była mała śmierć, o której mówią Francuzi, stan zawieszenia, w którym czas zdaje się zatrzymywać i dwa serca stapiają się w jedno.

Obrócił jej twarz i pocałował ją mocno, a ona oddała mu pocałunek bez żadnej rezerwy, jednocześnie dając i przyjmując. To nie była odpowiednia chwila na delikatność i nieśmiałość. Całe jego ciało drżało z pragnienia. Poczuł, że znów twardnieje.

- Kocham cię. Kocham cię bardziej niż życie i gdybym miał cię stracić...

Przyłożyła palec do jego ust.

- Żadnego gdybania, Gabrielu. Nigdy cię nie opuszczę.

Z uśmiechem znów pociągnęła go do siebie. Tym razem ich połączenie było spokojniejsze, bardziej kontrolowane. Gniew już wyparował, ale zadziwienie wciąż trwało. Była ciepła i otaczała go ciasno. Siniec na jej twarzy zaczynał już czernieć, a skaleczenie na ustach znów krwawiło, ale nie był w stanie jeszcze przerwać i zająć się nią. Wciąż drżał w nim cień lęku. Poczuł dreszcze i kolejne rozładowanie przeszło go jak ostrze rozgrzanego noża. Znów wykrzyknął jej imię i w tym okrzyku brzmiała szczerą wdzięczność. Głos rozmył się w szeleście sosen nad ich głowami.

Potem Gabriel wziął ją na kolana i owinął swoim płaszczem. Siedzieli tak w mroku, milcząc. Na niebie wzeszedł księżyc, jego światło padało na sosny i na nich dwoje. Wszystko wydawało się

nierealne, pogrążone w cieniach.

- Nie jesteś już impotentem... - szepnęła z odrobiną humoru.

Gabriel wsunął ręce we włosy.

- Sądzę, że uleczyła mnie wściekłość i lęk. Gdy cię zobaczyłem, w pierwszej chwili myślałem, że już nie żyjesz. A potem znalazłem się w tobie, szukając życia, miłości i wieczności.

W blasku księżycy dostrzegł jej uśmiech.

- Sądzę, że wszystkie plotki o twojej sprawności mogły być jednak prawdziwe, ale od tej chwili tylko ja mogę korzystać z twojego doświadczenia.

Jego śmiech odbił się echem od drzew jak muzyka. To było teraz jego życie, kompletne, spełnione. Zawdzięczał to Adelaide i jej akceptacji. Zawdzięczał jej swoje zmartwychwstanie i rozgrzeszenie.

Podniósł wzrok i podziękował Bogu za to, że ją do niego przywiódł i że przez mroki życia wyprowadził go na światło.

Wrócili do Ravenshill o północy. Daniel Wylde był w łóżku. Krwawienie z rany ustało już wiele godzin temu. Amethyst czekała na nich w drzwiach. Na widok Adelaide natychmiast wzięła ją w ramiona.

- Bogu dzięki, że jesteś bezpieczna. Bogu dzięki, że wszyscy jesteśmy bezpieczni. Gospodyni położyła nas w twoim pokoju, Gabrielu, ale mogę przenieść Daniela.

- Nie, będziemy spali w domku na zewnątrz.

- Jesteś pewien? Czy widziałeś swojego sąsiada, Alexandra Watkina? Chyba tak się nazywa. Szukał cię.

- Tak. Pomógł mi wszystko uprzątnąć, a potem poszedł po konstabla. Dlatego nie było nas tak długo.

Usłyszeli płacz Roberta.

- Porozmawiamy rano. - Amethyst uśmiechnęła się do nich i wróciła do sypialni. Gabriel i Adelaide zabrali kilka niezbędnych rzeczy i wyszli.

Po tym okropnym dniu świat wydawał się łagodniejszy. Gabriel sprawdził, czy drzwi domku są bezpiecznie zamknięte, a potem zapalił kilka świec, które przyniósł ze sobą. Rozebrali się, wskoczyli pod ciężką puchową kołdrę i usiedli, oparci o wyściełane

wezgłowie.

- Sądzę, Gabrieliu, że George Friar naprawdę kochał Henriette Clements, mimo tego wszystkiego, co o nim mówiła. Wciąż powtarzał, że chce, żebyś ty cierpiał tak, jak on cierpiał, gdy ją stracił. Nadal myślał, że to ty ją zabiłeś, choć sprawa została rozstrzygnięta przez sąd. Uważał, że przekupiłeś sędziów.

- Ona sama rzuciła się w ogień, który wcześniej roznieciła.

- Ja też mu to powiedziałam, ale... - urwała.

- Nie uwierzył?

- Friar powiedział, że mąż nigdy tak naprawdę jej nie kochał, ale to nie on go zabił. Zrobił to John Goode, bo Randolph Clements zawłaszczył pieniądze, które były przeznaczone dla skarbu Francji.

- W takim razie to było gniazdo szerszeni. Nikt nikomu nie wierzył.

- Takich właśnie ludzi zatrzymywałeś wcześniej, prawda? Takich, którzy pozostawieni w spokoju wzbudzaliby zamęt, powodowani własną szaloną nienawiścią. To musiało być okropne poruszać się wśród nich i przez cały czas udawać.

Gabriel zmarszczył brwi.

- Nie zawsze musiałem udawać, Adelaide.

- Wiem. Dzisiaj przekonałam się, że... robiłeś to już wcześniej.

- W szpiegostwie obowiązują takie same zasady jak na wojnie. Albo ty, albo oni. - Wziął ją za rękę i splótł palce z jej palcami. - To nie zawsze było łatwe i nie zawsze było słuszne.

- Czy w takim razie możesz przestać? To znaczy porzucić służbę w wywiadzie?

- Już niemal to zrobiłem. Jutro prześlę Alanowi Wolfe'owi nazwiska. Te osoby zostaną zatrzymane i przesłuchane. Sądzę, że jest dość dowodów, by wsadzić ich do więzienia. I to będzie koniec.

- A potem będziemy mogli mieszkać spokojnie w Ravenshill, uprawiać ziemię, odbudowywać dom i... - Urwała i zarumieniła się, gdy zatrzymał wzrok na jej twarzy.

- Czy to boli? - Wargę wciąż miała spuchniętą, a na policzku siniac. W świetle świecy widział ją znacznie lepiej niż na dworze i jego gniew na George'a Friara znów wrócił. - Mam nadzieję, że

cię nie zraniłem, gdy...

- Gdy się ze mną kochałeś tak, jakbym była jedyną kobietą na całym świecie? - dokończyła za niego.

- W każdym razie jedyną, którą kocham. Gdy cię zobaczyłem na polanie, przywiązaną do drzewa, myślałem, że stało się najgorsze, i zastanawiałem się, jak ja będę mógł żyć dalej. Rzadko się zdarza, by ktoś czuł, że jego życie spoczywa w ręku drugiej osoby, i by nie chciał niczego innego - to znaczy, by chciał należeć do kogoś na zawsze i czuł się z tym szczęśliwy.

- Moje stare ciotki mawiały, że niezależność jest kluczem do dobrego życia, i wierzyłam w to, dopóki nie spotkałam ciebie. A potem uśmiechnąłeś się do mnie i zadawałeś mi pytania na balu u Bradfordów. Pachniałeś dymem i skórą. I pomyślałam, że jeszcze nigdy z nikim tak nie rozmawiałam.

- Powinienem cię wtedy dotknąć i poczuć magię - skorzystać z okazji, wziąć cię za rękę, pocałować i wywieźć gdzieś daleko. A tymczasem patrzyłem, jak tańczysz walca z Berrickiem, który trzymał cię zbyt blisko siebie.

- Tak jak ty teraz? - Zarzuciła ramiona na jego szyję i pociągnęła go na puchową kołdrę. - Kocham cię, Gabrielu. Na zawsze.

- W takim razie oddaj mi się. Poczniemy dziecko tu i teraz. Na tym łóżku, w blasku księżyca, gdy Ravenshill jest już bezpieczne. Ale tym razem zrobimy to łagodnie, z miłością i czułością, na jaką zasługuje ten wyjątkowy akt.

- Tak. - Poczwała łzy napływające do oczu. Nie były to łzy smutku, lecz radości. Czwała na skórze dotyk wykrochmalonej pościeli i chłód nocy przesycony zapachem wosku, słyszała pohukiwanie sowy pośród drzew rosnących za domem.

Była w domu, z Gabrielem, swym ukochanym mężem. Przytknęła oczy i pozwoliła, aby wszystkie myśli uleciały z jej głowy.

Tytuł oryginału: Marriage Made in Shame
Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Ltd, 2015
Redaktor serii: Dominik Osuch
Opracowanie redakcyjne: Dominik Osuch
Korekta: Lilianna Mieszczkańska

© 2015 by Sophia James

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2017

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Romans Historyczny są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-3205-0

Konwersja do formatu MOBI:

Legimi Sp. z o.o.

Spis treści

Strona tytułowa
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Rozdział szesnasty
Rozdział siedemnasty
Strona redakcyjna